

Pat Warren

Tajny ożenek

Tytuł oryginału:

The Way We Wed

Pierwsze wydanie:

Silhouette Books, 2001

Redaktor serii:

Krystyna Barchańska-Wardęcka

Korekta:

Krystyna Kanecka

Krystyna Barchańska-Wardęcka

© 2000 by Harlequin Books S.A.

© for Polish edition by Arlekin

– Wydawnictwo Harlequin Enterprises Sp. z o.o.

Warszawa 2003 r.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Niebezpieczne Związki są zastrzeżone.

Skład i łamanie:

COMPTXT[®], Warszawa

Printed in Spain by Litografia Roses, Barcelona

ISBN 83-238-0538-5

Indeks 339075

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kondor – Ośrodek Wypoczynkowy

Nawet jak na środek kwietnia popołudniowe słońce prażyło całkiem mocno nad wybrzeżem Pacyfiku w południowej Kalifornii. Jeff Kirby czuł, jak koszula przylepia się mu do pleców, a i szorty są coraz bardziej wilgotne, ale starał się nie zwracać na to uwagi. Za każdym razem, kiedy wracał do położonego u podnóża gór ośrodka, marzył przede wszystkim o bieganiu po ubitym piasku plaży. Jego buty uderzały o podłoże równym rytmem, kilka mew nurkowało w morzu w poszukiwaniu spóźnionego obiadu.

Spoglądając na bezchmurne niebo Jeff cieszył się, że żyje i wdzięczny był za każdy dzień. Tak, to dlatego, że tak niedawno otarł się przecież o śmierć. Zdarzyło się to zaledwie w ubiegłym roku i za nic nie chciał przeżywać tego ponownie. Mimo to czuł, że praca, którą wykonuje, zawód, który wybrał, nie raz

jeszcze postawi go w takiej sytuacji. Wiedział, a jednak zdecydował się przy nim pozostać i to z wielu różnych powodów. Między innymi ze względu na ojca, wyzwania, jakie się z tą pracą wiążą i przekonanie, że w jakiś, choćby niewielki sposób, przyczynia się do zwycięstwa dobra.

Przybrany ojciec Jeffa, Easton Kirby, był w swoim czasie jednym z najlepszych agentów operacyjnych SPEAR, tajnej agencji rządowej, powstałej za czasów Wojny Domowej, podobno z inicjatywy samego Abrahama Lincolna. Pewne tragiczne zdarzenie osobiste zmieniło go jednak w odludka, prześladowanego przez własne demony. Zaszył się wtedy w swym pokoju w Kondorze i zerwał kontakty ze wszystkimi, którym był bliski.

Było tak do dnia, kiedy spotkał pewnego czternastolatka, uciekiniera z całej serii rodzin zastępczych, chłopaka tak samo ciężko doświadczonego przez los jak on. Dzieciak miał na imię Jeff.

Obaj byli wtedy okaleczeni przez życie, ale udało im się zapomnieć o złej przeszłości; przywiązali się do siebie, nauczyli ufać i czuć. East, który przed dziesięcioma laty miał zaledwie lat dwadzieścia pięć, tylko jedenaście więcej od Jeffa, adoptował go i przejął prowadzenie ośrodka jako pracownik cywilny. Z rzadka tylko któryś z nich wspominał teraz tamte straszne lata.

Dorastając Jeff poznał osobiście czy też tylko słyszał o niejednym agencie – obojga płci – który

w walce odniósł ciężkie rany, tak fizyczne jak psychiczne. Kilku nawet zginęło. Jak to chłopak jednak był pewien, że jemu nic takiego się nie przydarzy. Szybko osiągnął metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, a często i wytrwale ćwicząc był szczupły i dobrze umięśniony. Czuł się pewny siebie, nie do pokonania, silny, by góry przenosić.

Aż do dnia, kiedy został porwany, zakopany żywcem i zostawiony, by umarł.

Jeff zwolnił, potem zatrzymał się. Pochylił się, wsparł rękami o kolana i odpoczywał. Tamto wydarzenie zmieniło go na zawsze.

Po chwili wyprostował się i mrużąc oczy, spojrzał w słońce. Ręką otarł pot z czoła. Po uwolnieniu dowiedział się od Alicii, kobiety, którą Easton później poślubił, jak bardzo jego przybrany ojciec przeżył jego porwanie. Opuścił bezpieczne schronienie i spokój Kondora i stanął na czele operacji, dzięki której uwolniono Jeffa. Jego miłość i wdzięczność dla tego człowieka była bezgraniczna.

Jeff w zamyśleniu obserwował krążącą nad jego głową mewę, jakby zazdrościł jej beztroski. Po chwili biegiem ruszył w stronę domu, jedyne prawdziwego jaki w życiu miał. Tym razem biegł wolniej, próbując siłę i wytrzymałość swych mięśni. Wrócił niedawno z Australii, gdzie przed rozpoczęciem letniego semestru odbył szkolenie w dziedzinie ratownictwa medycznego. Brakowało mu jeszcze dwóch lat stażu, by stać się pełnoprawnym lekarzem i agentem

SPEAR.

Zmarszczył brwi, kiedy jego myśli powędrowały w stronę innej sprawy, równie ważnej, jeśli nie ważniejszej. Tish Buckner. Dlaczego w miłości nic nie układa się prosto? Na przykład East i Alicia – lub Ally, jak wołała . Też mają za sobą ciężkie czasy, podobnie jak prawie wszyscy inni jego znajomi. Zakochanie się to tylko początek. Problem pojawia się dopiero z „życiem długo i szczęśliwie,,.

Poznał Tish w ubiegłym roku na ranczu Red Rock w północnej Arizonie, gdzie wracał do sił po tamtych traumatycznych przeżyciach, i zakochał się szybko i to po uszy. Była agentką SPEAR i w czasie wakacji postanowiła trochę odświeżyć swe umiejętności, bo nie znosiła lenistwa. Ich droga do szczęścia od samego początku była wyboista i, co smutne, poszli każde swoją drogą. Udało mu się przed paroma tygodniami spotkać z nią w Australii, ale na krótko. Już prawie ją wtedy przekonał, że powinni spróbować jeszcze raz, ale akurat wezwano ją wraz z kilkoma innymi agentami do jakiejś roboty dla SPEAR. Pewien zdrajca, znany jako Simon, autor wielu groźnych akcji przeciwko państwu i samemu Jonahowi, szefowi SPEAR, pojawił się w Nowym Jorku. Tish wsiadła więc natychmiast w helikopter, na pożegnanie obiecując Jeffowi, że porozmawiają o ich przyszłości, jak tylko zakończy to zadanie.

Tym razem był zdecydowany przekonać ją, że są dla siebie stworzeni. Jeff z zachwytem spoglądał teraz

na rozciągający się mu przed oczami teren ośrodka. Kiedy pierwszy raz szedł z Eastem po plaży i doszli do wiodących w górę zbocza schodów, dokładnie czterdziestu czterech, stwierdził, że to miejsce przypomina jakiś zamek z bajki. Do dziś nie mógł zrozumieć, jak udało się stworzyć tak wspaniałą budowlę, pięciopiętrową od strony plaży, o piętro niższą od frontowego wejścia. Intrygowało to go jako chłopaka i do dziś nie przestało.

Ośrodek był częścią sieci hoteli Monarch, jednego z oficjalnych przedsięwzięć SPEAR. W holu zamożni goście mogli cieszyć się luksusowymi salami i zapierającym dech widokiem na ocean oraz skorzystać z jednej z dwóch restauracji. Parter i dwa piętra oferowały różnej wielkości, wygodnie i elegancko wyposażone pokoje. Na samej górze mieściło się prywatne mieszkanie Easta i Alicii oraz kilka pokoi zarezerwowanych dla agentów, którzy też czasem potrzebują bezpiecznego odpoczynku. East zawsze bardzo o nich dbał i to dzięki niemu wracali do pracy w pełni sił. To tam także znajdował się pokój Jeffa.

Niektórzy Kalifornijczycy nie przepadali za tym kamienistym, często zdradliwym wybrzeżem, ale Jeff je uwielbiał. Miało w sobie jakiś majestat, siłę i spokój. Przez całą minutę stał nieruchomo i wpatrywał się w fale rozbijające się o skały u jego stóp, poczym ruszył w górę..

Był już prawie na u stóp kamiennych schodów wiodących na taras jadalni, gdzie kelnerzy szykowali

stoły do kolacji, gdy zauważył ojca, stojącego przy sięgającej mu do pasa poręczy. Było w jego postawie coś budzącego respekt i szacunek. Może to wzrost, około metra osiemdziesięciu, może atletyczna budowa, albo pewna tajemniczość, intrygująca zarówno kobiety jak i mężczyzn. Owszem, wyglądał groźnie, ale Jeff wiedział ile czułości i ciepła kryje się pod tą fasadą. I nie raz ich doświadczył.

Teraz, przemierzając szybkim krokiem dzielącą ich odległość, zastanawiał się, co też tak bardzo zaniepokoiło ojca. Od samego początku łączyła ich wyjątkowa intuicja.

– Co się stało? – spytał bez zbędnych wstępów, stając obok niego.

– Chodźmy do mnie. Tam porozmawiamy. – East zgrabnie przeszedł pomiędzy rozstawionymi na tarasie stolikami.

Jeff ruszył za nim, przez urządzony w rustykalnym stylu hol do prywatnej windy, jeżdżącej tylko na górę. Patrząc jak ojciec wkłada do zamka specjalny klucz, poczuł dziwny dreszcz. I nie miał on nic wspólnego z klimatyzacją. Ojciec już dawno nauczył go, tak sprzecznego z jego naturą, cierpliwości. Oraz tego, że o sprawach SPEAR nigdy nie rozmawia się przy obcych. Już w windzie zastanawiał się, co też może być przyczyną niepokoju Easta. Owszem, było kilka różnych możliwości, ale żadna jakoś go nie przekonywała. Może najbardziej ta, że SPEAR go potrzebuje w jakimś innym miejscu, gdzie przydać się może jego

wyszkolenie w ratownictwie medycznym. Co prawda jeszcze nie zakończone, ale jednak.

Kiedy wysiedli z windy, East poszedł prosto do kuchni, wręczył synowi czysty ręcznik, a potem nalał szklankę soku.

Jeff wiedział, że nie należy go pospieszać, że w swoim czasie i tak powie mu o co chodzi. Wypił więc sok, otarł ręcznikiem twarz i zarzucił go sobie na szyję. Choć wszystko się w nim gotowało, starał się zachować spokój. Po chwili, kiedy East nadal milczał i tylko wpatrywał się w niego poważnie, jakby zastanawiał się, w jaki najlepszy sposób przekazać mu złą wiadomość, nie wytrzymał.

– O co chodzi?

– Zdarzył się wypadek. W Nowym Jorku. – Cienie, zawsze widoczne w brązowych oczach Easta, stały się jeszcze ciemniejsze, prawie czarne. Kilku agentów przeszukiwało magazyn, w którym podobno Simon miał przechowywać broń. Wybuchła bomba.

Jeff zbladł jak ściana, palce mocno zacisnął na szklance.

– Tish? – wyjąkał przez ściśnięte gardło. O Boże. Proszę, nie teraz.

– Jest w szpitalu. Nieprzytomna. – East położył rękę na ramieniu syna.

– Jakie rokowania?

– Nie wiadomo.

Jeff nie umiał czekać. Musiał działać, dowiedzieć się sam. Odstawił szklankę i podniósł słuchawkę

stojącego na kuchennej ladzie telefonu.

– Jaki to szpital?

East podał mu notatnik. Wiedział, że syn będzie chciał tam zadzwonić, więc poprosił o numer.

– Miejski na Manhattanie.

Dopiero po chwili Jeffowi udało się dotrzeć na właściwe piętro i do właściwej dyżurki pielęgniarek. Tish była na chirurgii, odniosła poważne obrażenia, ale pielęgniarka odmówiła dalszych szczegółów.

– Muszę tam jechać – rzucił, odkładając słuchawkę.

– Zarezerwowałem ci nocny lot z międzynarodowego lotniska w Los Angeles. Spakuj się. Odwiozę cię.

Jeff po prostu podszedł do ojca i mocno go uściskał.

– Nie mogę jej stracić, tato. Nie po raz kolejny.

– Nie stracisz. Jedź do niej, niech wie, że z nią jesteś. Bardzo jej to pomoże.

Z tysiącem myśli kłębiących się w głosie, ze ściśniętym sercem, Jeff wybiegł z kuchni.

– Dlaczego nie możemy go dorwać? – warknął ze złością Jeff. Siedząc obok ojca w jego terenówce, nie mógł nie myśleć o sprawcy całego nieszczęścia. – Agenci SPEAR od miesięcy uganiają się za nim po całym świecie i nic. Jak długo to jeszcze potrwa, ilu wspaniałych ludzi stracimy?

Dla kontrastu głos Easta był spokojny, opanowany i uspokajający.

– Rozumiem, co czujesz. Kilku naszych ludzi miało go już prawie w rękach, ale...

– Co to znaczy prawie? Albo się ma albo nie, nie ma żadnego prawie – mruknął przez zęby Jeff.

– Wiem, że trudno jest być cierpliwym, kiedy chodzi o kogoś bliskiego – mówił dalej tym samym tonem East, a Jeff przypomniał sobie, co musiał czuć ojciec, kiedy porwano jego. – Jesteś w SPEAR już całkiem długo, Jeff. Wiesz, jaki to przebiegły człowiek. Mimo to musimy próbować. Aż do skutku. To sprawa wagi państwowej.

– Wiem i przepraszam cię. Po prostu strasznie się niepokoję. Nawet nie wiem, jak zniósła operację.

– Spróbuj zadzwonić z komórki. Minęło już kilka godzin.

Jeff wyjął specjalny telefon, w jaki SPEAR wyposażało swych agentów. Był niezależny od nadajników zwyczajnych sieci komórkowych, a jego sygnał tak zakodowany, że nikt nie mógł podsłuchać prowadzonych z niego rozmów.

Odetchnął dopiero, kiedy zakończył rozmowę.

– Już po operacji. Tish jest teraz w sali pooperacyjnej, potem przewiozą ją na intensywną terapię. Ale wciąż walczy o życie. – Jeff spojrzał na ojca. – Rozmawiałeś wcześniej ze szpitalem?

– Tak, kiedy brałeś prysznic. Powiedziałem im, kim jesteś i że mają ci zapewnić nieograniczony dostęp do pacjentki. Niezbyt im się to podobało, ale z personelem medycznym tak już jest. Nie lubią jak

plącze im się ktoś z zewnątrz, nawet agenci. Niemniej jednak zgodzili się.

Wjechali na autostradę i jechali w stronę Los Angeles. Milczeli, każdy pogrążony we własnych niespokojnych myślach. Jeff odezwał się pierwszy.

– Po Australii myślałem, że będziemy mieli jeszcze jedną szansę, ale zabrakło nam czasu.

– W kryzysie nigdy nie ma dość czasu.

– A zawsze jest jakiś kryzys. – stwierdził z filozoficzną rezygnacją Jeff, co było do niego bardzo niepodobne. Zazwyczaj był pełen energii i nadziei. No, tak, ale sytuacja nie była przecież normalna.

– Zawsze możesz wystąpić ze SPEAR – podsunął East i wstrzymał oddech.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że gdybym był tchórzem, w ogóle by mnie tu nie było – odparł po chwili Jeff.

– Mnie też, synu. – Spojrzenie jakim go obdarzył było pełne zrozumienia, miłości i wdzięczności.

Parę minut później zaparkował przed halą odlotów. Kiedy wysiedli i Jeff wziął swoją torbę, przez chwilę po prostu na siebie patrzyli. Dla obu wszelkie słowa były całkowicie zbędne.

– Informuj mnie o wszystkim, dobrze?

– Oczywiście. Pozdrów Ally i maleństwo. Szkoda, że nie mogłem się z nimi pożegnać.

Annie, córeczka Easta i Alicii, urodziła się przed trzema dniami i razem z mamą były jeszcze w szpitalu.

– Alicia na pewno to zrozumie.

Jeff mocno uściskał ojca i nie odwracając się za siebie zniknął za drzwiami. Nie chciał, żeby East zauważył łzy w jego oczach.

Dzięki biletowi pierwszej klasy, jaki załatwił mu East, Jeff miał wygodne miejsce w drugim rzędzie. Po starcie wyciągnął nogi i przyjął od stewardessy kawę. Jedzenia odmówił. Nie było mu potrzebne. Nic nie było mu potrzebne. Nic oprócz cudu.

Wybuch bomby. Na miłość boską, jak ktoś mógł przeżyć coś takiego? Tysiące pytań kłębiły mu się w głowie. Jak blisko wybuchu była Tish? Jak poważne odniosła obrażenia? Co jej operowano? Jakie są teraz rokowania? Pielęgniarka, z którą rozmawiał mówiła, że walczy o życie. Co to dokładnie znaczy?

Jeffowi zostały jeszcze dwa lata nauki, zamierzał specjalizować się w urazach, co SPEAR uznała za najbardziej dla nich przydatne. Tak, wybuch bomby bez wątplenia powoduje urazy. Tylko jakie w jej przypadku?

Zaledwie parę tygodni temu, w Australii, opatrywał raną w ramię agentkę SPEAR, Lisę Meldrum. Do takich prostych rzeczy był przyzwyczajony, ale rany po wybuchu bomby to zupełnie inna sprawa. Większość lekarzy przez całe swoje życie nie ma z nimi do czynienia. No tak, ale większość lekarzy nie pracuje przecież dla tajnych agencji rządowych.

Kawa była gorąca i mocna. Jeff wypił pół filiżanki, potem oparł się o oparcie fotela i zamknął oczy.

Wiedział, że nie zaśnie, postanowił więc cieszyć się wpływem kofeiny. Jak można zasnąć mając przed oczami obrazy najgorszych ran i obrażeń? Sceny z przeszłości, z teraźniejszości, a przede wszystkim z przyszłości.

Rana Lisy tylko z pozoru była niegroźna. Kula wyszła drugą stroną, ale o włos tylko minęła tętnicę płucną, powodując obfite krwawienie. Wywołało to poważne problemy z oddychaniem. Wdzięczny Russell Devane, także agent SPEAR, zakochany w Lisie, gorąco dziękował Jeffowi za ocalenie jej życia. Lekarz w szpitalu, do którego potem ją przewieziono też był pełen uznania dla jego roboty.

Był jednak pewien, że w porównaniu z obrażeniami spowodowanymi przez bombę to tylko małe piwo. Doszły go słuchy, że Russell i Lise się pobierają. Czy w takiej zwariowanej pracy szczęśliwe małżeństwo w ogóle jest możliwe? East i Ally wydają się zadowoleni, ale oni nie są już teraz aktywni, zajmują się tylko ośrodkiem.

Jeff przez chwilę patrzył w rozciągające się za oknem ciemności, potem sięgnął po telefon i wykręcił numer szpitala w Nowym Jorku. Po kilku przełączeniach udało mu się porozmawiać z dyżurną pielęgniarką. Dowiedział się, że, biorąc pod uwagę okoliczności, Tish jest w całkiem niezłym stanie.

Co do cholery to miało znaczyć?

Jeff przysiągł sobie, że kiedy już zostanie pełnoprawnym lekarzem nigdy nie będzie udzielał rodzi-

nom swoich pacjentów takich enigmatycznych odpowiedzi. Doświadczył przecież na własnej skórze przez co muszą przechodzić.

Dopił resztę kawy i znów zamknął oczy. Górne światła w kabinie były teraz przyćmione i kilku innych pasażerów pierwszej klasy wyraźnie szykowało się do drzemki. Skoro nie może zasnąć, Jeff odchylił fotel, by odpoczęło choć trochę jego ciało. Na próżno starał się o niczym nie myśleć. We śnie czy na jawie, cały czas miał przed oczami Tish, jej słodki uśmiech, jej oczy.

Westchnął i oddał się wspomnieniom pewnego letniego dnia ubiegłego roku, kiedy to zobaczył ją po raz pierwszy...

Ranczo Red Rock, ubiegłego lata...

W gorące, sierpniowe popołudnie Jeff, oparty o ogrodzenie, leniwie przyglądał się koniom. Ranczo Red Rock w północnej Arizonie było idealnym miejscem, gdzie po przejściach w Idaho najszybciej mógł dojść do siebie. Tak w każdym razie twierdził East. Kazał mu robić tylko to i tylko tyle, na ile ma ochotę, nie przemęczać się i uspokoić.

Jeff jednak, choć przybył tam zaledwie wczoraj, wiedział już, że do nieróbstwa zupełnie się nie nadaje.

Red Rock było kolejnym legalnym przedsięwzięciem SPEAR, ranczem, na którym bogaci turyści mogli trochę poobcować z naturą. Otoczone wysokimi

górami, było równocześnie idealnym miejscem do szkoleń i treningów dla agentów. Rozległe tereny, poprzecinane licznymi strumieniami, dzikie odludzie z czarnymi jak smoła nocami i dzwoniącą w uszach ciszą, przerywaną tylko odgłosami zwierząt.

Było ich tam potężne stado – dwa tysiące krów, dwadzieścia byków i kilkadziesiąt koni. Najbliższe miasto leżało dwie godziny kamienistej polnej drogi stamtąd, przejezdnej tylko potężnym dżipem. Na ranchu było ich kilka plus lekki samolot, którym zarządca co rano oblatywał całe sto dwadzieścia akrów sprawdzając stan ogrodzeń, zbiorniki z wodą i rozmieszczenie bydła. Z tym wszystkim radziło sobie, i to wyśmienicie, zaledwie kilkunastu pracowników.

Jeff zsunął kapelusz z czoła i przyglądał się jast-rzębiowi polującemu na mewę. W Red Rock był tylko raz, jako nastolatek, ale zarządca, Lim Huxley, dobrze go pamiętał. Tamtego lata nauczył go jeździć konno, szukać świeżych tropów lwa i przeprowadzać trzodę na nowe pastwisko. Kiedy Jeff jesienią wrócił do domu, East zauważył, że stał się mężczyzną, wyrósł i zmężniał.

Nagle to leniwe popołudnie przerwał zbliżający się tętent końskich kopyt. Jeff spojrzał w lewo, na otwarte pastwisko.

Była od niego jeszcze daleko. Siedziała na kasztanowej klaczy, a jej krótkie ciemne włosy tańczyły wokół jej twarzy. Na szczęście na drodze nie było żadnych drzew, bo jechała bardzo szybko, prosto na

stojącą tuż za nim stajnię. Jeff wyprostował się i patrzył.

Pochylona lekko do przodu, stanowiła jedność z piękną, pełną gracji klaczą. Była drobna, ale wyraźnie zupełnie niespieszona bliskością ogromnego zwierzęcia. Zafascynowany podziwiał jej pewność siebie. Wiedział, że na ranczu jest około dwudziestu gości, ale żaden z tych, których widział tak nie jeździł.

Klacz wyczuła, że przejażdżka zbliża się do końca i choć stajnia była blisko, wcale nie miała ochoty się zatrzymać. Dopiero tuż przy niej poddała się i zwolniła.. Chwilę później obie, klacz i amazonka zatrzymały się przy nim. Z pełną wprawą gracją kobieta zeskoczyła na ziemię.

Jeff przyglądał jej się w milczeniu. Z podziwem i zachwytem. Była drobna i, mimo za dużej, męskiej koszuli i dopasowanych dżinsów, wyglądała bardzo kobieco. Potargane przez wiatr brązowe, błyszczące włosy sięgały jej do brody. Zarumieniona po przejażdżce oliwkowa cera zdradzała śródziemnomorskie pochodzenie, kości policzkowe były wyraźnie zarysowane, pełne wargi aż się prosiły o pocałunek.

Jeff oparł się o ogrodzenie i czekał, aż go zauważy.

– Dobra dziewczynka – kobieta pochwaliła klacz, gładząc jej grzywę. Koń zamachał głową i próbował chwycić wargami jej rękę. Kobieta odskoczyła i dopiero wtedy zauważyła Jeffa.

Odrzuciła włosy do tyłu i czujnymi, brązowymi oczami omiotła go od czarnego kapelusza po skórzane

cowbojki. Tylko na moment jej wzrok zatrzymał się na jego umięśnionej piersi.

Nagle uśmiechnęła się i serce Jaffa wykonało salto.

– Chyba jesteś tu nowy – stwierdziła głosem równie gardłowym jak jej śmiech. Podeszła bliżej wyciągnęła rękę. – Tish Buckner.

Jeff wyprostował się, ujął jej dłoń, szczupłą, ale silną, i przeszył go dreszcz. Drżenie jej ręki wskazywało, że i ona coś poczuła.

– Jeff Kirby – rzekł, szczęśliwy, że przynajmniej głos udało mu się opanować. Wiedział, że mógłby tak stać do końca świata. Boże, ależ jest piękna, pomyślał.

– Miło cię poznać – odparła i szybko wyswobodziła dłoń, oczu jednak z jego twarzy nie spuściła. Dopiero po chwili uniosła dumnie brodę i wręczyła mu wodze. – Bądź tak dobry i wprowadź ją do środka. Nazywa się Belladonna, boks numer dziesięć.

Nie od razu zdał sobie sprawę, że wzięła go za jednego z pracowników rancza. Rozbawiło go to, ale zachował kamienną twarz. Właściwie nie powinien się dziwić, zastała go przecież kręcącego się koło stajni, w dżinsach i roboczej koszuli.

– Dobrze, psze pani – odparł, spoglądając na nią z góry. Był dobre kilkanaście centymetrów od niej wyższy. Nagle zapragnął dotknąć tych błyszczących włosów, zobaczyć, jak rozgrzewają się te wielkie oczy. A może stałyby się lodowate? Postanowił to sprawdzić.

Zrobił krok w jej stronę, wyciągnął rękę i założył jej

za ucho luźny kosmyk. I co? Dziewczyna zmrużyła oczy i cofnęła się.

– Jeśli ta ręka jest dla ciebie cenna, więcej nie próbuj – mruknęła. Jej głos był lodowaty jak górski strumień.

A więc nie jest jedną z tych miastowych turystek, które przyjeżdżają na ranczo w poszukiwaniu przygody. Zbyt dobrze jeździ konno i nie interesuje jej flirt z kowbojem. Nie nosi obrączki, więc pewnie nie jest z nikim związana. Jeśli jest agentką SPEAR, to nie nigdy o niej nie słyszał. Jego wzrok powędrował na jej pełne, zapraszające do pocałunku wargi. Nie, na pewno się nigdy nie spotkali. Zapamiętałby te usta. Chciałby zapytać ją o parę rzeczy, ale uznał, że zabawnie będzie pozwolić jej uważać go za parobka. Przynajmniej przez jakiś czas.

Opuścił rękę i uśmiechnął się.

– Nie chciałem pani urazić. Widzę, że nie lubi pani, jak się ją dotyka. – Teraz on zmrużył oczy. – Ale może po prostu potrzebuje pani odpowiedniego mężczyzny.

Kobieta zeszywniała, oczy pociemniały jej z oburzenia. Odwróciła się bez słowa i pogładziła klacz po grzywie, wyraźnie zła, kiedy zauważyła, że drży jej ręka.

– Do jutra, maleńka – szepnęła do Belladonny i nie odwracając się za siebie odeszła.

Dopiero kiedy zniknęła za stajnią Jeff zajął się klaczą.

– Szkoda, że nie umiesz mówić, Belladonna – rzekł. – Chętnie posłuchałbym, co masz do powiedzenia o tej pani.

Ranczo Red Rock składało się z kilku budynków gospodarczych. Były wśród nich oddzielne obory dla mlecznych krów i cieląt, specjalne pomieszczenia do inseminacji i porodów oraz stajnie dla koni. Był też duży barak, w którym mieszkali i żywili się pracujący na ranczu robotnicy. Turyści gościli w luksusowym, dwupiętrowym budynku ze wspaniałym widokiem i eleganckimi apartamentami. Prawie połowę parteru zajmowała jadalnia.

Agenci SPEAR zatrzymywali się w piętrowym domku z dużymi, przytulnymi pokojami z łazienkami na piętrze. Na parterze był rustykalny hol z kamienną podłogą, sala konferencyjna, biuro kierownika i duży salon z kamiennym kominkiem, wygodnymi meblami, dużym telewizorem i półkami pełnymi książek.

Była tam także jadalnia, spokojnie mogąca rywalizować z restauracjami w pięciogwiazdkowych hotelach. Śniadanie podawano między piątą a dziesiątą, lunch od dwunastej do drugiej, a do kolacji można było już zasiąść o szóstej. Między posiłkami można było zadzwonić do kuchni po jakąś przekąskę. Oczywiście jeśli było się agentem lubianym przez Elbę Winchester, kucharkę. Pozostali, dla własnego dobra, powinni raczej schodzić jej z oczu, bo rządziła kuchnią żelazną ręką.

Jeff specjalnie nie zszedł na wieczorny posiłek. Po pierwsze Elsa była cudowną kucharką. Zbyt cudowną. Rano zjadł ogromne śniadanie, potem gigantyczny lunch, bo żądała tego Elsa, która pamiętała go z poprzedniej wizyty i uważała, że nadal rośnie. Gdyby dodał do tego kolację, pochłonąłby tyle kalorii ile robotnicy na ranczu, ciężko pracujący fizycznie przez dwanaście, czternaście godzin. Nie chciał wyglądać jak beka, postanowił więc zająć się jadalnią dopiero kiedy reszta agentów będzie już przy kawie.

Drugim powodem było to, że po południu prze spacerował się po części rancza przeznaczonych dla turystów i wiedział już, że Tish Buckner nie jest jedną z nich. Dodatkowo jeszcze oczarował recepcjonistkę, wszystkowiedzącą rudowłosą okularnicę Naomi Star i wiedział już, że Tish jest niezamężna, raczej skryta i że, o ile Naomi wiedziała, przyjechała do Red Rock na wakacje.

Uzbrojony w tę wiedzę Jeff zjawił się w jadalni koło siódmej i okazało się, że ma szczęście. Tish siedziała między Slimem Huxleyem, zarządcą rancza, i Jonem Interesem, czterdziestoparoletnim, ciemnowłosym agentem, którego Jeff poznał już poprzedniego dnia. Pozostałe trzy krzesła przy stole były wolne. Z kilkunastu stolików w jadalni zajęte były tylko jeszcze dwa inne.

Tish była pogrążona w rozmowie ze Slimem i nie zauważyła jego wejścia. Jeff podszedł do lady, nalał sobie kawę i wolno zaniósł ją do stolika Tish.

Lim zauważył go pierwszy i uśmiechnął się.

– Przysiadzisz się do nas, Jeff? – rzekł i spojrział w stronę drzwi do kuchni. – Elsa na pewno chętnie da ci coś do jedzenia.

Lim miał prawie pięćdziesiąt lat, głębokie zmarszczki śmiechu wokół oczu, mocno opaloną twarz, rzadzące blond włosy i ani grama tłuszczu, choćby nie wiadomo ile jadł.

– Dzięki, Slim, ale nie jestem głodny. – Jeff przyciągnął sobie krzesło, usiadł, przywitał się z Jonem i dopiero wtedy spojrział na Tish. Zauważył, że jest zaskoczona i odrobinę zmieszana.

– Nie wiem, czy poznałeś już Tish Buckner? Też jest agentką i przyjechała tu na mały wypoczynek. Tish, to jest Jeff Kirby. A może powinienem powiedzieć doktor Kirby?

– Cześć. – Jeff uśmiechnął się do Tish, czekając na jej reakcję.

– Poznaliśmy się dziś po południu – zaczęła Tish. Ona też się uśmiechnęła. Chłodno. – To ten kowboj, którego poprosiłam, żeby odprowadził do stajni moją klacz.. – Uśmiech sięgnął aż do jej brązowych oczu.

A więc potrafi śmiać się z samej siebie., stwierdził z zadowoleniem Jeff.

– Żartujesz? – zdziwił się Lim. – Wzięłaś go za robotnika z rancza? Musisz to opowiedzieć Kastowi, Jeff.

Sącząc kawę Jeff przyglądał jej się uważnie. Miała teraz na sobie żółtą, jedwabną bluzkę i spodnie

w kolorze khaki i wyglądała super.

– Jesteś spokrewniony z Eastem Kirbym? – spytała wyraźnie zaciekawiona.

– To mój ojciec – odparł i zauważył jej zdziwienie. Owszem, wyglądał na więcej, niż te dwadzieścia cztery lata, ale i tak East z trudem mógłby być jego ojcem. – Adoptował mnie.

– Poznałam go kilka lat temu w naszym ośrodku. Cudowny facet.

– Racja – zgodził się Jon Winters i wstał od stołu. – Kiedyś ocalił mi życie. Przepraszam, chyba pójde zapalić.

Czyżby tylko on wyczuwał napiętą atmosferę, zastanawiał się Jeff, obserwując Tish. Nie, zrozumiał, że i ona coś czuje. Spuściła wzrok, podniosła do ust filiżankę i dopiero wtedy zauważyła, że jest pusta.

– Może ci dolać? – zaproponował.

– Nie, dzięki. – Tish wstała i uśmiechnęła się do Lima. – Idę się położyć. Piąta rano to nieludzka pora na wstawanie.

– Mówiłem ci, że nie musisz się zrywać tak wcześnie – zauważył Lim.

– Obiecałeś mi lot swoim samolocikiem. Będę gotowa.

– W porządku. Do zobaczenia w hangarze koło szóstej.

– Dobranoc. – Tish wstała i przepuściła Lima, który ruszył w stronę swego biura. – Miło było cię poznać – zwróciła się do Jeffa.

– Mnie też. Odprowadzę cię.

Tish zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

– Nie trzeba, ale dzięki za troskę.

– Ależ trzeba – Jeff, niezrażony ruszył krok w krok za nią. – Nie słyszałaś, że tu są lwy?

Tish zignorowała jego ostrzeżenie i szybko podeszła do windy. Jeff dogonił ją bez trudu. Po chwili oboje znaleźli się w ciasnej klatce. Tylko we dwoje.

– Skąd jesteś? – zagadnął od razu.

– Ze wschodniego wybrzeża.

– A konkretnie?

– Z Nowego Jorku. – Była wyraźnie zakłopotana jego bliskością. A kiedy uniósł rękę, nie wytrzymała.

– Zapomniałaś co ci mówiłam o tej twojej ręce?

– Lubię niebezpieczeństwo – wzruszył ramionami Jeff.

– Na twoim miejscu bym nie ryzykowała. Jednocześnie lekarz jest mało przydatny.

Kiedy winda stanęła, Tish bez słowa ruszyła w stronę swego pokoju. Jeff tuż za nią, więc kiedy się zatrzymała przed drzwiami, omal na nią nie wpadł.

– O, popatrz, jesteśmy sąsiadami.

– No to mam szczęście. Jeśli będę potrzebowała lekarza, wystarczy zawołać. – Tish wsunęła kartę i otworzyła drzwi. – Dobranoc, doktorze.

Zdążył jeszcze chwycić ją za nadgarstek i zatrzymać.

– Zaczekaj. Czemu się tak spieszysz? Dopiero pół do ósmej. Może poszlibyśmy na spacer? Nie ma to jak

gwiazdziste niebo nad Arizoną.

Tish westchnęła głęboko.

– Posłuchaj, chyba od razu powinniśmy sobie coś wyjaśnić. Nie interesują...

Był teraz tak blisko, że czuł jej zapach. Pachniała jak polne kwiaty, które kiedyś zbierał na łąkach.

– Chcesz, żebym ci pokazał, że jest wprost przeciwnie?

Zanim zdążyła zareagować, puścił jej rękę i delikatnie musnął palcami jej szyję. Kiedy zauważył jak pociemniały jej oczy uznał, że osiągnął już swój cel. Dopiero wtedy się odsunął.

Tish przez chwilę stała nieruchomo. Kiedy doszła do siebie, szybko weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Cicho i ostrożnie.

Jesteś zainteresowana, Tish, pomyślał. Tak samo jak ja.

ROZDZIAŁ DRUGI

Mężczyzna siedzący w sąsiednim rzędzie chrapał tak głośno, że wyrwał Jeffa z tych rozmyślań. Poprawił się w fotelu, szukając jakiejś w miarę wygodnej pozycji. Jedna ze stewardess, trzydziestoparoletnia blondynka zauważyła to i podeszła do niego.

– Może chciałby pan zmienić miejsce? – szepnęła, spoglądając w stronę chrapiącego pasażera.

– Dzięki, ale i tak nie spałem. Ale chętnie napiłbym się jeszcze kawy.

– Oczywiście – odparła dziewczyna i po chwili wróciła z parującą filiżanką. – Może dam panu poduszkę albo koc?

Jeff pokręcił głową i z rozkoszą pociągnął łyk gorącego płynu. Jako lekarz wiedział, że nie powinien pić tyle kawy, ale podczas długich godzin spędzanych w szpitalu tylko kofeina go napędzała. Kofeina i myśli o Tish.

Jeff zamknął oczy i wrócił myślami do tamtego

brzemiennego w skutki tygodnia w Arizonie. To wtedy się poznali...

Od tamtego wieczoru nie mógł oderwać od niej oczu. Patrzył na nią sąsiedniego jadalni od sąsiedniego stolika, przy ogrodzeniu pastwiska, przy ognisku, gdzie zgromadziło się kilku agentów i gości, by wspólnie pośpiewać. Patrzył i uśmiechał się czasami, ale rzadko się odzywał czy podchodził na tyle blisko, by mógłby ją dotknąć. Mimo, że bardzo tego chciał...Bardzo.

Tish również go obserwowała, czasami otwarcie, innym razem rzucając tylko szybkie spojrzenie przez ramię czy rozglądając się za nim po jadalni. Od czasu do czasu przyłapywał to jej spojrzenie, ale ani razu nie zrobiła nawet kroku w jego stronę, choć chwilami miał wrażenie, że jest już tego bliska.

Podobał mu się sposób, w jaki się poruszała, wyprostowana i dumna, jej uśmiech, ciepły i serdeczny, szczególnie kiedy rozmawiała z dziećmi. Jednemu z nich, dwunastoletniemu Luke'owi, dała nawet kilka lekcji konnej jazdy. A mały, z początku przestraszony i spięty, podziękował jej potem serdecznym uściskiem. Przyjęła go z początkowym zdziwieniem, ale szybko rozpromieniła się i odwzajemniła.

A potem nadeszło to popołudnie, mniej więcej tydzień po ich poznaniu się, kiedy to na ranchu odbyło się znakowanie nowonarodzonych cieląt. Nie było to miłe zajęcie, wymagało zręczności, siły i odrobiny

bezwzględności. Jeff zdecydowanie za tym nie przepadał. East kazał mu w tym okresie rekonwalescencji robić tylko to na co ma ochotę, ale kiedy kierujący tą akcją mężczyzna poprosił go o pomoc, nie odmówił. Wiedział, że z obecnych na ranczu agentów jest najmłodszy i najmniej doświadczony i domyślał się, że robotnicy chętnie go przetestują.

Po czterech godzinach zmagania z wierzgającymi cielętami czuł, że zaraz padnie. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że ma tyle mięśni i że mogą tak boleć. Pot zalewał mu oczy, a minęło dopiero pół dnia. Znakowaniem kierował Mac i to on wypuszczał cielęta z boksów i kierował je w stronę Jeffa i trzech innych mężczyzn ze znakownicami. Facet był złośliwy, niski, o krzywych nogach. Przedwcześniełysiał, więc nigdy nie zdejmował kapelusza. Miał temperament więziennego strażnika i nikt go nie lubił, także Jeff.

Tego dnia Mac szczególnie uwziął się na Teddy'ego, świeżo zatrudnionego dziesięcioletka. Ciągle na niego krzyczał, że pracuje zbyt wolno, ma za mało sił i się nie stara. Chłopak, poniżany tak w obecności sześciu innych pracowników wiszących na płocie, był bliski łez. To wtedy Mac postanowił go dobić. Wrzasnął, że Teddy do niczego się nie nadaje, wyrwał mu z ręki znakownicę i przez moment wyglądał tak jakby chciał przytknąć rozpalony metal do delikatnej skóry chłopaka. Splunął jednak tylko i rzucił narzędzie na ziemię.

Do dziś Jeff nie wiedział, co w niego wstąpiło. Nie

był bynajmniej bohaterem, a Mac był o dobre kilkanaście kilo od niego cięższy. Przez lata tułaczki miał jednak często do czynienia z takimi ludźmi i nienawidził ich. Stał za Makiem, rzucił swą znakownicę i krzyknął, by zwrócić na siebie jego uwagę.

Mac spojrzał tylko na niego przez ramię.

– Co powiedziałeś?

– Powiedziałem, żebyś zostawił go w spokoju – odparł Jeff. Stał na szeroko rozstawionych nogach i mierzył go groźnie wzrokiem.

Mac uśmiechnął się nieprzyjemnie i zrobił krok w jego stronę.

– Ciekawe, kto mnie do tego zmusi.

– Ja – odparł Jeff i wymierzył prawy sierpowy w żołądek mężczyzny. Szybko poprawił lewym w jego szczękę.

Mac padł na ziemię tuż obok ogniska, w którym rozgrzewano znakownicę. Szybko zerwał się na nogi i natarł na Jeffa jak rozjuszony byk. Ten jednak był szybszy i młodszy, więc w porę się usunął. Mac spróbował jeszcze raz, ale tym razem tylko musnął go w ramię.

Rozbawieni pracownicy zagrzewali ich do walki, ale Jeff miał już dość. Nie czekał, aż Mac znów się na niego zamierzy, lecz ubiegł go ponownym ciosem w szczękę. Facet padł jak złamane drzewo. Jeszcze próbował się podnieść, uniósł nawet głowę i...stracił przytomność.

Jeff ściągnął rękawiczki.

– Na dziś mam dość – oznajmił i wyszedł z zagrody. Chłopak, w którego obronie stanął był zbyt zaskoczony i prawdopodobnie zbyt przerażony, by się ruszyć, ale świadkowie całego zajścia głośno wyrazili swą aprobatę, a kilku nawet poklepało Jeffa po ramieniu.

Jeff był spocony, zmęczony i zły na siebie. Zrobił dokładnie to, przed czym wielokrotnie przestrzegał go East. Załatwił sprawę pięściami, pięściami nie rozumem. Kiedy włóczył się po ulicach był młody i przeżył tylko dlatego, że miał odwagę stawić czoło starszym włóczęgom. Skończył jednak z tym przed dziesięcioma laty, no, przynajmniej tak mu się wydawało, dopóki Mac nie posunął się za daleko.

Zbliżając się do stajni usłyszał za sobą czyjeś szybkie kroki, potem ktoś dotknął jego ramienia. To był Teddy, zawstydzony i nieśmiały. Jego krzywe zęby aż się prosiły o ortodontę.

– Dzięki – szepnął i zaczerwienił się.

Jeff skinął tylko głową i szedł dalej. Nie od razu zauważył stojącą w progu Tish, spoglądającą na niego z szacunkiem. Minął ją jednak i wszedł do środka. Zdawał sobie sprawę, że Mac już na zawsze będzie jego wrogiem.

Poszedł prosto do swego pokoju, wziął długi, gorący prysznic, a potem położył się na łóżku. Bolały go nie tylko mięśnie, ale i prawa ręka. Od kiedy to zakopano go żywcem, kiedy nie wiedział, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzy światło dnia, był coraz bardziej

niecierpliwym. Cieszył się, że żyje i nie rozumiał, czemu inni nie wiedzą tego, co on – że każdy dzień jest darem. Te wszystkie małe kłótnie, złość, gnębienie młodszych i słabszych doprowadzało go do furii. Wiedział, że musi to jakoś opanować, bo inaczej stanie się taki, jak ci, którymi gardzi.

Leżenie nie było jego ulubionym zajęciem, wstał więc i próbował oglądać telewizję, nic go jednak nie zainteresowało. Przekartkował kilka pism, ale nie miał ochoty na czytanie. W końcu zaczął spacerować po pokoju. Myślał o Tish i zastanawiał się czemu nagle wykazała nim zainteresowanie, choć tylko z daleka.

Nie miał wielkiego doświadczenia z kobietami, mieszkał bowiem głównie w ośrodku. Oprócz dzieciaków w szkole miał do czynienia tylko z dużo od siebie starszymi agentami SPEAR. W dodatku East cały czas gonił go do nauki, by nadrobił stracone lata. Potem był koledż i studia. Pracował wtedy tak ciężko, że w domu od razu kładł się do łóżka.

Owszem, było w jego życiu kilka kobiet, nie był przecież mnichem. Znał więc już to kobiece spojrzenie, z początku oceniające, potem pełne nadziei.

Tak właśnie patrzyła na niego Tish Buckner.

Może po kolacji powinien namówić ją na spacer i lepiej ją poznać. Jeff spojrział na zegarek. Dochodziła szósta. Wrócił do łazienki i zaczął się szykować. Uczesał włosy, włożył czyste spodnie, granatową koszulę i mokasyny zamiast butów kowbojskich.

Wklepując w twarz wodę kolońską przyjrzał się swemu odbiciu i odezwał się do lustra.

– Lepiej nie będzie.

Czyżby to przez Tish zaczął mówić sam do siebie? Zaśmiał się na cały głos, chwycił skórzaną kurtkę i wyszedł z pokoju.

Była już w jadalni, jak zwykle przy sześćciosobowym stoliku Slima. Reggie Miller, czterdziestokilkuletni agent, który uważał się za dar zesłany przez Boga kobietom, zabawiał ją i jeszcze dwie agentki opowieściami o swej pracy drwała. Jeff napełnił sobie talerz przy bufecie i dołączył do nich.

Reggie spokojnie dokończył swą najwyraźniej zabawną opowieść, bo kiedy zamilkł, nagroził go wybuch śmiechu. Jeff skupił się na jedzeniu, od czasu do czasu tylko spoglądał na Tish.

– Słyszałem, co się zdarzyło dziś w zagrodzie – zwrócił się na stronie do Jeffa Lim. – Zdaje się, że naruszyłeś Macowi kilka zębów. Szkoda, że tego nie widziałem.

– Dobrze, że ktoś mu w końcu dał nauczkę – skomentowała siedząca z drugiej strony Jeffa Marge Collins. – Ale na twoim miejscu miałabym się na baczności. To podły człowiek.

– Jestem pewna, że Jeff da sobie radę – wtrąciła się Tish, spoglądając na Jeffa.

– Ja też kiedyś trochę boksowałem – Reggie bardzo znów chciał zwrócić na siebie uwagę. – A ty, synku, gdzie się tego nauczyłeś? Zdaje się, że na ulicy,

co?

Reggie, kiedy tylko miał okazję, nazywał go synkiem, choć dobrze znał jego imię. Chyba w ten sposób chciał się trochę dowartościować, ale tym razem Jeff nie miał ochoty stawać z nim do pojedynku. Jedna bójka dziennie wystarczy.

– To bez znaczenia. W każdym razie podziałało – odparł.

Reggie nie potrafił wymyślić żadnej sprytnej riposty, zmienił więc temat na planowaną nazajutrz wyprawę na pastwiska. Trzeba było dostarczyć sól dla pasących się tam krów.

– Moglibyśmy pojechać razem, Tish. O tej porze roku jest tam naprawdę pięknie.

Odpowiedziała mu coś niezobowiązującego i odwróciła się do Lima, który akurat o coś ją zapytał. Rozmowa aż do końca kolacji toczyła się na różne ogólne tematy. Dopiero kiedy Reggie wstał, żeby wziąć sobie deser, Jeff dostrzegł swoją szansę. Odsunął krzesło, wstał i podszedł do Tish.

– Bardzo ładny dziś wieczór – zaczął, wdychając świeży zapach jej włosów. – Może masz ochotę na spacer...

– Chętnie, Jeff, ale...

– Ale obiecała zagrać ze mną w szachy – dokończył za nią Reggie, który właśnie wrócił z ogromnym kawałem ciasta. – Ty, synku, chyba nie grasz, co?

Po raz drugi tego dnia Jeff miał ochotę mu przyłożyć i wcale mu się to nie spodobało.

– No to innym razem – rzekł chłodniej, niż zamierzał i wyszedł z jadalni.

Musiał zaczerpnąć świeżego powietrza., rozładować energię i złość. Po drodze zajrzał do kuchni, podziękować Elsie za wspaniały rostbef. Przy okazji wsunął do kieszeni kilka surowych marchewek i jabłek.

Wyszedł na ganek i przez chwilę wdychał świeże, górskie powietrze. Potem ruszył w stronę stajni. Po kilku krokach zatrzymał się, zamknął oczy i wsłuchiwał się w odgłosy nocy. Tu, z dala od ludzi i zabudowań wszystko było takie inne. Świat pulsował dźwiękami – pluskiem potoku płynącego po kamieniach, łopotem skrzydeł ptaków, muzyką świerszczy, jakimś popiskiwaniami w krzakach, pohukiwaniem sowy.

Jeff naciągnął kurtkę i ruszył dalej. Po chwili słyszał już rzenie koni. Mieszkały w słabo oświetlonym długim, blaszanym baraku, podzielonym na boksy, z cementową podłogą. Wszystkie stajnie w Red Rock były bardzo nowoczesne i elektronicznie monitorowane przez zarządzającego ranczem lub jego zastępcę, więc w nocy niczyja obecność nie była tam potrzebna. Czasem tylko któryś z pracowników zaglądał do swego ulubieńca, do chorej krowy czy nowonarodzonego cielaka.

Dziś jednak nie było nikogo, kiedy więc Jeff szedł główną aleją konie strzygły uszami i zwracały ku niemu głowy. Czasem któryś zarżał cicho, by zwrócić na siebie jego uwagę. Pachniało skórą i zwierzętami.

Zatrzymał się przy dwuletniej białej klaczy, na której jeździł poprzedniego dnia.

– Cześć, maleńka – szepnął i pogłodził ją po nozdrzach.

Klaczka od razu wyczuła smakołyki i próbowała dostać się do jego kieszeni. Jeff roześmiał się, dał jej marchewkę i ruszył dalej. Zatrzymał się dopiero przy Belladonnie.

– Co, znów ci dała wycisk? Widziałem was i miałem wrażenie, że ci się to podobało, co? – Ją też poczęstował jabłkiem.

– Odwiedziła cię tu wieczorem, Bella? A może gra w szachy z tym kretynem i cały czas myśli o mnie? – Jego samego rozbawiła ta myśl. Poklepał konia po łbie i podszedł do kolejnego boksu.

Domino, kary ogier, na którym jeździł przed południem, nerwowo grzebał kopytem. Kiedy dostrzegł Jeffa, zarżał i potrząsnął grzywą.

– Tak, wiem co czujesz, stary. Masz tam dziewczynę, co? Chciałbyś się pobawić?

Domino, jakby w odpowiedzi na jego pytanie, potrząsnął głową.

– Kobiety! Ciężko z nimi, co?

Ogier skończył jabłko i domagał się jeszcze. Uspokoił się, kiedy dostał marchewkę.

– Chciałem tylko pójść z nią na spacer – mówił dalej Jeff. – Czy prosiłem o zbyt wiele? Gdybym miał rozum, zapomniałbym o niej. Ale ja cały czas widzę te ogromne oczy, słyszę, jak śmieje się z samej siebie, jak

ciepło mówi o tacie. Jej skóra jest miękka, a włosy takie, że chce się zanurzyć w nie rękę. I te jej usta! Jest w Tish Buckner coś takiego, że...

Usłyszał za sobą jakiś odgłos i odwrócił się.

Stała dwa boksy od niego, z łokciem opartym o drzwiczki. Miała na sobie czarne spodnie i białą, jedwabną bluzkę. Przed chłodem nocy chroniła ją ruda, zamszowa kurtka. Nawet w tym nikłym świetle widział, że obserwuje go uważnie.

Zakasłał, by ukryć zaskoczenie.

– Przerwałaś nam męską rozmowę – rzekł.

– Przepraszam. No to może raczej zostawię was samych.

– E tam, nie ma sprawy. Może zostać? – zwrócił się do Domina, który praktycznie miał już cały pysk w jego kieszeni. – Tak? To dobrze. Możesz zostać.

– To miło z waszej strony. – Kryjąc uśmiech, Tish podeszła bliżej.

– Mamy wspólne problemy, wiesz? Z kobietami. On i ja.

– Problemy? Może mogę wam jakoś pomóc? Jestem przecież jedną z nich.

– O, tak. Zauważyłem. – Jeff spojrział na chrupiącego marchewkę ogiera. – Mogę ją wciągnąć do rozmowy? – Milczenie konia wziął za zgodę. – No więc Domino zainteresował się pewną klaczą i chciałby ją bliżej poznać, zobaczyć, czy coś mogłoby z tego być, rozumiesz? Ale ona się opiera, udaje, że nie ma ochoty, choć my myślimy, że ma. Jak ty byś sobie

z tym poradziła?

Tish wsunęła ręce w kieszenie kurtki i spojrzała na zaśmieconą sianem podłogę.

– To trudna sprawa. A nie wpadło żadnemu z was do głowy, że może ona wcale nie ma ochoty i tylko nie chce obrazić jego uczuć odmową wprost?

– Nie – odparł natychmiast Jeff. – Wiemy, że jest zainteresowana. Mężczyźni wiedzą takie rzeczy. – Uśmiechał się teraz przekornie i wyzywająco.

– Rozumiem. Może więc jest zainteresowana, odrobinę, ale ma powody, by się w to nie wdawać. Może zależy jej na pracy i uważa, że to błąd wiązać się z kimś z kolegów. – Tish przerwała i spojrzała na niego. – A może po prostu w ogóle związki niezbyt dobrze jej się układają i woli żyć...bez obciążeń.

– Bez obciążeń – powtórzył w zamyśleniu Jeff. – Dobre słowo, ale mam wrażenie, że Domino miał raczej na myśli romans.

Tish uniosła brwi.

– Romans? Panowie drodzy, wiedźcie więc, że większość istot płci żeńskiej, wśród ludzi i u koni, nie przepada za romansami. W każdym razie nie dojrzałe istoty, którym zależy na poważnej karierze.

– Aha – skomentował Jeff i przysunął się bliżej. – A więc nie masz ochoty na kolejny związek ani romans. Nic dziwnego, że my, mężczyźni nie możemy zrozumieć was, kobiet. – Ruchem zbyt szybkim, by zdążyła zareagować, chwycił za przód jej bluzki i przyciągnął ją do siebie. – Może to pomoże ci

się zdecydować.

I jego usta spoczęły na jej wargach.

Zaskoczony swą odwagą wiedział, że nie może się teraz wycofać. Jego kontakty z innymi agentami ograniczały się dotąd do uścisku ręki, a oto teraz pozwala sobie na coś takiego z osobą, którą poznał zaledwie parę dni temu. Jedynym usprawiedliwieniem jego zachowania był fakt, że od chwili, kiedy pierwszy raz ujrzał Tish Buckner nie był w stanie myśleć o niczym innym.

Spodziewał się, że wybuchnie, może będzie walczyć, albo kopnie go w kostkę i wymierzy policzek. Przecież już dwa razy ostrzegąca go, by trzymał ręce przy sobie. Ona jednak na kilka długich sekund znieruchomiała i zeszywniała. Jeff zignorował to i próbował zmusić jej wargi do reakcji, podczas gdy jego ręce pieściły jej kark i plecy. I kiedy już zamierzał się poddać i przyznać jej wygraną w tej rundzie, jej wargi zaczęły odpowiadać.

Pozwoliła mu badać sekrety swych ust, a ramionami objęła go za szyję. Jej wargi były tak miękkie i chętne, że pił z nich jak strudzony wędrowiec na pustyni. Kiedy w dodatku przywarła do niego całym swym drobnym ciałem, zadrżał i odsunął się.

Oddychając ciężko patrzyła na niego, a po chwili, imitując jego wcześniejszy gest, chwyciła go za przód koszuli, przyciągnęła do siebie i znów pocałowała.

I w tej chwili Jeff poczuł, że się zakochuje. Od jak dawna podświadomie pragnął i czekał na taką kobie-

tę? Jej zapach, dotyk i smak wymazał wszelkie wspomnienia poprzednich kobiet. Ze świadomością, że oto znalazł swą drugą połówkę, zanurzył ręce w jej gęste włosy i...

Tym razem to ona się odsunęła. Cofnęła o krok, spuściła głowę i próbowała się uspokoić. Jeff patrzył na nią zmieszany. Chciał ją pocałować, zainteresować sobą, ale nawet w najśmielszych marzeniach nie podejrzewał, że oboje tak na to zareagują.

Zauważył, że Tish potrząsa głową, jakby chciała uporządkować myśli. Czuł, że powinien coś powiedzieć, lecz nie bardzo wiedział co.

– Posłuchaj, ja...

– Nie – przerwała mu. – Ja... – Tish wyraźnie szukała właściwych słów. – Nie spodziewałam się, że to się stanie i że tyle...

– Poczujesz?

Dopiero teraz spojrzała mu w oczy.

– Tak właśnie. To jeszcze jeden powód, bym trzymała się od ciebie z daleka. Nie mam czasu na to, co być może zamierzasz. SPEAR jest dla mnie bardzo ważne i...

– Dla mnie też jest ważne. Ale to, co do siebie czujemy nie ma z nim nic wspólnego.

– Dzięki SPEAR mam w życiu konkretny cel, a bardzo tego potrzebuję. Nie potrzebuję romansu ani niczego tym sensie.

Jeff postanowił nieco zmienić taktykę. Nie chciał przecież jej spłoszyć.

– Może więc umówimy się na przyjaźń i zobaczymy co z tego wyniknie? – zaproponował, choć wiedział, że już w tej chwili są lata świetlne od przyjaźni.

Tish przez chwilę przyglądała mu się uważnie, poczym pokręciła głową.

– Nie, wiem, że nie przyjaźń masz na myśli. Widzę to w twoich oczach. Zauważyłam, jak od kilku dni stale mnie obserwujesz wiem o czym myślisz.

– No to o czym twoim zdaniem? – Jeff zrobił krok w jej stronę.

– O czymś więcej. O wiele więcej, niż mam do dania.

Jeff przez kilka sekund rozważał jej słowa.

– Ktoś cię bardzo zranił, prawda?

– Prawda – przyznała cicho i skrzyżowała ręce na piersiach.

– I dlatego nie pozwalasz nikomu się do siebie zbliżyć, tak? Nie chcesz znów tego przeżywać? – Jej milczenie było wymowne. Kiedy zrobił kolejny krok w jej stronę i był już bardzo blisko, musiała na niego spojrzeć. – Dlaczego sądzisz, że i ja mógłbym cię zranić, Tish?

– Bo mogłabym się do ciebie przywiązać. Tylko ludzie na których nam zależy mogą nas zranić.

Chciał spytać kto ją zranił, co się stało, ale nie chciał jej wystraszyć. Nie będzie się spieszył. Na pytania przyjdzie czas później.

Rozplątał jej ręce i ujął jej dłonie.

– Nie skrzywdzę cię, Tish. Przysięgam. Pozwól,

żebym ci to udowodnił.

Zamknęła oczy, jakby walczyła z samą sobą.

– Proszę cię, Jeff. Nic z tego nie będzie.

– Będzie, będzie. Już jest – uśmiechnął się.

– Nie, poważnie. Nie mogę się z nikim wiązać.

Przestraszył się, bo nie zabrzmiało to jak dobra nowina.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś zamężna?

Wszystkowiedząca recepcjonistka twierdziła, że Tish jest niezamężna, ale mogła się mylić. Czyżby nadal była związana z mężczyzną, który ją skrzywdził?

Wpatrywała się w jego oczy, a sekundy mijały.

– A gdybym była, czy to by coś zmieniało?

– Nie, gdybyś była szczęśliwą mężatką, nie całowałabyś mnie tak, jak przed chwilą – zauważył, ale mimo to z niepokojem czekał na jej odpowiedź.

– Masz rację. Nie jestem zamężna – przyznała w końcu, a on odetchnął z ulgą.

– Kiedy wyszedłeś z jadalni wypytałam trochę Lima o ciebie. – Wpatrywała się teraz zafascynowana w jeden z guzików jego koszuli. – Chciałam się dowiedzieć...

– Myślałem, że będziesz grać w szachy z naszym przystojniaczkiem.

– Jakoś się od tego wymówiłam.

– Brawo. Nie przeszkadza mi, że rozmawiałaś ze Slimem. Nie mam nic do ukrycia. Powiedział ci coś, co cię zaniepokoiło?

– Nie aż zaniepokoiło, ale wspomniał, że masz

jeszcze dwa lata stażu, a mnie SPEAR wysłała po całym świecie. Związki na odległość rzadko się sprawdzają, a ja jestem bardzo oddana swojej pracy.

– Ja też jestem oddany SPEAR. Ale to nie ma z tym nic wspólnego. Widzisz, on też się ze mną zgadza – dodał, słysząc rzenie Domina.

– Nie, Jeff, zaczekaj, ja...

– Nie, to ty zaczekaj. – Nachylił się ku niej i jego twarz była tylko parę centymetrów od jej. – Powiedz mi, co czułaś, kiedy cię całowałem, kiedy ty całowałaś mnie. Tylko szczerze. I pamiętaj, że Domino słucha.

Na wspomnienie tego, o czym wspomniał, wyraźnie się rozpromieniła i lekko zarumieniła.

– Szczerze? – Przez chwilę wahała się, potem najwyraźniej postanowiła powiedzieć mu prawdę. – Czułam, że wiruje mi ziemia pod stopami, było mi tak gorąco, że bałam się, że się rozplnę. Nigdy dotąd czegoś takiego nie doświadczyłam.

Jeff uśmiechnął się.

– Ja też, a tego przecież żadne z nas nie potrafiłoby udawać. Najważniejsze jest to, co czujemy teraz. Przyszłość jakoś się nam ułoży. Spróbujmy przyjaźni, poznajmy się, bawmy. I nie martwmy się. – Chciał ją pocałować, ale powstrzymała go ręką.

– To dla mnie za szybko. Dopiero się poznaliśmy i...

– I pocałowaliśmy. I nic już nie będzie takie samo. Dla nas obojga.

– Widzę, że jesteś niepoprawnym romantykiem

– westchnęła. – Życie nie jest takie proste. To, że ktoś nam się podoba, nie oznacza jeszcze, że będzie się z nim do grobowej deski, na dobre i na złe. Wiem coś o tym. Dwa lata temu przysięgłam sobie, że nie dam się już nigdy na to nabrać. Ty najwyraźniej nie poznałeś jeszcze tej ciemniejszej strony życia.

Nie w ten sposób chciał jej o tym powiedzieć, jeśli w ogóle. Trudne dzieciństwo i późniejsza tragedia to nie były sprawy, o których lubił mówić. Ona jednak najwyraźniej uważała go za blondwłosego księcia w czepku urodzonego. Musiał ją wyprowadzić z błędu.

– Chyba masz rację – rzekł, cofając się. – Chyba rzeczywiście nie znam ciemnej strony życia. Jeśli nie wspomnieć o tym, że jestem dzieckiem dwojga alkoholików, którzy na szczęście byli tak uprzejmi, że porzucili mnie, gdy miałem dziesięć lat. Cztery lata na ulicy to też chyba nie kaszka z mleczkiem. No i jeszcze ta ostatnia sprawa, kiedy to porwali mnie ludzie Simona, żywcem zakopali w ziemi i zostawili, bym zdechł. Poza tym rzeczywiście moje życie było usłane różami.

Widząc jej przerażenie przez chwilę żałował, że był tak obcesowy. Nie chciał jednak, by myślała o nim, jak o rozpieszczonym synalku bogatego tatusia.

– O Boże, Jeff. Porzucony. Zakopany żywcem. Nie miałam pojęcia.

– A ja wcale nie chciałem o tym mówić, ale musisz zrozumieć, że to wszystko, co zdarzyło się naszym

życiu uczyniło nas takimi, jacy jesteśmy. Zdaję sobie sprawę, że życie nie jest proste i że nic nie gwarantuje szczęścia do grobowej deski. Ale kiedy zjawia się ktoś, na kim nam zależy, chyba grzechem by było go odrzucić. Rozumiesz o co mi chodzi?

Najwyraźniej chciała zadać mu jeszcze kilka pytań, uznała jednak, że to nie pora.

– Tak.

Jeff wziął ją w ramiona.

– To dobrze, bo i tak przede mną nie uciekniesz. Możesz się ukryć, ale i tak cię znajdę.

Uśmiech na jej twarzy był szczery. Nareszcie.

– Nie chcę przed tobą uciekać ani się chować. Ale chciałabym cię o coś poprosić.

– Możesz prosić o wszystko.

– Czy mógłbyś mnie jeszcze raz tak pocałować?

Nie musiał odpowiadać.

Jeszcze przez jakiś czas zostali w stajni, zaglądali do boksów, podziwiali konie i co chwila rozgrzewali się pocałunkami. Kiedy w końcu wrócili do głównego budynku nie spał jeszcze tylko nocny recepcjonista.

– Nie chcę, żebyś odchodziła – szepnął Jeff już przed drzwiami do jej pokoju. Obejmował ją w pasie, wargami muskał koniuszek jej ucha.

Tish przez chwilę walczyła ze sobą. Chciała być z nim, a równocześnie wiedziała, że nie powinna zaczynać czegoś, czego nie może skończyć.

– Ja też – przyznała w końcu.

Jeff przez chwilę przyglądał jej się uważnie.

– Wyglądasz, jakbyś się bała? Czego?

– Boję się, że zbyt szybko i głęboko się angażuję, a przecież przysięgam sobie, że nigdy więcej.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Może gdyby opowiedziała mu o tym człowieku, który ją zranił, poczułaby się lepiej. Mogliby wejść do jej pokoju, usiąść na kanapie...Choć wiedział, że byłoby mu trudno jej nie dotknąć, gotów był na to przystać.

– Nie. Może kiedyś, ale nie teraz. – Lekko pogładziła go po włosach, potem musnęła ręką jego policzki i podbródek. – Masz niesamowite zielone oczy. To pierwsze, co u ciebie zauważyłam.

– Nie moją męską budowę?

– Ona też nie jest zła, ale nie, pierwsze były oczy. Są takie niesamowicie zielone w dzień, a w nocy robią się szmaragdowe. Zazdroszczę ci.

– Nie masz czego. Twoje oczy mogłyby być każdego koloru, a i tak byłyby piękne.

– Nie domagałam się komplementów.

– Wiem. Zresztą powiem ci, że to nie twoje oczy zauważyłem najpierw.

– Nie? A co? – spytała ostrożnie.

– Sposób w jaki jechałaś na koniu, jakbyście z kłaczą stanowiły jedno. Byłem pod wrażeniem. Ja i wszyscy inni, którzy to widzieli. Gdzie się nauczyłaś tak jeździć?

Miał wrażenie, że przez jej twarz przebiegł jakiś

cień, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Pod Nowym Jorkiem, gdzie się wychowałam. Moja rodzina należała do klubu jeździeckiego i myśliwskiego.

– Ach ta arystokracja. Najlepsze szkoły, najładniejsze sukienki itd. Papa na pewno miał kupę forsy.

Tym razem nie mógł już nie zauważyć jej lodowatego spojrzenia.

Wysunęła się z jego objęć i otworzyła drzwi do swego pokoju.

– Dobranoc.

Wiedział, że swym komentarzem dotknął jakiegoś czułego punktu, ale i to postanowił zbadać później.

– Bez pocałunku? Nie ma mowy.

Jej wargi tylko z początku były chłodne. I choć chciał wejść za nią do środka, rozebrać ją i położyć na zajmującym prawie pół pokoju łóżku, nie zrobił tego. SPEAR nie była zachwycona, kiedy jej agenci współżyli ze sobą tak otwarcie. Więc choć dużo go to kosztowało, cofnął się.

– Do jutra.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jeff obudził się nagle, zdziwiony, że w ogóle spał. Zdrętwiały odpiął pas i wstał, rozglądając się po pierwszej klasie samolotu. Światła były przyćmione, a pozostałych pięciu pasażerów pogrążonych było we śnie. Mężczyzna po przeciwnej stronie nadal chrapał, ale już nie tak głośno. Matka i córka, wtulone w siebie, posapywały przez sen. A młoda para, wyglądająca na świeżo poślubioną, skuliła się razem pod kocem.

Jeff przeciągnął się. Jakże im zazdrościł. On i Tish tak niewiele czasu spędzili razem. Tyle rzeczy stawiało im na drodze – jego obowiązki szpitalne, zobowiązania wobec SPEAR, różne sprawy codzienne. Nic dziwnego, że ich wspólna droga była taka wyboista.

Przeszedł do przodu samolotu, kiwnął głową stewardessie i wszedł do niewielkiej łazienki. Opłukał twarz zimną wodą i wytarł papierowym ręcznikiem. Zastanawiał się, czy się nie ogolić, ale uznał, że to może poczekać. Spojrzał na zegarek. Do lądowania

jeszcze dwie godziny, mógł więc tylko czekać.

Wrócił na miejsce. Za oknem nadal było ciemno. Był człowiekiem czynu i nie znosił czekać. A w dodatku nie wiedział, jak się czuje Tish. Chciał nawet znów zadzwonić do szpitala, ale nie chciał denerwować personelu.

Usiadł więc wygodnie i znów pogрузzył się we wspomnieniach...

Od ich pierwszego pocałunku tamtego letniego wieczora w stajni na ranchu Red Rock wiedział, że Tish jest kobietą dla niego. Nie wiedział skąd to wie, ale po prostu wiedział. Ani razu od tamtej pory nie miał co do tego wątpliwości. Przyjął to jako fakt. Tish jest tą jedyną.

Wiedział też równocześnie, że nie powinien jej na razie tego okazywać. We wszystkim, co do niego mówiła była ostrożna i uważna. Nie będzie się spieszyć. Cały jednak czas czuł w głębi duszy, że musi uczynić ją swoją i to uczucie ogarniało wszystkie jego myśli, kształtowało zachowanie, kazało myśleć przede wszystkim o jej potrzebach, nie o swoich.

Nazajutrz po ich pierwszym pocałunku w stajni obudził się wcześniej. Bardzo chciał, żeby dzień się już zaczął, żeby mógł ją zobaczyć, dotknąć, porozmawiać. Kiedy jednak zszedł na śniadanie, mimo, że nie było jeszcze siódmej, w jadalni zastał tylko Lima.

Jeff nalał sobie kawę i usiadł przy stole.

– Gdzie są wszyscy? – zagadnął jakby nigdy nic.

– Pojechali i to dość dawno. Kilku naszych wybrało się razem z robotnikami szukać zbłąkanych sztuk, które odłączyły się od stada. Zauważyłem to wczoraj z samolotu, więc poprosiłem o ochotników.

Jeff był wściekły, że nie wstał wcześniej.

– Kto z naszych? – spytał, prawie pewien, że Tish jest wśród nich. Coś się mówiło o tym wczoraj przy kolacji, ale nie zwrócił wtedy na to uwagi.

– Niech sobie przypomnę...John i Tanya. A, i jeszcze Tish. Pojechali z Derkiem, Mimem i Petem, robotnikami, którzy znają tę konkretną okolicę. Dostyc dziką i nieprzyjemną.

Dlaczego Tish nie wspomniała mu wczoraj tej wyprawie? Czyżby uznała, że po tym gorącym zbliżeniu należy im się trochę oddechu? A może wypadło jej to z głowy? Może też zdecydowała się w ostatniej chwili. Popijał kawę, patrzył na Lima i zastanawiał się, jak wydobyć od niego to, czego chce, nie wzbudzając podejrzeń.

– Tylko na jeden dzień, tak? – spytał.

Slim najpierw dopił kawę.

– Raczej trzy czy cztery. Samo dotarcie do głównego stada to sześć, siedem godzin jazdy. A czemu pytasz?

Jeff wzruszył ramionami, udając obojętność.

– Tak z ciekawości. Tutaj nic się specjalnego nie dzieje. – Wyjrzał przez okno. Dzień był słoneczny, choć pewnie chłodny. – Za ładnie, żeby siedzieć w domu, co?

Slim zasłonił ręką uśmiech.

– Mogę ci powiedzieć jak się dostać tam, dokąd pojechali. Oczywiście jeżeli cię to interesuje.

Jeff udał, że dopiero w tej chwili ten pomysł wpadł mu do głowy.

– No, skoro uważasz, że przyda im się jeszcze jedna para rąk...

– Na pewno nie zaszkodzi. Możesz przy okazji zawieźć wiadomość Justinowi. To jeden z tych pracowników naszego rancza, który jest tam już od trzech tygodni. Właśnie miałem telefon od jego żony. Była na kontroli, wszystko w porządku, dziecko urodzi się na pewno nie wcześniej, niż dopiero za trzy tygodnie. W przyszłym tygodniu już go stamtąd ściągamy, więc spokojnie zdąży na poród.

Jeff wiedział, że tylko jedna osoba pilnuje stada w tym górskim rejonie i że wszyscy zatrudnieni pełnią tam czterotygodniowe dyżury.

– Jasne.

Dostarczenie tej wiadomości będzie znakomitym wytłumaczeniem jego się tam pojawienia.

Slim wyjął z kieszeni mały notesik i ołówkiem zaczął szkicować w nim mapkę.

– Fajnie. Wiem, że bardzo się niepokoi o to dziecko. To jego pierwsze. To jest droga do zimowego pastwiska. Już niedługo będziemy całe to stado sprowadzać tutaj. Za jakieś dwa tygodnie. Jak zaczniesz jechać drogą, którą ci tu narysowałem, zaraz sobie wszystko przypomnisz. Krajobraz przecież nie-

wiele się zmienił od twojej poprzedniej wizyty. – Slim wyrwał kartkę i podał ją Jeffowi. – Walcz o nią, synu.

Powinien był wiedzieć, że przed Slimem niczego nie ukryje. Z głupią miną wziął od niego kartkę i schował do kieszeni koszuli.

– Zajrzyj do kuchni i poproś Elbę, żeby przygotowała ci jakiś prowiant. I nie zapomnij karimaty i koca. W nocy bywa tam bardzo zimno.

– Jeszcze raz dziękuję, Slim.

Na początku droga do zimowego pastwiska była bardzo malownicza, szeroka i wygodna, wkrótce jednak stała się zdradliwa i tak wąska, że z trudem mieściły się na niej końskie kopyta. Domino jednak, który całe swoje życie spędził na ranczu Red Rock, znał ją jak własną kieszeń i znakomicie sobie radził.

Jadąc na jego grzbiecie Jeff czuł się bezpiecznie, bo wiedział, że nawet gdyby nie miał mapy Slima, koń i tak doprowadzi go do celu. Wiedząc, że grupa, do której zamierzał dołączyć ma nad nim dwugodzinną przewagę, pospieszał go jak tylko mógł na tym kamiennym gruncie.

W pewnej chwili zauważył ślady lwich łap i pocieszył się, że pewnie groźne zwierzę śpi w jakiejś jaskini, zmęczone po nocnym polowaniu. Na wszelki wypadek miał jednak przytroczoną do siodła strzelbę.

Niebo było ciemnoniebieskie i właściwie bezchmurne. Na dole na ranczu było około siedmiu stopni, im wyżej jednak się wspinał, tym robiło się

chłodniej.

Na otwartej przestrzeni przyspieszył Domina i mijali teraz pryzmy czerwonych kamieni, od których ranczo wzięło swoją nazwę, a ziemia bogactwo minerałów. Wiał teraz mocny wiatr i Jeff głębiej nasunął kapelusz na czoło. Po godzinie zatrzymał się przy jakimś strumieniu i pozwolił Dominowi napić się i odpocząć. On sam pożywił się kanapką, bo w końcu nie zjadł przecież śniadania. W pewnej chwili miał wrażenie, że słyszy niesione wiatrem muczenie cieląt, ale chyba tak mu się tylko wydawało. Wypił trochę wody i ruszyli dalej.

Po godzinie Domino zastrzygł uszami i parsknął.

– Czujesz coś, stary? – spytał Jeff i poklepał go po szyi. – Założę się, że są tam też kłacze – dodał i spiął go mocniej.

Po kolejnych trzydziestu minutach rzenie koni było już wyraźne. Widać kłacze też poczuły ogiera. W tle muczały cielęta. Jeff spojrzął na mapkę Slima i stwierdził, że są już blisko.

Kilka minut później wyłonili się zza zakrętu i ujrze-li trzy konie przywiązane do jałowca, w którego cieniu troje agentów spożywało lunch. Pierwszy zauważył go John Winters.

– Cześć, Jeff. Nie wiedziałem, że zamierzasz się do nas przyłączyć.

– Właściwie sam się nagle zdecydowałem – wyjaśnił Jeff. Przywiązał Domina trochę dalej od kłaczy do mocnego konara innego drzewa.

Przywitał się z Tanya, a potem spojrzał na Tish. Obserwowała go uważnie, jakby zastanawiała się, jaka jest prawdziwa przyczyna jego obecności. Usiadł naprzeciwko niej i z kieszeni kurtki wyjął jabłko.

– Slim chciał, żebym przekazał Justinowi wiadomość o jego żonie.

– Yhm – John ze znaczącym uśmiechem skomentował jego wyjaśnienie. Zebrał papiery po swoich kanapkach i podszedł do swego konia, by schować je do torby. – Zaraz będziemy ruszać. A ty? Chcesz jeszcze odpocząć?

Żując jabłko Jeff pokręcił głową.

– Nie, nie jestem zmęczony. – Popatrzył, jak Tanya podchodzi do swej klaczy i zwrócił się do Tish. – Jak się masz?

– Dlaczego tu przyjechałeś? – spytała tak cicho, że musiał się nachylić, żeby usłyszeć jej słowa. – I nie wciskaj mi tego kitu o wiadomości dla Justina.

Udając zdziwienie Jeff spojrzał jej prosto w oczy.

– A jaki mógłbym mieć inny powód?

– Nie jesteś takim niewiniątkiem, jakie udajesz – nie dała się zwieść Tish. – Myślę, że masz jakieś ukryte cele, jakiś tajny plan.

– Obrażasz mnie. – Jeff nawet położył rękę na sercu, ale w jego oczach tańczyły psotne ogniki.

– Jesteś niemożliwy. – Tish potrząsnęła głową i wstała.

On też błyskawicznie zerwał się na nogi i stanął tuż przy niej.

– A uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział, że nie mógłbym wytrzymać tych czterech czy pięciu dni bez ciebie?

Tish cofnęła się o krok.

– Nie, nie uwierzyłabym.

– Twarda jesteś.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – odparła i podeszła do Belladonny.

Odwiązując Domina, Jeff uśmiechnął się do siebie. A ty nie wiesz jak bardzo ja jestem uparty, odpowiedział jej w duchu.

Kiedy dotarli do zimowego pastwiska, gdzie pracownicy rancza rozłożyli swój obóz, słońce chyliło się już ku zachodowi. Pete i Derek zdążyli już znaleźć i uratować cielę, które uwięzło w jakiejś szczelinie, ale Jim nie wrócił jeszcze z inspekcji okolicy. Nowoprzybyli najpierw zajęli się swymi końmi, potem spytali robotników w czym mogą im pomóc.

– Jutro rano się rozdzielimy – Pete, jako najbardziej doświadczony, przejął dowództwo. – Pojedziemy dwójkami, każda w określone miejsce. Trzeba znaleźć wszystkie zabłąkane cielęta i krowy i przyprowadzić je tutaj. Justin powinien zaraz nadejść. Gdyby któreś z was zajęło się kolacją, jestem pewien, że chłopak będzie zachwycony. Chętnie zje coś innego niż fasola z puszki.

Derek spojrział w niebo.

– Myślę, że chyba nie musimy dziś rozstawiać

namiotów. Nie wygląda, żeby miało padać. Możecie rozłożyć karimaty po prostu tutaj – brodą wskazał porośnięte trawą miejsce pod drzewami.

Szybko zebrali drewno i po chwili ognisko było już gotowe. Jeff postawił na ogniu duży, czarny gar, a kobiety włożyły do niego przygotowany przez Elbę gulasz. Tanya rozstawiła blaszane talerze i sztuce, a Tish pokroiła bochenek pachnącego, żytniego chleba, kolejną specjalność Elsy.

Nawet jeśli Tish zauważyła, że Jeff rozłożył swoją karimatę tuż obok jej, nie dała tego po sobie poznać. Wkrótce ze swych poszukiwań wrócił Jim, niestety z pustymi rękami. Zjawił się też po obchodzie Justin. Ucieszył się na widok towarzystwa, a jeszcze bardziej z przyniesionej przez Jeffa uspokajającej wiadomości o żonie.

– Dzięki – rzekł z szerokim uśmiechem na ogorzałej twarzy. Miał jasną skórę i blond włosy, więc słońce niezbyt mu służyło, mimo stale nasuniętego na oczy kapelusza z szerokim rondem.

– Czy twoja żona robiła USG? – spytał Jeff, kiedy usiedli przy ognisku. – Wiecie już, czy to będzie dziewczynka czy chłopiec?

– Nie, nie chciała. Ja chętnie bym wiedział, ale Marianne powiedziała, że lepiej mieć niespodziankę. – Justyn wrzucił do ogniska niedopałek papierosa. – Zresztą to właściwie wszystko jedno, byle ono i Marianna byli zdrowi.

– Medycyna poczyniła ogromne postępy – zauważył

Jeff. – Problemy przy porodzie zdarzają się już bardzo rzadko.

– To dobrze, bo chciałbym mieć ich jeszcze czworo więcej. Pięciu synów, moją własną drużynę koszykówki. Nie mówiłem o tym jeszcze Marianne – dodał z uśmiechem.

– To może jeszcze zaczekaj, w każdym razie dopóki nie dojdzie do siebie – poradziła mu Tanya.

– A co jeśli wyjdzie pięć dziewczynek? – zażartowała Tish. – Pięć sukienek na bal maturalny, pięć wesel do wyprawienia.

– Nawet nie mów – roześmiał się Justin. Zobaczył, że gulasz jest już gorący i pierwszy nałożył sobie na talerz. – Jezu, ale pachnie. Po trzech tygodniach tylko z krowami, suszonymi owocami i fasolą z puszki, człowiek zaczyna tęsknić. I wcale nie za kobietą, ale za kawałem porządnego kotleta.

– Rzeczywiście za długo tu siedziałeś – skomentował Jim i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Przysłuchując się jednym uchem toczącej się rozmowie, Jeff trzymał się na uboczu. Nie był pracownikiem rancza, a i agentem SPEAR dosyć świeżym, czuł więc, że nie przynależy tak naprawdę do żadnej z dwóch grup. Zdarzyło mu się to nie po raz pierwszy. Dorastając w domu, gdzie normą było pijaństwo, czuł się źle i cały czas marzył o ucieczce. I jak tylko podrósł, spełnił to marzenie.

Żyjąc na ulicy też nigdy nie czuł się bezpieczny, nikomu nie ufał, z nikim nie zaprzyjaźnił, bo wszelka

bliskość oznaczała tylko kłopoty. Dzieci ulicy sprzedadzą cię za kawałek chleba, albo za dolara na tanie wino czy działkę narkotyku. Dopóki East nie wziął go do siebie, nie znał uczucia przynależności. Nawet wtedy dopiero po wielu miesiącach czy wręcz latach nauczył się ufać i czuć bezpiecznie z kimś oprócz Easta.

Teraz siedząc tu razem z robotnikami Red Rock i kolegami agentami czuł łączącą ich pewną więź, ale mimo to zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę nie przynależy ani do jednych ani do drugich. Ciekaw był, czy kiedykolwiek się to zmieni.

Kończąc jeść spojrzął na Tish i zauważył, że ona też trzyma się na obrzeżu grupy, obserwuje i słucha, ale rzadko się odzywa. Ciekaw był, czy to poczucie wyobcowania jest rzeczywiście ich wspólną cechą, czy też widzi w jej zachowaniu coś, czego tak naprawdę tam nie ma. Może po prostu jest nieśmiała albo krępuje ją jego obecność. Wczoraj przecież połączyły ich ogniste pocałunki. Dla niego zmieniające całe życie. A dla niej?

Musiał się tego dowiedzieć. To dlatego podążył za nią w to kamieniste odludzie.

Po kolacji wszyscy zajęli się sprzątaniami, mężczyźni i kobiety pospołu.

Później Justyn namówił Pete'a i Johna na karty. Dołączył do nich Jim, a Tanya poszła do strumienia się umyć, starając się jednak nie odchodzić za daleko. Tish, pogrążona w myślach siedziała przy ognisku.

Jeff czuł się trochę zawstydzony, że ścigał ją aż tu. Szczególnie, że zdawał sobie sprawę, że wybrała się tu, by z dala od niego przemyśleć to, co się między nimi wydarzyło.

Choć rzadko to robił, zapalił cygaro i wybrał się nad strumień, strumień przeciwną stronę, niż Tanya. Jeśli Tish chce być sama, nie będzie jej przeszkadzał.

Wysłuchując się w plusk płynącej po kamieniach wody myślał, że w porównaniu z kalifornijskim szpitalem i nawet górskim domem Easta ta kraina czerwonych skał jest właściwie zupełnie innym światem. Majestatycznie spokojna, stawiająca na pierwszym miejscu potrzeby nie ludzi, lecz zwierząt. Wiedział, że mogą one być niebezpieczne, nie bał się jednak. Wręcz przeciwnie.

Może poczucie bezpieczeństwa zależy bardziej od ludzi, z którymi się jest, a nie od otoczenia.

Przysiadł na jakimś kamieniu twarzą do strumienia i spojrzał w gwiazdy. Wiedział, że nad tętniącym życiem miastem jest ich prawdopodobnie tyle samo, tu jednak ich ilość była oszałamiająca. Złudzenie pewnie.

Zawsze myślał, że kiedy skończy pracę dla SPEAR osiedli się gdzieś w pobliżu morza. Teraz ta górska okolica wydała mu się równie pociągająca. Może znajdzie jakieś miejsce, łączące jedni i drugie. Oczywiście jeśli dożyje tej chwili.

Jeff z zasady nie dramatyzował, nie był też pesymistą. Po prostu realistą. Świadomym niebezpieczeństw,

lecz wiedzącym, jak postępować, by móc co rano spojrzeć w lustro bez wstrętu.

– O czym tak dumasz? – usłyszał nagle za sobą cichy głosik.

Jeff odwrócił się, zobaczył Tish i uśmiechnął się. Przesunął się trochę, by zrobić jej miejsce.

– O wszystkim i o niczym. Tak jakoś nie mogę dziś zebrać myśli. A ty?

– Ja chłonę piękno natury. Kiedy się spędza większość życia w mieście, nie wie się nawet, jak piękna i cicha może być taka okolica. Pierwszy raz widzę tyle krów na raz – dodała. – Niektóre mają takie słodkie pyski. Odtąd już na pewno inaczej będę patrzeć na hamburgery.

– Niestety do trzymania w domu się nie nadają.

– Nie o to mi chodziło. Ale mają takie smutne oczy.

– Założę się, że nigdy nie byłaś w rzeźniach Chicago.

– Nie! I nie zamierzam.

– Ale nie jesteś wegetarianką? – Pamiętał z jakim apetytem zajadała gulasz Elsy.

– Nie. Jestem stuprocentowo mięsożerna, ale wolę nie myśleć o tych biednych zwierzętach, które straciły życie, żebyśmy mu mogli się obżerać.

– Przeżywa silniejszy – wzruszył ramionami Jeff. – Weźmy na przykład lwa. On nie ma takich obiekcji. Schrupałby nas na obiad bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Zaniepokojona Tish rozejrzała się dokoła.

– Tu naprawdę są lwy?

– Możliwe. To ich terytorium, a człowiek jest tu intruzem. To pewnie dlatego uważa, że ma prawo nas pożreć, kiedy wchodzimy na jego teren. – Jeff rzucił cygaro na ziemię i przydeptał je.

– Może powinniśmy wrócić bliżej ogniska – powiedziała Tish i wstała.

Jeff delikatnie wziął ją za rękę, przyciągnął i posadził sobie na kolana. To przecież dlatego wspomniał o lwie.

– Nie bój się. Ze mną jesteś bezpieczna.

W słabym świetle księżycy spojrzała mu w oczy.

– Bezpieczeństwo to sprawa względna.

– Być może, ale nie bój się, nie pożrę cię, może tylko trochę nadgryzę. – I nachylił się i musnął wargami jej szyję. Poczował, że drży. Ciekaw był, czy to z zimna czy pod wpływem jego pieśczoły. – Mmm, smakujesz prawie tak dobrze, jak pachniesz.

Tish milczała. Przesunęła się tylko trochę, by ułatwić mu dostęp.

Ośmielony faktem, że przyszła do niego korzystając z tego, że inni są zajęci, ujął ją pod brodę i pocałował. Lekko, delikatnie, ale podniecająco. Odpowiedziała mu tym samym. Zapragnął więcej, więc by o tym nie myśleć, odsunął się i zanurzył palce w jej włosy.

– Masz piękne włosy, wiesz?

– Nie. Po prostu brązowe. Nic specjalnego.

– I tu się mylisz. Blondynkami wszyscy się zachwycają, prawią im komplementy i zazdroszczą. O czarnych włosach mówi się hebanowe czy kruczoczarne. A brązowe...brązowe po prostu są brązowe.

– Właśnie.

– Ale nie twoje. W słońcu widzę w nich miedź, bursztyn, i koniak . W blasku księżycy czekoladę. Masz fantastyczne włosy i nawet o tym nie wiesz.

– Posłuchaj, Kirby, pochlebstwa nic ci nie pomogą.

Mimo tego poczuł, jak chętnie poddaje się jego pieścizocie. Nie odsunęła głowy, nie zaprotestowała.

– To ty tak twierdzisz. Pochlebstwa, jeśli szczerze, nie są złe. A moje są.

I ona zanurzyła teraz ręce w jego włosy i wpatrywała się w jego oczy. Uśmiech zniknął z jej twarzy, spoważniała i...przyciągnęła go do swych ust, do zapierającego dech pocałunku.

Jeszcze długo po nim Jeff dochodził do siebie. Był trochę za stary na takie nie prowadzące do nikąd zaloty.

– Wiesz co? Założę się, że nikt by nie zauważył, gdybyśmy przenieśli nasze śpiwory tutaj, z dala od reszty.

Tish błyskawicznie oprzytomniała.

– To nie jest dobry pomysł. Nie zamierzam być obiektem plotek całego rancza. – Tish wstała i odeszła parę kroków. Była równie wstrząśnięta jak on.

Jeff też wstał i podszedł do strumienia. Podniósł

jakiś kamyk i wrzucił go do wody. Czuł, że powinni porozmawiać. Kiedy odwrócił się, zobaczył jak stoi ze splecionymi na piersi ramionami i wpatruje się w gwiazdy. Zapragnął znów wziąć ją w ramiona i spytać, czemu już po raz drugi szuka go, rozpala do czerwoności i zostawia. Czy to jakieś wydarzenie z przeszłości czyni ją taką ostrożną.

Nie spiesz się, nakazał sobie w duchu. Podszedł do niej, ale jej nie dotknął.

– Mam wrażenie, że odbieram od ciebie sprzeczne sygnały, Tish. A może się mylę?

– Nie, nie mylisz się... – westchnęła. – Ja...ty...no, nie muszę ci mówić, że mi się podobaś, Jeff. Lubię z tobą rozmawiać, być z tobą. Ale boję się rzeczy, które dzieją się zbyt szybko. Już raz to przeżyłam, to szalone zauroczenie, które odbiera rozum. I źle się to skończyło. Nie chcę tego więcej.

Wciąż jej nie dotykając Jeff przysunął się jeszcze bliżej.

– Wcale nie musi tak być. Możemy się nie spieszyć...

– Możemy? Kiedy mnie dotykasz, myślę tylko o tym, jak bardzo cię pragnę.

A więc jednak!

– Ja też się tak czuję. Ale mówiłem ci przecież, że cię nie skrzywdzę..

– Może nie celowo, ale...

– Ja to nie on, Tish. Nie jestem tym człowiekiem, który cię skrzywdził.

Patrzyła mu prosto w oczy, dolna warga lekko jej drżała.

– Jesteś gotowa, żeby mi o tym opowiedzieć?

Tish wróciła z powrotem do kamienia, usiadła na trawie i oparła się o niego. Dopiero kiedy do niej dołączył, zaczęła mówić.

– Byłam w koledżu na wschodzie. W bardzo dobrym, bo jak się domyśliłeś, moi rodzice byli zamożni. Nie wiem czemu, ale już wtedy buntowałam się przeciw dobremu życiu, jak je nazywał mój ojciec. Uprzywilejowanemu. Takiemu, jakie dają pieniądze.

Jakże różnemu od mojego, pomyślał. Wiedział jednak, że i wśród bogatych zdarzają się ludzie o wielkiej społecznej świadomości.

– Ale Eric nie miał takich problemów. Tak się nazywał, Eric Townsend. Poznaliśmy się na wykładach z nauk politycznych. Miał z nimi problemy i poprosił mnie o pomoc. Studiował dzięki sportowemu stypendium – grał w drużynie koszykówki – i straciłby je, gdyby nie zdał. Zgodziłam się mu pomagać.

Tish podniosła z ziemi kamyk.

– Jesteś pewien, że chcesz tego słuchać?

– Tak – odparł Jeff i objął ją ramieniem. Głównie po to, żeby nie zmarzła, bo noc robiła się coraz chłodniejsza.

– Uczyliśmy się razem, ale już drugiego dnia zaczął się do mnie zalecać. Starłam się, żeby skupił się na zbliżającym się teście, ale był bardzo wytrwały,

a ja niedoświadczona. Poddałam się i zaczęliśmy ze sobą sypiać. – Mówiła cicho, z wyraźnym trudem. – Trochę się też nauczyliśmy i jego oceny się poprawiły. Chodziłam na wszystkie jego mecze i większość wolnego czasu spędzaliśmy razem, choć każde z nas miało swój pokój w akademiku. Miałam dwadzieścia jeden lat i wydawało mi się, że jestem szalenie zakochana, choć coś powstrzymywało mnie przed powiedzeniem tego głośno. On nie miał takich oporów. Wciąż powtarzał, jak bardzo mnie kocha, jak wielka wspólna przyszłość czeka nas po dyplomie. Nawet poprosił mnie o rękę, a ja, idiotka, brałam to pod uwagę. I cały czas męczył mnie, żebym zabrała go do domu na przerwę bożonarodzeniową. Mówił, że chce poznać moją rodzinę. Wydawało mi się, że za bardzo się z tym spieszy, ale zgodziłam się. Mieliśmy wyjechać w piątek zaraz po zajęciach. Skończyłam wcześniej i poszłam zaczekać na niego w jego pokoju.

Tish wyrzuciła kamyk i otuliła się ramionami.

– Wiem, że nie powinnam szperać w jego rzeczach, ale miał na biurku taki bałagan, że chyba chciałam trochę tam uporządkować. Na jednej z kartek zauważyłam nazwisko mojego ojca.

Jeff wiedział, co zaraz usłyszysz i mocniej ją objął.

– Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Miał raport finansowy mojego ojca, roczny bilans jego firmy, wykaz jego akcji, stany kont, wszystko co do centa. Nie pytaj, skąd zdobył te informacje, ale był jednym z pierwszych, przed którymi komputer nie

miał żadnych tajemnic.

– To nie takie trudne jak się na tym zna – zapewnił ją Jeff.

– Chyba rzeczywiście. No w każdym razie patrzyłam na te papiery kiedy wszedł, cały uśmiechnięty, gotów na spotkanie z moją rodziną.

– Ja zareagowałam, kiedy zobaczyłam, że wiesz, co kombinuje?

– Twierdził, że nie miał niczego złego na myśli, że wcale nie chciał się ze mną żenić ze względu na pieniądze mojego ojca, że po prostu był ciekaw. Nic się nie stało, ale może ojciec mógłby mu pomóc i dać pracę w swojej firmie. Co w tym złego? pytał.

– A ty? Jaka była twoja reakcja?

– Po prostu powiedziałam mu, że nie chcę go więcej widzieć i wyszłam. Oczywiście nie zrezygnowałam, dzwonił do mnie, pisał, przychodził, zapewniał, że mnie kocha. Wróciłam do domu, koledź skończyłam korespondencyjnie i nigdy więcej już nie widziałam Erica.

Jeff chętnie by udusił tego skurczybyka. Chciał ją zapewnić, że jedno złe doświadczenie z jakimś palantem nie znaczy, że wszyscy mężczyźni są tacy.

– Przeżyłaś rozczarowanie, Tish. Twierdził, że cię kocha, ale tak naprawdę chodziło mu o pieniądze twojego ojca i pozycję. Mam nadzieję, że nie podejrzewasz, że ja też interesuję się tobą z tego powodu.

– Nie, ani trochę. Mówię tylko, że jestem nieufna wobec wszystkiego, co dzieje się szybko,

a twierdzenie, że czuje się coś do osoby, którą poznało się zaledwie przed tygodniem, to dla mnie szybko. Wszystko to zdarzyło się dawno temu, ale bardzo to przeżyłam. Blizny pozostały. Jestem pewna, że ty na moim miejscu też byłbyś ostrożny.

– Na pewno masz rację. Ale ja nie mam żadnych ukrytych motywów. Ja też uważam, że czasem ludzie zakochują się szybko, a czasem trwa to dłużej. Jeśli chodzi o nas, to wiedz, że z trudem mi przychodzi trzymać się od ciebie z daleka. Niczego nie ukrywam. Jestem z tobą szczery.

Nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Ja też jestem szczerą. Nie wiem co to jest, chemia czy co. Ale wystarczy, że na ciebie spojrzę, a serce zaczyna mi szybciej bić.

Jeff przytulił ją do siebie i położył rękę na jej sercu.

– Widzę, co masz na myśli. – Jego ręka zbłądziła na jej pierś, ale powstrzymała go.

– Nie spieszmy się, Jeff. Może masz rację, że ludzie zakochują się szybko. Ale powiem ci szczerze, że kiedy mężczyzna mówi, że coś do mnie czuje, trudno mi mu uwierzyć. Słowa nic nie kosztują. Liczą się czyny. – Jej oczy były teraz bardzo poważne. – Nauczyłam się tego na własnej skórze. I to boleśnie.

Jeff czuł, że jest coś jeszcze, nie tylko incydent z Erikiem. Tish najwyraźniej jednak tego wieczoru wyczerpała już ten temat. Może innym razem.

– W porządku. Włączę hamulce.

Pocałował ją, ale lekko i delikatnie.

Odprowadzając ją do ogniska zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie musiał czekać.

Cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną. East próbował go tego nauczyć, kazał rozpatrywać wszystko z różnych stron, rozważać różne możliwości, najpierw dokładnie przemyśleć. On jednak nie chciał czekać. Wiedział, że Tish jest kobietą dla niego.

Nie pozostało mu nic innego oprócz pracy, na szczęście przez następne dwa dni miał jej aż nadto. Pete podzielił ich na dwójki i tymi parami rozjechali się w poszukiwaniu zbłąkanych cieląt i krów. Dzięki sprytnym manewrom Jeffowi udało się połączyć z Tish, mało mieli jednak okazji na prawdziwe sam na sam. Pastwiska były ogromne, krowy niespokojne, a cielęta, urodzone podczas długiej zimy nieufne, głośnym meceniem witające każdego obcego.

Jeff po raz kolejny podziwiał umiejętności Tish, sposób w jaki radziła sobie z koniem na kamienistym, stromym terenie. To ona pierwsza dostrzegła cielaka i dawała Jeffowi sygnał. On podjeżdżał, chwycił na lasso małego wędrownika, a potem brali go między siebie i odprowadzali do stada. Była to żmudna praca, a pogoda pochmurna. Pod koniec dnia wszyscy byli zgrzani, zmęczeni, głodni i zrzędlivi.

Drugiego dnia po południu niebo pociemniało i nadciągnęły chmury. Jeff i Tish byli daleko od obozu i walczyli z pewną upartą krową, która sprytnie wymykała się linie. Kiedy po godzinie udało im się

doprowadzić ją do stada, zaczął padać deszcz.

Już w potężnej ulewie dotarli do obozu, przemoczeni do suchej nitki. Najpierw jednak musieli zająć się końmi. Później Jeff pomógł chłopakom rozstawić namioty.

– Trochę ich mamy za mało, bo nikt nie spodziewał się deszczu – poinformował go Derek. – Będziemy musieli spać dwójkami. Możesz wziąć ten – wskazał mu jeden z maleńkich, praktycznie jednoosobowych namiotów.

– Dzięki. – Jeff chwycił torbę z suchymi ubraniami, odchylił wejście do namiotu i zobaczył Tish. Siedziała na karimacie, obok niej paliła się lampa na baterie.

Spojrzał na nią niepewnie.

– Podobno mamy za mało namiotów – wyjąkał.
– Kazali mi iść do tego.

Wyraz jej twarzy pozostał niezmienny.

– W porządku. Wejdz i zamknij wejście.

Nie patrząc na niego wyjęła z torby ręcznik i zaczęła wycierać włosy.

Jeff posłusznie wczołgał się do środka i rozłożył karimatę. Też wyjął ręcznik i wytarł włosy.

– Przepraszam cię, ale muszę się przebrać – rzekł w końcu.

– Ja też. Odwróć się i ja zrobię to samo.

Z trudem bo z trudem, ale udało mu się jakoś przebrać w suche bokserki i flanelową koszulę.

– Pomóc ci? – spytał.

Tish spojrzała przez ramię i stwierdziła, że był od niej dużo szybszy.

– Może trochę.

Pod rozpiętą flanelową koszulą miała na sobie suchy T-shirt, ale mokre džinsy udało jej się ściągnąć zaledwie do kolan.

Najpierw zdjął jej skarpetki, potem chwycił za nogawki spodni i ściągnął w dół. Zwinął je w kłębek i rzucił na stos swoich mokrych ubrań.

– Dzięki. Możesz się odwrócić jeszcze na chwilę?

– Jasne.

Ciekaw był, czy zdaje sobie sprawę, jak wyraźne są jej piersi pod cienką materią koszulki. Czuł, że mając ten obraz przed oczami na pewno nie zaśnie.

Kiedy pozwoliła mu się już odwrócić zauważył, że wkłada suche skarpetki. Uznał to za dobry pomysł i też wyciągnął sobie parę.

– Będę musiał chyba jutro wracać – rzekł. – To moje ostatnie czyste rzeczy.

– Ja też. Zdaje się, że oboje płyniemy tą samą łódką. Myślisz, że wyłapaliśmy już wszystkich zbiegów? – Nagle spojrzała na swój przód i szybko zapięła koszulę. Zmieszana zaczęła rozpinać śpiwór.

– Mam nadzieję.

Po chwili oboje leżeli już w śpiworach.

– Nie gaś jeszcze, dobrze? – poprosiła Tish, kiedy Jeff wyciągnął rękę w stronę lampy.

– Jasne.

Wsparł się na łokciu i spojrzał na nią.

– Mam nadzieję, że nie masz klaustrofobii? – spytał.

– Na szczęście nie.

– W dzieciństwie chyba nieczęsto jeździłaś na obozy, co?

Wykręciła się, kiedy poprzednim razem pytał ją o dzieciństwo. Pomyślał więc, że może w tym bezpiecznym otoczeniu pójdzie mu lepiej.

– Ani razu. Sypianie na ziemi w śmierdzącym namiocie pełnym mrówek i robali nie przystoi młodym damom.

– To cytat? Z twojej matki?

– Macochy. A ojciec miał obsesję, że ktoś mnie porwie dla okupu.

– Aż tak był bogaty?

– Tak. Obrzydliwie bogaty, jak to się mówi. Za to serce miał z lodu.

Chyba nawet nie zdawała sobie sprawy, ile w jej słowach goryczy. Nie złości, ale smutku i żalu.

– Tak bywa. Wielu ludzi pnie się w górę brzydkimi metodami.

– Ale nie mój ojciec. W interesach nie był szczególnie bezwzględny. Był bez serca i bez litości tylko wobec własnej rodziny.

To w tej chwili z dworu usłyszeli potężny huk i głośny krzyk.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Wyjdę zobaczyć, co się dzieje – rzekł Jeff i zaczął wkładać buty.

– Pójdę z tobą – Tish też usiadła.

– Nie, zostań tu. – W kupie mokrych ubrań Jeff szukał kurtki. – Nie ma powodu, byśmy oboje byli znów mokrzy.

Kiedy odchylił klapę i wyszedł na zewnątrz, lało jak z cebra. Nawet nie próbował wkładać dżinsów, bo wciąganie mokrych w ciasnym wnętrzu namiotu nie wydało mu się najlepszym pomysłem, a ostatniej suchej pary nie zamierzał marnować. Narzucił kurtkę i szybko przebiegł na drugą stronę obozowiska, gdzie w nikłym świetle latarenki zobaczył, co się stało. W jednym z namiotów wyszły śledzie i mokra płachta opadła na jego lokatorów.

– To przez to błoto – stwierdził Pete, kiedy próbowali na nowo postawić namiot. – Żaden ślędź się w nim nie utrzyma.

– Musimy przenieść go kawałek dalej – Derek wskazał miejsce nieco wyżej, kamieniste, ale twarde.

We czwórkę unieśli konstrukcję, zostawiając pod nią gramolącą się ze ściwora Tanyę, mokrą i złą. Niedaleko od niej siedział na ściworze John i kłął pod nosem.

Zalewani potokami wody, ogłuszani zbliżającą się burzą mężczyźni przenieśli jakoś namiot na nowe miejsce. Przy pomocy drewnianych młotków jakoś udało im się wbić śledzie.

– John, Tayna, możecie się kłaść – oznajmił Pete.

Owinięta ściworem, z ubraniami w garści Tanya podeszła do namiotu.

– Jesteście pewni, że wytrzyma? – spytała. – Nie mam ochoty na kolejne niespodzianki.

– Potraktuj to jako przygodę – poradził John.

– Mam nadzieję, że wzięłaś suszarkę – zażartował Jeff.

Tanya spojrzała na niego krzywo i wsunęła się do namiotu.

– Jak jest mokra to miewa humory – parsknął John.

– Dziękci, chłopaki.

– Ej, John, ale starajcie się za dużo nie ruszać.

– Jasne, jasne – John też wczółgał się do namiotu.

Pomocnicy wrócili do siebie, a Jeff sprawdził jeszcze śledzie swego namiotu.

– Jeden z namiotów się zawalił – wyjaśnił Tish, zamykając za sobą klapę. – Jakoś udało się nam go postawić.

– Jesteś przemoczony – zauważyła. Uklękła i wzięła ręcznik. – Daj, pomogę ci.

Jeff przyjął jej propozycję z wdzięcznością. Zsunął buty i zdjął kurtkę. Pozwolił Tish wytrzeć sobie włosy, potem ramiona i plecy. Czuł na sobie jej drobne, ale silne ręce i serce zaczęło mu szybciej bić.

– Odwróć się – zażądała.

Spełnił jej prośbę i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, jak jest blisko. Mógłby właściwie dokończyć sam, ale jej troska sprawiała mu przyjemność. Delikatnie wytarła mu twarz, potem pierś. Choć starał się nad sobą panować, było to bardzo podniecające.

W nikłym świetle lampy zauważył, że jej wzrok wędruje niżej. Zajęła się teraz jego nogami, a potem spuściła wzrok. Pozostały już tylko jego bokserki.

– Dam ci mój ręcznik. Jest całkiem suchy, dokończysz już sam, dobrze? Chyba...chyba powinieneś w ogóle je zdjąć.

Pod jej spojrzeniem bokserki nagle wydały mu się za ciasne. Nie patrzyła na niego, ale wiedział, że ze sobą walczy. Nie zamierzał jej w tym pomagać. To ona powinna podjąć decyzję.

W końcu się poddała.

– Dla twojego dobra powinnam odejść – zaczęła niskim, ochryplym głosem. – Naprawdę. Ale jakoś nie mogę. Za bardzo cię pragnę. Tak bardzo, jak nigdy nikogo dotąd.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że do tej chwili wstrzymywał oddech. Uniósł rękę i delikatnie

pogładził ją po aksamitnym policzku.

– Nie skrzywdzę cię, Tish. Nigdy.

– Zaryzykuję.

Jeff odetchnął z ulgą i przyciągnął ją do siebie. Leżeli na śpiworach, przykryci tylko kocami, ale wcale nie było im zimno. Nie zwracali nawet uwagi na dudniący o płótno namiotu deszcz, ani na rozświetlające od czasu do czasu jego wnętrze błyskawice.

– Próbowałam trzymać się od ciebie z daleka – szepnęła drżącym głosem Tish. – Bóg mi świadkiem, że próbowałam, ale coś mnie wciąż przyciągało.

Jeff odgarnął kosmyki z jej twarzy i uśmiechnął się.

– Od chwili, kiedy zobaczyłem cię na Belladonie, ja też wiedziałem, że nigdy nie pozwolę ci odejść.

– Nie znasz mnie. Są pewne rzeczy...

– Óóóó. Nie dziś. Dziś to nieważne. Dziś nie myślmy. Bądźmy, czujmy...

Drobna dłoń Tish wplątała się w gęste włosy na jego piersi.

– Od kiedy zdjęłeś koszulę, aż mnie palce swędziały, żeby to zrobić. Jesteś taki piękny, taki silny.

– To ty jesteś piękna, a dziś jesteś moja.

– Dla mnie to nie takie łatwe, Jeff. Opierałam się, ale okazało się, że nie mam wyboru. Chcę cię, ale nie powiem, że się nie boję.

Czuł o co jej chodzi i szukał słów, by ją uspokoić.

– Życie nie jest proste, Tish. Nie ma w nim żadnych gwarancji. Chciałbym dać ci jakąś lepszą odpowiedź, ale nie potrafię. Po prostu powiedz mi,

czego chcesz.

– Ciebie. Tylko ciebie.

Byli już tak niekompletnie ubrani, że pozbycie się reszty dzielących ich ubrań nie trwało długo. Po chwili byli już jednym i instynktownie znaleźli wspólny rytm. Jakby ich ciała stworzono po to, by były razem.

Kiedy później chciał się z niej zsunąć, nie pozwoliła mu.

– Nie odchodź.

– Jestem za ciężki – rzekł, choć i on tak naprawdę wcale nie chciał się ruszać.

– Wcale nie.

– Jak się czujesz?

– Cudownie. – Uśmiechały się nie tylko jej usta, ale i oczy.

– Nie żałujesz?

– Żałować? Jak mogłabym żałować, skoro dałeś mi to, czego nikt jeszcze dotąd mi nie dał?

Dopiero teraz mógł tak naprawdę się odprężyć.

– Przypominasz mi mojego dziadka – Tish wtuliła się w niego i przytknęła oczy.

– Dziadka? To chyba miał być komplement, co?

– Moja babcia Alice mawiała, że kochając się z moim dziadkiem, czuła się jak w niebie. Byli małżeństwem sześćdziesiąt siedem lat. Tak, przypominasz mi go.

– No tak, to rzeczywiście komplement. – Jeff przesunął się i spojrzał jej w oczy. – Myślisz, że

moglibyśmy być ze sobą sześćdziesiąt siedem lat?

Po tych słowach poczuł, że lekko się wycofuje, fizycznie i psychicznie. Jakby to pytanie ją zaniepokoiło. Odpowiedziała dopiero po chwili..

– W dzisiejszych czasach ludzie już nie są ze sobą tak długo.

– Wielu potrafi być ze sobą na dobre i na złe. Jeśli łączące ich więzy są naprawdę silne, dają sobie radę ze wszystkimi przeciwnościami.

Nie odpowiedziała mu, lecz tylko go pocałowała. Może chciała zmienić temat? Nie miał nic przeciw temu, bo jego ciało znów jej zapragnęło. I ich wspólna podróż była równie słodka i równie satysfakcjonująca jak poprzednia.

A potem zasnęli, oboje z pełną świadomością, że nigdy dotąd nie było im tak dobrze.

Następnego dnia nikt specjalnie się nie spieszył z powrotem na ranczo. Deszcz na szczęście przestał padać, było jednak chłodno. Trzech robotników wyjechało o świcie, John i Tanya zaraz po śniadaniu. Jeff nalegał, by on i Tish się nie spieszyli, jechali więc wolno, od czasu do czasu dając koniom chwilę wytchnienia. Jeff pamiętał znaczące spojrzenia, jakimi rano obrzucili ich obozowicze, ale postanowił je zignorować. Uznał, że on i Tish są dorosłymi ludźmi i ich związek jest tylko i wyłącznie ich sprawą.

Oprócz miejsc, gdzie ścieżka była wąska i mieścił się na niej tylko jeden koń, starali się jechać obok

siebie. Rozmawiali, właściwie o niczym, i cieszyli się widokami. Kiedy koło pierwszej zatrzymali się na lunch, Jeff marzył już tylko, by wziąć ją w ramiona.

Rozłożył koc, a Tish wyjęła z torby owoce, ser, krakersy i colę, którą przez noc chłodzili w strumieniu. Zanim jednak zdążyła to wszystko przygotować, przyciągnął ją do siebie i przytulił. Odwzajemniła z równą namiętnością jego pocałunek, kiedy jednak zaczął rozpinać jej bluzkę, powstrzymała go.

– Nie, zaczekaj. Nie mogę tak w biały dzień i to pod gołym niebem.

– Właśnie tak chcę cię zobaczyć. Nie chcę, żebyśmy się kryli. Wstydzisz się tego, co nas łączy?

– Nie! Proszę cię, Jeff. Innym razem. Dałam ci już i tak więcej, niż przypuszczałam, że potrafisz. Dużo więcej, niż zamierzałam.

Wycofał się, pocałował ją lekko w usta i usiadł.

– Dobrze, spróbuję się powstrzymać, ale nie będzie to łatwe.

Zauważył rosnące w pobliżu fioletowe i białe kwiatki, wstał więc, zerwał pęczek i wręczył Tish w geście pojednania.

Podziękowała mu z uśmiechem i zajęła się krojeniem gruszek, jabłek i sera.

– Nie mogę zrozumieć, czemu w ogóle interesuje cię taka osoba jak ja, z tyloma obciążeniami.

Jeff ujął w dłonie jej twarz i zmusił, by na niego spojrzała. Mówił wcześniej, że nie będzie się spieszył, że nie będzie jej poganiał, ani do niczego zmuszał,

wiedział jednak, że musi jej teraz to powiedzieć.

– Mam w sobie wiele miłości, Tish, która tylko czekała, by pojawił się ktoś odpowiedni. Ty jesteś tą osobą.

– Nie! – krzyknęła i odsunęła się od niego. – Nie mów mi o miłości. Zbyt wielu ludzi w moim życiu robiło z miłości straszne rzeczy, złe i obrzydliwe. Nie rozumiem miłości. Samo to słowo mnie przeraża.

– Óóóó, maleńka – próbował ją uspokoić. – Ja cię tego nauczę.

Nie odpowiedziała, zjadła kawałek gruszki i patrząc w dal, zamknęła się przed nim.

A on poczuł się odrzucony. Widział, że coś przed nim ukrywa, że tamta sprawa z Erikiem to nie wszystko.

– O co chodzi, Tish? Powiedz mi, czego się boisz.

– Nawet nie wiedziałabym od czego zacząć.

Jeff zapomniał o jedzeniu, wziął ją w ramiona i delikatnie przytulił.

– Spróbuj tak samo, jak mówiłaś mi o Eriku, własnymi słowami.

Tish nadal wpatrywała się w sunące po niebie chmury, ręką bezwiednie błędziła po szwie dzinsów. Milczała tak długo, że Jeff podejrzewał, że w ogóle nic mu nie powie. Zdecydowała się jednak i zaczęła, głosem drżącym i niepewnym.

– Mój ojciec nazywa się Charles Buckner. Mogłeś o nim nie słyszeć, ale na Wschodnim Wybrzeżu znany jest jako bogaty finansista,, sprytny, ale uczciwy

biznesmen, hojny filantrop. Byłam jego jedyną córką, więc niczego mi nie odmawiał, rozpieszczał mnie i psuł. Kiedy podrosłam, zaczęłam myśleć, że to jego uczucia wobec mnie są powodem chłodu i obojętności matki. Wydawało mi się, że jest zazdrosna. Ależ byłam naiwna.

Przerwała i odetchnęła głęboko, jakby dla uspokojenia. Ujęła rękę Jeffa, spoczywającą na jej talii i mocno ścisnęła.

Zauważył, jak jest chłodna i uznał, że pogoda nie ma z tym nic wspólnego. Postanowił jednak jej nie przerywać, bo wiedział, że tak będzie lepiej. Dla nich obojga, dla ich związku. Musi podzielić się z nim tymi bolesnymi wspomnieniami sprzed dwudziestu lat. Im szybciej, tym lepiej.

– Tej wiosny skończyłam koledż i pozbyłam się z mego życia Erika. Miałam dwadzieścia dwa lata i świat stał przede mną otworem. Chciałam zająć się public relations w jednej z firm mojego ojca, zacząć od samego dołu i uczyć się, piąć w górę. Pamiętam, że rodzice wyjechali gdzieś na weekend i byłam sama w domu, prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu.

– Mieszkaliśmy pod Nowym Jorkiem i dom był duży, więc tak naprawdę nie byłam sama. Była przecież Wanda, nasza gospodyni, która była u nas odkąd pamiętam. Ona mieszkała z nami, a dwa razy w tygodniu dochodziła jeszcze sprzątaczką, kucharz na przyjęcia i ekipa ogrodników. Właściwie do dziś nie wiem, czego tam szukałam, ale tego popołudnia,

kiedy mieli wracać, zawędrowałam na strych. Otworzyłam jakiś kufer i znalazłam w nim pudełko z moimi zdjęciami z dzieciństwa, których dotąd nie widziałam. Zaintrygowały mnie, zaczęłam szukać dalej i w końcu natknęłam się na dokumenty, które zmieniły całe moje życie.

Jeff zastanawiał się, czy zdaje sobie sprawę, jak mocno ściska jego rękę. Jakby była to jej ostatnia deska ratunku.

– Z początku niczego nie rozumiałam. Pierwszy stwierdzał, że kobieta nazwiskiem Angela Rosetti zrzeka się wszelkich praw do dziewczynki imieniem Grace za sumę dwudziestu pięciu dolarów. Podpisała go Angela i mój ojciec, a świadkami byli nasz rodzinny adwokat i ktoś o nieznanym mi nazwisku. Zainteresowałam się nim tak naprawdę dopiero kiedy zauważyłam, że datowany jest dzień po moich narodzinach. – Znów przerwała, ale tylko na moment. – Drugi, datowany tego samego dnia, stwierdzał, że to samo dziecko imieniem Grace zostaje adoptowane przez mojego ojca i moją matkę, Eleanor Buckner i odtąd będzie nazywać się Tish Buckner. Zrozumiałam tym samym, że Angela Rosetti była samotną matką i że moi rodzice adoptowali jej nowonarodzoną córeczkę, czyli mnie. Zrobiło mi się przykro, że stało się to za pieniądze, ale dopiero trzeci dokument wstrząsnął moim światem.

– Był to list od Angeli Rosetti do ojca, pisany atramentem, z kilkoma plamami, jakby od rozmaza-

nych łez. Błaga go w nim, by dbał o ich córeczkę. Ich córeczkę, nie jej, jak już myślałam. Dalej pisała, że szkoda, że ją zawiódł, że wierzyła mu, kiedy mówił, że tylko ją kocha, że odejdzie od żony i ożeni się z nią. Obiecywała, że dotrzyma słowa i nigdy nie będzie próbowała zobaczyć małej, mimo, że on swojej obietnicy nie dotrzymał. Zależy jej przede wszystkim na przyszłości jej córki. Zakończyła zapewnieniem o swej dozgonnej miłości. Ostatni dokument był metryką urodzenia dziewczynki imieniem Grace i wymieniał jako jej rodziców Angelę Rosetti i Charlesa Bucknera.

Jeff zauważył łzę spływającą mu po policzku i delikatnie wytarł ją palcem.

– Siedziałam tam i siedziałam i tysiące myśli kłębiły mi się w głowie. Kiedy usłyszałam, że rodzice wracają, zaniiosłam wszystkie cztery dokumenty na dół i zażądałam wyjaśnień. Ojciec wpadł w złość, najpierw na matkę, że od razu nie spaliła tych dokumentów, potem na mnie, za szperanie w cudzych rzeczach, jak się wyraził. Wyjaśniłam mu, że na pudełku, w którym były te dokumenty, było moje imię, więc uspokoił się, ale tylko trochę.

– Charles Buckner w kręgach biznesowych ma opinię znakomitego negocjatora. Twierdzą, że każdego przekona. Zabrał się więc i za mnie. Zaczął opowiadać, że zaraz na początku małżeństwa był w jakiejś podróży służbowej i poznał kobietę o nazwisku Angela Rosetti, drobną, śliczną, z długimi,

ciemnymi włosami. Miał z nią romans. Przyrzekał, że to jedyna jego zdrada w ciągu całego małżeństwa. Parę miesięcy później Angela poinformowała go, że jest w ciąży.

Tish otarła kolejną łzę.

– Założę się, że nie przypuszczałeś, że w mojej przeszłości kryje się coś tak podłego.

– Dziecinko, ty chyba nie wiesz, co to znaczy podłe.

– Oj, chyba wiem. Oto mój ojciec przyznaje się, w obecności kobiety, którą zawsze uważałam za matkę, kobiety, która przez całe moje życie była wobec mnie chłodna i obojętna, że ponieważ wiedział, że Eleanor nie może mieć dzieci, to kiedy Angela poinformowała go o swojej ciąży, postanowił, że adoptują to dziecko. Proste, prawda, dodał z uśmiechem. Jednak oczy jego żony były lodowate. I, moim zdaniem, nie bez powodu.

– Przerwałam mu i powiedziałam, że czytałam list Angeli i wiem, że wcale nie chciała tej adopcji, że kochała go i wierzyła, że odejdzie od żony i ożeni się z nią, jak obiecał. Zareagował tylko pogardliwym machnięciem ręką, stwierdził, że to była prosta kobieta, z robotniczej rodziny, że do niego nie pasowała. I dodał coś jeszcze. Jego słowa do dziś mnie prześladowają. Nie rozumiesz? spytał, patrząc mi w oczy. Zrobiłem to dla ciebie, żebyś miała lepsze życie, niż miałybyś z nią. Zrobiłem to, bo cię kocham.

Jeff nie wiedział co powiedzieć. Patrzył na nią,

milczał i tylko mocno trzymał ją za rękę.

– Nie mogłam tego tak zostawić. A miłość matczyzna? Krzyknęłam. A uczucia twojej żony? Jak mogłeś sprowadzić do domu swe nieślubne dziecko? Czy spodziewałeś się, że je pokocha? Nie, ona mogła tylko mnie nienawidzić. Jego żona, ta którą dotąd uważałam za matkę, nie zaprzeczyła. A ja krzyknęłam jeszcze, że najwyraźniej moja prawdziwa matka była dobra na romans, ale niegodna, by poślubić wielkiego Charlesa Bucknera. To wtedy wybiegł z pokoju, mówiąc, że więcej nie zamierza o tym dyskutować. Jego żona zaczęła płakać i też poszła do siebie.

– Jak mogłaś po tym wszystkim nadal z nimi żyć?

– Nie mogłam. Wiesz, jak teraz o tym myślę, to chyba całe życie zastanawiałam się, jak to możliwe, że Eleanor jest wysoką blondynką o jasnej cerze, ojciec też ma blond włosy i jest bardzo wysoki, a ich córka, czyli ja, jest niska, z oliwkową cerą i prawie czarnymi włosami. Chyba uznałam, że to po jakichś dawnych przodkach pochodzących z Europy.

– I miałam rację, tyle tylko, że to byli przodkowie Angeli Rosetti. Z Włoch. Mówiłam ci już, że nie mogłam tego tak zostawić. Nienawidziłam mojego ojca za to, że mnie okłamał i za to, co zrobił Angeli. Zmusił ją, żeby sprzedała swoje dziecko, może nawet ją szantażował, zabronił ze sobą kontaktować. Miałam też żal do Eleanor, która mściła się na niewinnym dziecku i kazała mu płacić za niewierność swego męża. Zaczęłam więc szukać Angeli Rosetti.

– Brawo – pochwalił ją Jeff. Był z niej bardzo dumny.

– Niestety za późno. Dotarłam do jej rodziny w Filadelfii, ale dowiedziałam się, że umarła przed trzema laty. Nigdy nie wyszła za mąż, a dzięki pieniądzom od mojego ojca mogła opiekować się swoją chorą matką. Jej zamężna siostra, Dolores, wiedziała wszystko o Charlesie, wiedziała, że Angela go kochała, mimo to powitano mnie z otwartymi ramionami. Powiedziała mi, że Angela nie chciała przyjąć tych pieniędzy, ale matka była bardzo chora, a nie miały ubezpieczenia. To bardzo porządni ludzie. Nadal jestem z nimi w kontakcie.

– A co z Charlesem i Eleanor?

– Od tamtego dnia więcej się do ojca nie odezwałam. Wyprowadziłam się i zerwałam z nimi kontakt. Słyszałam, że Eleanor umarła pięć lat później, a Charles żyje i pewnie nadal knuje. Wszystko w imię miłości, oczywiście.

Teraz wreszcie zrozumiał, czemu tak zdenerwowały ją jego słowa.

– Masz rację. Ludzie popełniają wiele błędów i winią za to miłość.

– Właśnie. Ojciec powiedział, że próbował mnie chronić. Przed czym? spytałam. Przed życiem w biedzie wśród prostych, niewykształconych ludzi, odpowiedział. Miły punkt widzenia, co? Nie miałam pojęcia, że jest takim snobem. Ale miłość nie polega tylko na chronieniu. Miłość bez prawdy to parodia.

– Tak jak w przypadku Erika, który twierdził, że cię kocha, a rzeczywistości cię wykorzystywał.

– Właśnie.

– Posłuchaj, Tish. Kiedy mówiłem, że mam w sobie wiele miłości, mówiłem prawdę. Nie potrafiłem kochać moich samolubnych, zapitych rodziców i nie miałem prawdziwych przyjaciół, przetrucany od jednej rodziny zastępczej do drugiej, potem na ulicy. East był moim pierwszym przyjacielem i pokochałem go jak ojca, którego nigdy nie miałem. Nie tylko dlatego, że mnie wzięł do siebie, odkarmił i wykształcił, ale przede wszystkim dlatego, że zaskarbił sobie mój szacunek i zaufanie. Jest szczery i zawsze mówi mi prawdę. Dlatego więc się z tobą zgadzam.

Tish uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Cieszę się.

– Ale nie chcę też, żebyś się bała miłości. Rzekoma miłość Erika była egoistyczna, podobnie jak twojego ojca. Moja nie jest. Z czasem się o tym przekonasz. Zaufasz mi, bo nie mam żadnych ukrytych motywów ani celów, tylko prawdziwe, głębokie uczucia wobec ciebie. I jeśli chcesz powiedzieć, że to nie miłość, ale pożądanie, to nie mów. Przyznaję, że cię pożadam, ale to coś dużo więcej.

– Chcę ci wierzyć, chcę ufać. Ale potrzebuję na to czasu, Jeff.

– Wiem i nie będę cię pospieszał. Potrafię być cierpliwy, jeśli nagroda jest tego warta. A ty bez wątpienia jesteś.

Wziął ją w ramiona, pocałował w czubek głowy, potem siedzieli tak po prostu, ciesząc się widokiem i swoją bliskością. Wiedział, jak wiele ją kosztowała ta opowieść.

– Kwiaty to największy wynalazek natury – powiedziała w pewnej chwili, wachając podarowany przez niego bukiet. – Są jak dzieci, proszą tylko, żeby się nimi opiekować i kochać. To pewnie dlatego mojej przybranej matce nie udało się wyhodować w ogrodzie żadnego kwiatu. Próbowła i próbowała, ale była tak pełna złości, że nie może mieć własnych dzieci, a musi wychowywać bękartą swego męża, że jej ogród był jałowy.

Później żadne z nich nie potrafiłoby powiedzieć, jak długo tak siedzieli, wsłuchując się w bicie swych serc. Oboje wiedzieli tylko, że to, co sobie powiedzieli, było ważnym punktem ich znajomości. Jeff zdawał sobie sprawę, że niełatwo jej przyszło zaufać mu i opowiedzieć te straszne rzeczy, wiedział jednak, że teraz, kiedy się przed nim otworzyła, przyjdzie i czas na miłość.

Oparty wygodnie w fotelu, Jeff uśmiechnął się do siebie. Przypomniawszy sobie ich powrót na rancho. Choć John i Tanya też dzielili namiot tamtej deszczowej nocy, nikt na ich widok nie wymieniał porozumiewawczych spojrzeń. Jego jednak i Tish od razu zauważyli i przylepili etykietkę zakochanej pary.

Musiał przyznać, że prawdopodobnie sami się

z tym nie kryli. Choć w następnym tygodniu pracowali przy bydle i koniach dokładnie tak, jak w ubiegłym, w ich zachowaniu była wyraźna różnica. Sporządzenia, jakie wymieniali, nawet w poprzek zatłoczonego pokoju, były gorące i namiętne. Jeff już od progu szukał wzrokiem Tish, ona robiła to samo. Jeśli akurat z kimś rozmawiała, szybko znajdowała jakąś wymówkę i ruszała ku niemu. Później najczęściej wymykali się gdzieś we dwoje.

Ludzie oczywiście to zauważyli. Tak jak podczas incydentu ze złotą rybką.

W pokojach przeznaczonych dla agentów, którzy przecież wpadali na ranczo tylko na parę dni, nie było miejsca na zwierzęta. Będąc jednak któregoś dnia w mieście, Jeff postanowił zrobić Tish niespodziankę i kupić dwie złote rybki z całym wyposażeniem – kulistym akwariem, kamykami i jedzeniem. Spieszył się bardzo, by z pomocą Naomi Star, która miała klucze do wszystkich pokoi, zainstalować prezent przed jej powrotem.

Niestety kiedy wchodził do windy plastikowa torebka z wodą i rybkami pękła. Próbując razem z Naomi je ocalić narobili tyle zamieszana, że wkrótce zrobiło się całe zbiegowisko. Pięć czy nawet sześć osób na czworakach polowało na rybki na zalanej wodą podłodze.

Wtedy do holu weszła Tish.

Z niespodzianki nic więc nie było, ale kiedy już w asyście połowy gości ustawił akwariem na jej

toaletce, Tish z niedowierzaniem kręciła głową i uśmiechała się z zachwytem. Nie można było nie zauważyć ich pełnych miłości spojrzeń, tak więc mimo, że tak jej zależało na tajemnicy, wszyscy już wiedzieli.

Dopiero kiedy zostali sami z rybkami, Jeff wziął ją w ramiona i pocałował. Długo i namiętnie.

– Jesteś niemożliwy, Jeff. Nigdy nie wiem, co znowu wymyślisz.

– To dzięki temu życie jest ciekawe.

Nadal na niego patrzyła, jakby próbowała go rozgryźć.

– Jesteś dokładnym przeciwieństwem tego, czego w życiu pragnęłam. Jesteś zabawny, a mnie wydawało się, że szukam czegoś poważnego. Jesteś odważny i nie boisz się ryzyka, ja w życiu osobistym chcę spokoju. Ale...ale przy tobie uśmiecham się, śmieję, czuję się cudownie. – A kiedy mnie całujesz...o, Boże!

Jeff po prostu się uśmiechnął i znów ją pocałował.

Po tym incydencie i kilku podobnych był już pewien, że Tish z każdym dniem czuje do niego więcej. Nadal jednak nie powiedziała tych dwóch słów na które z utęsknieniem czekał. Zastanawiał się nawet, czy kiedykolwiek to zrobi, kiedy stało się coś, co wszystko zmieniło.

Dzień zaczął się jak co dzień. Tish zajmowała się nowonarodzonymi cielętami, Jeff pomagał Texowi ujeżdżać konia. Po południu byli już wykończeni i marzyli o chwili sam na sam. Wzięli więc prysznic,

przebrali się i wybrali w swe ulubione miejsce, które odkryli u stóp gór. Zaczynało zmierzchać, na niebie pojawiły się purpurowe i fioletowe smugi, a oni oddalali się od rancza. Gdy dotarli na miejsce, od razu rozłożyli koc i natychmiast rzucili się na siebie.

– O, jak dobrze – szepnął Jeff, tuląc Tish mocno do siebie. – Cały dzień na to czekałem.

– Ja też. Pocałuj mnie, Jeff.

I pocałował i to wiele razy, a potem się kochali, aż zaszło słońce. Później zjedli przygotowaną przez Elbę kolację i rozmawiali. W końcu, choć niechętnie, wsiedli na konie i ruszyli z powrotem.

Migające czerwone światło karetki było pierwszą rzeczą, jaką zauważyli zbliżając się do rancza. Stała zaparkowana przed budynkiem goszczącym turystów, obok niej auto policyjne i grupka ludzi.

– Musiał być jakiś wypadek – stwierdziła Tish, kiedy znaleźli się obok stajni. – Co się stało? – spytała Terry’ego, jednego z pracowników rancza, który wyszedł, żeby zająć się Belladonną.

– Jeden z gości miał atak serca. Zmarł na miejscu.

– Jak się nazywał?

– Niestety nie wiem.

Chłopak odprowadził ich konie do stajni, a Jeff wziął Tish za rękę i pobiegł do budynku. Sanitariusze właśnie wsuwali zakryte nosze do środka.

Tish zauważyła stojącą w drzwiach zapłakaną Doreen Novak.

– O, nie – szepnęła do Jeffa. – To chyba Henry

Novak.

Jeff wiedział, że zaprzyjaźniła się z Novakami, którzy pochodzili z jej rodzinnych stron i nawet parę razy wybrała się z nimi na wycieczkę po ranczu. Starsi państwo, choć właśnie przeszli na emeryturę wydawali się w znakomitej formie.

– Doreen, właśnie się dowiedziałam – Tish była już przy Doreen. – To Henry?

– Tak – potwierdziła wdowa i znów wybuchnęła płaczem. – Akurat kończyliśmy kolację, kiedy Henry stwierdził, że rozbolał go brzuch. Tu tak dobrze karmią, że zawsze jemy za dużo. Poprosił o ranigast i już sięgałam po torebkę, żeby mu dać, kiedy chwycił się za serce i upadł na podłogę. Był czerwony na twarzy, a z jego gardła wydobywał się taki dziwny gulgot, a potem znieruchomiał. Zaczęłam krzyczeć, przybiegli jacyś ludzie. Ktoś podał mu nitroglicerynę, ale było już za późno.

– Tak mi przykro – Tish mocno uściśnęła starszą panią.

– Nawet nie minął miesiąc jego emerytury. A tak się na nią cieszył.. Był i go nie ma. Nawet nie zdążyłam się z nim pożegnać.

– Na pewno wiedział, że jesteś przy nim.

– I w dodatku rano mu nie powiedziałam, że go kocham. Wiesz, to był taki nasz zwyczaj, że zawsze sobie to mówiliśmy, rano i wieczorem, ale dziś on wstał wcześniej, żeby się przejść, a ja zasnęłam. Ależ jestem na siebie zła. Nie zdążyłam mu powiedzieć, że

go kocham.

Tish delikatnie poklepała ją po ramieniu.

– Ile lat byliście małżeństwem? Zdaje się, że czterdzieści sześć. Jestem pewna, że Henry wiedział, że bardzo go kochasz.

– Może masz rację. Ale chciałam mu powiedzieć jeszcze raz. Dlaczego rano nie wstałam razem z nim?
– płakała Doreen.

Obok nich stanął ze smutną miną Amos Turner, kierownik turystycznej części Red Rock.

– Zabierają Henry'ego do szpitala. Chcesz, żebym pojechał z tobą i zajął się formalnościami?

Doreen spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Tak, Amos, poproszę.

Zażawionymi oczami odprowadziła odjeżdżającą karetkę, a potem wsiadła z Amosem do auta.

Policja skończyła przesłuchiwać świadków i też odjechała.

Tish podeszła do rozmawiającego ze Slimem Jeffa, a on od razu objął ją ramieniem.

– Wszystko w porządku?

– Muszę wejść do środka.

– Oczywiście.

Jeff wziął ją pod ramię i szybko wprowadził do budynku. Była dziwnie cicha i blada, wyraźnie dręczyły ją jakieś myśli. Wiedział, że znała Novaków, choć przecież nie byli przyjaciółmi. A jednak śmierć Henry'ego wyraźnie ją poruszyła.

– Czy możesz pójść ze mną do mojego pokoju?

– poprosiła cicho.

– Oczywiście.

Ledwo znaleźli się w środku, zaczęła mówić.

– Doreen powiedziała mi, że dziś rano nie powiedziała Henry’emu, że go kocha, a teraz go już nie ma.

Jeff patrzył na nią zdziwiony. O co jej chodzi?

– Na pewno o tym wiedział. Byli przecież tak długo ze sobą i...

– Tak, oczywiście. Ale jej chodziło o to, że choć wiemy, że komuś na nas zależy, to trzeba o tym mówić, regularnie i często. – Objęła go ramionami i spojrzała mu w oczy. – Byłam egoistką, Jeff. Kiedy powiedziałeś, że mnie kochasz, ucieszyłam się. Nie odwzajemniłam ci się tym samym z powodu...tego, co wydarzyło się w moim życiu. A ty masz rację. To co było w przeszłości nie ma nic wspólnego z nami.

– Cieszę się, że w końcu to zrozumiałaś – uśmiechnął się Jeff.

– Kocham cię, Jeff. Kocham cię całym sercem.

– Tish wspięła się na palce, żeby go pocałować.

A więc w końcu usłyszał te słowa. I nie miał wątpliwości co do ich szczerości. Przyjął jej pocałunek z radością, tak jak jej zapewnienie o miłości.

A potem spojrzał jej w oczy i w nich też zobaczył miłość.

– Dziękuję ci. Domyślałem się twoich uczuć, ale bez słów nie byłem pewien. Rozumiesz o co mi chodzi?

– Tak, rozumiem. Doreen powiedziała, że nawet

po czterdziestu sześciu latach małżeństwa codziennie rano i wieczorem mówili sobie te dwa słowa. To takie wzruszające. Zawsze będzie się mogła pocieszać myślą, że choć Henry'ego już przy niej nie ma, to umarł wiedząc o jej miłości. W mojej rodzinie tak nie było.

– Ani w mojej. Ale jestem pewien, że East i Alicia mówią to sobie codziennie. Widzę to po tym, jak siebie traktują.

– Właśnie. O to chodzi. Nie można mówić Kocham cię, a potem kogoś traktować źle. Właściwie to chciałam ci to powiedzieć już od jakiegoś czasu.

– To powiedz jeszcze raz.

– Kocham cię, Jeff.

– A ja kocham ciebie, Tish – rzekł i przypieczętował te słowa pocałunkiem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lotnisko Kennedy'ego, Nowy Jork, 6 rano

Z torbą na ramieniu Jeff szybkim, niecierpliwym krokiem przeszedł przez halę przylotów lotniska Kennedy'ego. Nie był głodny, nie czuł się nawet niewyspany.

Był tylko niespokojny. Martwił się o Tish.

Na zewnątrz szybko przywołał taksówkę, rzucił torbę na siedzenie i zatrzasnął drzwi.

– Jak długo będzie pan jechał do szpitala miejskiego? – spytał krępego, łysiejącego taksówkarza.

– O tej porze, przy tym deszczu najszybciej będzie przez Van Wyck Parkway do Grand Central, potem Long Island Expressway do Midtown Tunnel. Godzinę piętnaście, może godzinę, jak będziemy mieli szczęście.

Jeff wyjął dwudziestkę.

– To napiwek dla pana, jeśli dojedziemy w mniej

niż godzinę.

Szofer bez słowa skinął głową i włączył taksometr.

Trochę oszołomiony nadmiarem kofeiny Jeff próbował się odprężyć. Ponura pogoda idealnie pasowała do jego nastroju. Bywał już w Nowym Jorku i nigdy mu nie przeszkadzał wariacki sposób w jaki jeździli taksówkarze, ale dziś tego właśnie potrzebował.

Ruch, jak na tę wczesną porę, był ogromny. To pewnie ci dojeżdżający do pracy z przedmieść, domyślił się. Wycieraczki pracowały jak oszalałe, a on miał w głowie tylko jedną myśl, którą powtarzał jak modlitwę. Niech Tish wyzdrowieje. Błagam, niech wyzdrowieje.

Jakieś pięćdziesiąt minut później taksówkarz z piskiem opon zajechał na podjazd przed szpitalem. Jeff zapłacił, dorzucił umówiony napiwek i wbiegł do środka, prosto do recepcji.

– Tish Buckner – rzucił wesoło uśmiechniętej urzędnicze.

Kobieta wpisała nazwisko do komputera.

– Piętro czwarte, na OIOMie chirurgii. Dopuszczone odwiedziny tylko najbliższej rodziny. – Kobieta spojrzała na Jeffa znad okularów. – Jest pan spokrewniony z pacjentką?

– Tak. Dziękuję pani.

Choć kobieta coś jeszcze za nim wołała, biegnąc do windy nawet się nie odwrócił. Wszystkie potrzebne mu informacje zamierzał zdobyć na górze.

Winda wystawiła na próbę jego cierpliwość..

Najpierw musiał ustąpić miejsca pielęgniarce i pacjentowi na noszach, a na następną czekał chyba wieki. Była przepełniona, ale zignorował niechętnie spojrzenia pasażerów i udało mu się jakoś wcisnąć.

Nie był w nastroju na grzeczności, przynajmniej dopóki nie dowie się o stanie Tish.

Wysiadł na czwartym piętrze i od razu podszedł do dyżurki pielęgniarek. Jedyna tam obecna osoba zajęta była rozmową przez telefon, tu też musiał więc poczekać. W dodatku, kiedy skończyła rozmowę, odebrała następny telefon.

– Tish Buckner – rzekł, kiedy w końcu skończyła.
– Może mi pani powiedzieć gdzie jest?

Pielęgniarka uważnie obejrzała stojącego przed nią nieogolonego mężczyznę o zmęczonych, pełnych niepokoju oczach, który mimo wszystko zdobył się na uśmiech. Zareagowała tak, jak większość kobiet i też się uśmiechnęła.

– Proszę pójść tym korytarzem, potem w lewo do końca. Sala intensywnej terapii.

– Dzięki. – Jeff postąpił zgodnie z jej instrukcjami i po chwili znalazł się przed podwójnymi, pozbawionymi szyb drzwiami. Obok nich, przy biurku, siedziała kolejna recepcjonistka. – Tish Buckner? – spytał.

Kobieta spojrzała na tablicę.

– Intensywna terapia od wczoraj. Po operacji. Pan jest krewnym?

– Tak. Mogę ją zobaczyć?

– Pańskie nazwisko?

– Jeff Kirby.

Kobieta spojrzała do zeszytu.

– Nie ma pana na liście krewnych.

– Jestem jej mężem. Czy jestem na liście czy nie, muszę ją zobaczyć. Kto się nią opiekuje?

Kolejne spojrzenie do notesu.

– Doktor Edmund O’Neill.

– W porządku. Proszę go przywołać pagerem. Rozmawiał z moim ojcem, Eastem Kirbyem z Kalifornii i miał wszystko załatwić.

– Nie widzę tu żadnych informacji na ten temat, proszę pana. Wywołam doktora O’Neilla.

Zły i zdenerwowany, Jeff postawił torbę na ziemi i po chwili rzucił na nią swą skórzaną kurtkę. Jak w większości szpitali było tu bardzo ciepło. Znał obowiązujące personel zasady, mimo to, wiedząc, że Tish jest tuż za tymi drzwiami, a on nie może do niej wejść, doprowadzała go do szału.

Spacerował w tę i z powrotem po niewielkiej poczekalni, wdychał znajome szpitalne zapachy, leków i środków dezynfekcyjnych i trudnego do określenia strachu, typowego szczególnie dla oddziałów intensywnej terapii. Gdzieś dzwoniły telefony, ktoś dzwonkiem wzywał pielęgniarkę, stukały drewniaki personelu. Był w swoim świecie, w świecie, który sam wybrał, a jednak po raz pierwszy jako członek rodziny poważnie chorego, a nie lekarz.

Wiszący na ścianie telewizor nastawiony był na CNN, lecz bez fonii. Stały tam trzy plastikowe krzesła

i zielona kanapa. Oprócz niego w pomieszczeniu była tylko jedna osoba – cicho popłakująca w rogu kobieta. Jeff czuł się jak zwierzę w klatce.

Według jego zegarka dopiero po całych dwudziestu minutach przyszedł do niego mężczyzna w białym kitlu. Miał pod pięćdziesiątkę, przerzedzone, czarne włosy i okulary, zza których patrzyły ciemnobrązowe, inteligentne oczy.

– Doktor Kirby? – spytał, wyciągając rękę.

– Tak. Stażysta trzeciego roku. Jak ona się czuje?

Edmund O'Neill najpierw poprawił okulary.

– Dużo lepiej, niż wczoraj, kiedy ją tu przywieziono. Doznała poważnego wstrząsu mózgu i złamania obojczyka, to na początek. Musieliśmy usunąć jej śledzionę i drobne odłamki bomby. Miała niedodmę płuca, ale funkcjonuje prawidłowo, więc chyba nie było uszkodzenia. Najbardziej niepokoją nas urazy głowy, to przez nie jest w śpiączce. – Lekarz przez chwilę przyglądał się Jeffowi. – Jestem z panem szczerzy tylko dlatego, że jest pan lekarzem i ponieważ East zapewnił mnie, że zniesie pan prawdę.

– Doceniam to, panie doktorze. Jakie są rokowania?

– Ostrożnie optymistyczne. Jest ogólnie zdrowa i przed wypadkiem była w znakomitej formie fizycznej i to działa na jej korzyść. Operowałem ją i unieruchomiłem obojczyk dwiema stałymi śrubami. Jej stan jest niezły, ale na tym etapie trudno o prognozy. Z czasem będziemy wiedzieć więcej. Jeśli w ciągu

najbliższych dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin wyjdzie ze śpiączki, będzie to oznaczać, że obrzęk mózgu ustępuje i ma wszelkie szanse na całkowite wyzdrowienie. Jeśli nie, będziemy musieli powtórnie ocenić jej stan.

Jeff z trudem przełknął ślinę. Wydawało mu się, że jest na to przygotowany, ale, choć wiadomości nie były najgorsze, nie były też tak dobre, jak miał nadzieję.

– Mogę do niej wejść?

– Tak, i przepraszam, że nie zdążyłem umieścić pańskiego nazwiska na liście odwiedzających. Cały czas mamy tu straszne urwanie głowy. Nie wiedziałem, że jest zamężna, dopóki East Kirby osobiście do mnie nie zadzwonił i nie powiedział mi o panu. Jak pan zapewne wie, zazwyczaj nie pozwalamy rodzinie pacjentów na intensywnej terapii siedzieć przy nich cały czas. Dla pana uczynimy wyjątek. Pański ojciec ma wielki dar przekonywania.

– Tak, wiem. Dziękuję panu. – Jeff był bardzo ciekaw, co też takiego East powiedział lekarzowi.

– Doktor Kirby ma moją zgodę na przebywanie z żoną kiedy tylko zechce – poinformował recepcjonistkę O'Neill. – Radzę, żeby potem pan trochę odpoczął – zwrócił się do Jeffa. – Pańska żona śpi i trochę to pewnie jeszcze potrwa. A pan wygląda na zmęczonego.

– Dziękuję, ale muszę być przy Tish. – Jeff spojrział na swoją torbę i kurtkę. – Mogę to na razie tu

zostawić? – spytał, bo wiedział, że z obawy przed infekcją odwiedzający mają zakaz wnoszenia czegokolwiek na salę intensywnej terapii. – Przyjechałem prosto z lotniska.

– Oczywiście – zgodził się doktor.

– Dzięki, później je zabiorę.

Jeff pożegnał się z O’Neillem, wziął głęboki oddech i otworzył podwójne drzwi.

Pośrodku sali umieszczone było na podeście wysokie, okrągłe biurko, promieniście od niego, każde za przesuwanymi, szklanymi drzwiami stały w separatach łóżka pacjentów. Siedząca przy biurku pielęgniarka z identyfikatorem z imieniem Thelma na piersi, podniosła głowę na jego widok.

– Tish Buckner – rzekł. – Jestem jej mężem.

– Tak, doktorze Kirby – odparła z uśmiechem.

– Właśnie dzwonił doktor O’Neill. To ja mam pod opieką pańską żonę – dodała i poprowadziła go w stronę trzeciego z kolei łóżka.

– Jak ona się dziś czuje?

Wiedział, że to ona monitoruje wszystkie funkcje życiowe Tish i na zlecenie lekarza podaje leki, więc na pewno wie o najmniejszych zmianach w jej stanie. Maszyny, do których podłączeni są pacjenci natychmiast przekazują wszystko do centralnego stanowiska pielęgniarek.

– Dzielnie walczy, doktorze.

Typowa odpowiedź personelu szpitalnego – enigmatyczna i właściwie nic nie mówiąca.

– Chciałbym zobaczyć jej kartę choroby – poprosił Jeff, kiedy stanęli przed drzwiami do separatki Tish.

Thelma zastanawiała się tylko przez ułamek sekundy.

– Oczywiście, jeśli tylko lekarz prowadzący wyda zgodę. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę nacisnąć guzik, a ja porozumiem się z doktorem O’Neillem.

Choć wiedział, że są to zasady panujące w każdym szpitalu, mruknął coś brzydkiego pod nosem i zacisnął zęby.

Dopiero po chwili zdobył się na rozsunięcie drzwi do separatki Tish. Choć nie była pierwszą pacjentką intensywnej terapii, którą widział, to na pewno pierwszą, którą kochał. I dlatego ten widok był dla niego szokiem. Rurka od cewnika i plastikowy pojemnik, monitor do ciśnienia krwi, kroplówka, maska tlenowa, tak, wszystko to widział nie raz. Po raz pierwszy jednak to wszystko podłączone było do Tish. I w dodatku od tego zależało jej życie.

Podszedł bliżej i dopiero wtedy zauważył jak blada jest jej zawsze przecież opalona twarz, jak wydaje się bezbronna i krucha. Zobaczył siniaki i zadrapania na jej rękach, kilka nawet na twarzy. Jej ciemne włosy były gładko zaczesane, a długie, ciemne rzęsy spoczywały na policzkach.

Z trudem powstrzymując łzy przysunął sobie jedyne w pomieszczeniu krzesło bliżej do łóżka, nie usiadł jednak, lecz delikatnie ujął jej podrapaną, drobną

dłoń.

– Jestem tu, kochanie. Nie jesteś sama, Tish. Musisz walczyć. Jeszcze tyle przed nami...Nie poddawaj się. Jestem tu.

W końcu opadł na krzesło. Wykończony, fizycznie i psychicznie, oparł głowę o brzeg łóżka. Wcześniej nie był człowiekiem szczególnie wierzącym, stał się nim dopiero, kiedy zakopano go żywcem. Obecna chwila była równie tragiczna, jeśli nie bardziej.

Boże, proszę, pozwól jej żyć. Błagam.

Obudził się nagle, zdziwiony, że w tej pozycji w ogóle zasnął. Od razu spojrzął na Tish i stwierdził, że nadal pozostaje w niezmienionej pozycji. Wstał i właśnie się przeciągał, kiedy do separatki weszła Thelma, żeby zmierzyć pacjentce temperaturę i puls.

– Jeśli chciałby pan coś zjeść, to proszę – popatrzyła na niego ze współczuciem. – Jestem tu z nią i nigdzie nie odejdę.

Ładna, trzydziestoparoletnia pielęgniarka była naturalną blondynką, miała lekko tylko umalowane różową szminką wargi i ciepłe, niebieskie oczy.

Jeff potarł ręką nieogolony policzek.

– Domyślam się jak wyglądam, ale po nocy w samolocie to nic dziwnego – wyjaśnił.

A więc nawet nie zauważył, że jej spojrzenie wcale nie było krytyczne. Wprost przeciwnie.

– Skoro jest pan też lekarzem, to doktor O'Neill prosił, żeby panu przekazać, że może pan korzystać

z pokoju lekarskiego na trzecim piętrze. I może pan zobaczyć kartę swojej żony – dodała, wręczając mu dokument.

– Dziękuję.

Jeff znów został sam na sam z Tish. Usiadł i przejrzał kartę, ale nie znalazł w niej niczego, czego by nie wiedział.

– Wyjdiesz z tego, najdroższa – rzekł, delikatnie muskając jej policzek. – Wiem, że wyjdiesz. Musisz. Nie mogę bez ciebie żyć.

Siedział tak przez kilka godzin, od czasu do czasu delikatnie ją dotykał, głaskał, coś czule szeptał. W końcu uznał, że przyda mu się prysznic i coś do jedzenia. Musi przecież, dla dobra Tish, choć trochę dbać też o siebie. Obiecał Thelmie, że wróci za godzinę i wyszedł.

Ogolił się i wziął szybki prysznic w pokoju lekarskim. Edmund O'Neill pił tam akurat kawę przed kolejną operacją. Pokazał Jeffowi szafkę, w której może schować torbę i kurtkę. Porozmawiali też chwilę o szpitalu w Kalifornii, w którym odbywał staż Jeff i o wybranej przez niego specjalizacji w ratownictwie medycznym.

Ubrany w czystą, niebieską koszulę i spodnie w kolorze khaki poczuł się dużo lepiej. Zszedł na dół do bufetu, gdzie wypił duszkiem dwie szklanki soku pomarańczowego i kawę i zjadł drożdżówkę.

Zaraz potem wrócił na intensywną terapię.

Tish ani drgnęła. Nic się nie zmieniło.

Siadając obok niej wręcz skarcił się za te myśli. A czego się spodziewał? Że zastanie ją siedzącą na łóżku, roześmianą i żartującą z pielęgniarkami? Żyje. Na tym powinien się skupić. I na tym, że jest ogólnie zdrowa i silna. Wyjdzie z tego. Musi.

Ujął jej dłoń, taką drobną, a równocześnie silną. Po poznaniu Tish Buckner wyobrażał sobie różne scenariusze, ale ten jakoś nigdy nie wpadł mu do głowy. Ona w śpiączce, a on przy jej łóżku, czekający z nadzieją i modlitwą.

Jeff ziewnął. Był zmęczony, ale tak naprawdę nie chciało mu się spać. Patrzył na jej śliczną twarz, teraz zaznaczoną raną na czole i zadrapaniem na brodzie. Uwielbiał tak po prostu na nią patrzeć. Podczas ich niektórych wspólnych nocy budził się i po prostu na nią patrzył. Zapragnął znów wrócić do tych cudownych dni, kiedy byli razem, a ona była zdrowa, szczęśliwa i wesoła.

Z trudem powstrzymywał łzy. Wiedział, że to zmęczenie bierze górę, ale nie chciał odpoczywać, chciał być przy niej, czujny i gotowy, kiedy się obudzi.

Podczas studiów dowiedział się, że rodzinom pacjentów w śpiączce zawsze radzi się, by przebywali razem ze swymi bliskimi, rozmawiali z nimi, dotykali ich, dawali znać, że są przy nich i czekają na ich powrót. Pacjenci ci, po obudzeniu, wspominali, że słyszeli głosy, niektórzy nawet pamiętali rozmowy, które się wokół nich toczyły, kiedy spali.

Z nadzieją więc, że przyspieszy jej powrót do zdrowia i także, by dać jej znać, że jest przy niej, wziął ją za rękę i zaczął do niej mówić. Cicho i czule.

– Chyba nigdy ci nie opowiadałem o moim dzieciństwie. Zawsze znajdowałem jakiś powód, żeby zmienić temat, bo, cóż, nie były to miłe wspomnienia. Ale także dlatego, że nie umiałem o tym mówić i trudno mi było się przed kimś otworzyć. Przepraszam cię za to, słoneczko. Nie chciałem. Nadrobimy to, zobaczysz.

Po kilku minutach bolesnych wspomnień Jeff wstał, podszedł do niej, poprawił koc, który wcale poprawienia nie wymagał, delikatnie pogładził ją po policzku.

– O Boże, Tish, jak bardzo bym chciał, żebyś otworzyła te swoje ogromne, śliczne oczy i na mnie spojrzała. Choć raz, maleńka. Potem możesz znów zasnąć, ale już bym wiedział, że próbujesz do nas wrócić.

Ona jednak nadal leżała bez ruchu.

Jeff usiadł więc znów i westchnął ciężko. Ciekaw był, czy deszcz już przestał padać. Na oddziale nie było okien. Zdrzemnął się na chwilę, a potem zauważył przez szklane drzwi, że zmieniły się pielęgniarki. A więc jest tu już tak długo?

W drzwiach stanęła nowa pielęgniarka i przedstawiła się jako Doris. Była starsza, siwowłosa i w okularach, ale równie kompetentnie i delikatnie jak Thelma zmierzyła Tish temperaturę i ciśnienie.

– Wiem, że doktor O’Neill pozwolił panu być przy naszej pacjentce ile pan chce, doktorze, ale gdyby chciał pan pójść do hotelu, odpocząć trochę czy coś zjeść, to o żonę może być pan spokojny. Cały czas ją obserwuję.

– Dziękuję – odparł z uśmiechem Jeff. – Chyba rzeczywiście wyjdę zadzwonić i coś przekąsić, ale zaraz wrócę. Ale nie zatrzymam się w hotelu. Zostanę z nią, dopóki się nie obudzi.

Jej mina powiedziała mu, że przywykła do tego, że rodziny jej pacjentów zawsze mają taką nadzieję.

– Nie ma sprawy. Ale nie możemy przynieść tu panu nawet najmniejszej polówki, a wygląda na to, że przydałby się panu odpoczynek.

– Wytrzymam. Potrafię spać wszędzie. To krzesło jest całkiem wygodne.

Czyż przez te lata spędzone na ulicy nie sypiał gdzie popadnie, na twardej ziemi, na podłodze, na ławkach? Kiedy Tish będzie już bezpieczna, przyjdzie czas na miękkie łóżko.

– Rozumiem. Ale gdyby pan czegoś potrzebował, jestem przy biurku – powiedziała Doris i zniknęła równie bezszelestnie, jak się pojawiła.

Jeff podszedł do żony, ujął ją za rękę i długo się jej przyglądał.

– Idę zadzwonić do Easta, już dawno powinienem to zrobić, i coś przekąsić. Zaraz potem wrócę, słoneczko. I opowiem ci drugi rozdział fascynującej sagi mojego dotychczasowego życia.

Nachylił się i pocałował jej blady policzek. W tej samej chwili poczuł, że jej ręka się porusza, a drobne palce zaciskają się na jego dłoni.

– Tish! – krzyknął. – Poruszyłaś się! Wracasz do nas. Bogu niech będą dzięki. Tak, słonko, to ja, Jeff. Wróć do mnie. Proszę.

Jeff nacisnął guzik przywołujący pielęgniarkę i znów skupił się na żonie.

– Zrób to jeszcze raz, Tish. Ściśnij moją rękę.

Otaczała ją mgła, z początku rzadka, potem coraz gęstsza. Próbowwała się przez nią przebić, zobaczyć, rozejrzeć się. Dlaczego nie widzi? Chciała otworzyć oczy, ale jej powieki były za ciężkie.

Tish słyszała z oddali jakiś wołający ją głos. Głos mężczyzny. Próbowwała rozróżnić słowa, rozpoznać ten głos. Była w nim pewna czułość, a ona przypomniała sobie tego samego mężczyznę mówiącego do niej coś uspokajającego.

Nagle powiedział coś bardzo blisko niej, chyba wręcz do jej ucha. Jego słowa błagały, by do niego wróciła. Gdzie jest, że miałyby wracać? Dokąd poszła i dlaczego ten mężczyzna jest tak daleko?

Mgła otaczała ją coraz szczelniej. Próbowwała się poruszyć, ale udało jej się tylko chwycić czyjąś rękę. Chciała o coś zapytać, ale nie mogła ruszyć wargami. Dlaczego nie może mówić? Dlaczego nie pamięta, gdzie jest ani jak się tu znalazła?

Nagle zrobiło się ciszej i usłyszała jego głos

wyraźniej. Czy to Jeff? Och, jak bardzo chciała, żeby Jeff był z nią, ale choć bardzo się starała, nie mogła się z nim porozumieć. Do oczy napłynęły jej łzy. Jeff znów do niej mówił, prosił, by się trzymała, że wezwał już pomoc. Kto ma jej pomóc? Tkwiła w tym koszarze nie mogąc dotrzeć do Jeffa. Był taki zmartwiony i zaniepokojony. Tu jestem, kochanie, chciała zawołać, ale z jej ściśniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Czuła go przy sobie, czuła, jak ściska jej palce, całuje jej włosy. Jej Jeff, jej mąż, mężczyzna, któregoomal nie utraciła, ale odzyskała w Australii. To jego cichy głos mówi do niej całymi godzinami. To nieważne, że nie rozumie co. Najważniejsze, że jest z nią. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo go kocha, jak bardzo zawsze go kochała, choć jej własny ból nie pozwalał jej tego mu powiedzieć. Chciała znów znaleźć się w jego ramionach, bo kiedy ją obejmował, nic złego nie mogło jej się stać.

Ale coś się stało, bo inaczej przecież by tutaj nie była, nie mogąc dotrzeć do jedynej mężczyzny na świecie, którego kiedykolwiek kochała. Coś straszego musiało się stać. Gdyby tylko mogła sobie przypomnieć co. Znów jednak otoczyła ją mgła i głos Jeffa był coraz słabszy. Nie! Chciała zawołać, odzyskać go znów. Proszę, nie odchodź.

A potem była już tylko ciemność.

– Co się stało, doktorze? – Do separatki wbiegła

zaniepokojona Doris.

– Poruszyła się. Przed chwilą. Ścisnęła moją rękę.
– Jeff uśmiechał się do pielęgniarki. – Wychodzi z tego.

Doris podeszła do łóżka pacjentki i sprawdziła wskaźniki maszyn. Szczególną uwagę zwróciła na tę, która monitorowała ciśnienie jej krwi. Potem zajrzała Tish w oczy i osłuchiwała stetoskopem.

– To był tylko skurcz mięśni, doktorze – powiedziała w końcu. – To się zdarza i...

– Nie! Mówię pani, że kiedy się nad nią nachyliłem i pocałowałem ją w policzek, ścisnęła moją rękę. Czułem to. Zrób to jeszcze raz, kochanie – zwrócił się błagalnie do żony. – Pokaż jej.

Nie zareagowała.

– Rozumiem, co pan czuje i wierzę, że jej ręka naprawdę drgnęła. Ale to nie było świadome. To nie ona nią poruszyła. Przykro mi – dodała współczująco.

– Mnie też. – Jeff odwrócił się i wyszedł z separatki i w ogóle z oddziału.

Musiał odetchnąć świeżym powietrzem, zjeść coś, odzyskać nadzieję.

W korytarzu znalazł automaty telefoniczne i szybko wykręcił numer. Po chwili usłyszał niski głos Easta.

– Tata? Jestem w szpitalu. Przepraszam, że nie dzwoniłem wcześniej.

– Nie szkodzi – odparł East. Już z głosu syna wiedział, jak bardzo jest zmęczony i zrozpaczony.
– Jak ona się czuje?

– Walczy, jak mówią, cokolwiek to znaczy. Minutę temu trzymałem ją za rękę, a ona...ona ścisnęła mi pace. Tato, naprawdę tak było, wiem. A jednak pielęgniarka twierdzi, że to było odruchowe, że to skurcz mięśni.

East wyczuł bezradność syna i zrozumiał, że musi podnieść go na duchu.

– Pewnie na studiach zetknąłeś się już z tym zjawiskiem, ale specjalnie chcesz wierzyć, że uścisnęła cię celowo. Nie dziwię ci się, ale z fałszywą nadzieją trudno żyć. Z prawdziwą nie. – East odchrząknął. – Wiesz, kiedy cię porwano i nie wiedziałem, gdzie jesteś, kto to zrobił i dokąd cię zabrano, czułem się chyba tak, jak wyobrażam sobie ty się w tej chwili czujesz. Pokonany. Bezradny. Zrozpaczony.

– Pewnej nocy w ramionach Alicji załamałem się. I wiesz, co mi powiedziała? Że jeśli stracę nadzieję, mój syn równie dobrze może być już martwy. To dzięki nadziei mogliśmy walczyć, szukać, modlić się i wierzyć, że w końcu cię znajdziemy. I znaleźliśmy. Musisz wierzyć, synu. Tish do nas wróci, ale musisz w to wierzyć. Bo choć nie może mówić ani otworzyć oczu, kiedy jesteś przy niej i mówisz do niej, ona o tym wie. Słyszy i wyczuje, czy straciłeś nadzieję czy chcesz, żeby walczyła. Nie pytaj mnie jak, ale wyczuje. Musisz być silny, synu...dla niej i dla siebie.

Jeff z trudem przełknął ślinę, w jego oczach pojawiły się łzy.

– Tak, masz rację. Dzięki, tato. Musiałem...musia-

łem usłyszeć twój głos. To zawsze pomaga.

– Chcesz, żebym przyjechał, Jeff? Mogę złapać najbliższy samolot...

– Nie, ale dzięki za propozycję. Twoje miejsce jest przy Alicii. Jak małeństwo?

– Obie mają się świetnie. Alicja cię pozdrawia.

Wzruszenie nie pozwoliło Jeffowi dłużej ciągnąć tej rozmowy.

– Dzięki. Zadzwoń później.

Odłożył słuchawkę i wierzchem dłoni otarł oczy. Dłoni, która czuła uścisk ręki Tish.

Wyzdrowieje, powtórzył sobie w duchu. Wróci do niego kochająca, gotowa naprawić ich małżeństwo. Będzie zdrowa i silna. Już on tego dopilnuje, choćby miał siedzieć przy jej łóżku cały następny tydzień. Ludzie ciągle budzą się ze śpiączki wcale w nie gorszym stanie niż przedtem.

Już raz kiedyś jej powiedział, że na nią warto czekać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Później Jeff natknął się na doktora O’Neilla, z rozwianymi połami fartucha wybiegającego z oddziału intensywnej terapii.

– Doktorze, czy jest jakaś zmiana w stanie Tish?

– Niestety nie, doktorze. Jak na pewno zdaje pan sobie sprawę, takie rzeczy muszą potrwać. Siostra mówiła mi., że zaobserwowała u niej reakcję neurologiczną. Skurcz mięśni. Zupełnie nieświadomy oczywiście. Są też ruchy gałek ocznych, to dobry znak. Mówi pan do niej?

– Tak. Miałem nadzieję, że zareaguje na mój głos czy na moje słowa, ale jak na razie nic.

– Proszę nadal do niej mówić. Badania medyczne wskazują, że chorzy w śpiączce słyszą i słuchają. To dlatego omawiając ich stan czy rokowania, zawsze wychodzę z sali. Nie chcę, żeby to, co mówię do pielęgniarek czy rodziny wpływało na stan pacjenta.

– Oczywiście. Dziękuję, doktorze.

Nie dowiedział się wiele, ale przynajmniej niczego złego.

Doktor O'Neill poklepał go po ramieniu.

– Niech się pan nie poddaje. Do zobaczenia – dodał i ruszył dalej.

Jeff wszedł do ciepłego, cichego pomieszczenia intensywnej terapii. Zauważył Doris z naręczem świeżych prześcieradeł.

– Właśnie zmieniałam jej pościel i oklepałam plecy – poinformowała go. – Nie chcemy, żeby zrobiły jej się odleżyny.

– Jeśli mógłbym w czymś pomóc, to chętnie.

– Będę pamiętać.

Jeff wszedł do separatki Tish. Miał wrażenie, że nigdy stamtąd nie wychodził. Tish wyglądała tak samo, choć może jej włosy były teraz inaczej ułożone i wyszczotkowane. Podeszedł do łóżka, uśmiechnął się do swej żony, dotknął jej ślicznych włosów. Bardzo się starał, by w jego głosie zabrzmiała cała jego miłość i troska.

– Pamiętasz, jak lubiłaś, jak szczotkowałam ci włosy, Tish? Po kąpeli siadałaś na łóżku, a ja czesałam i czesałam, piętnaście, dwadzieścia minut, aż były całkiem suche. A ty mruczałaś, jak kociątko. – Zaśmiał się, by usłyszała. – Pamiętasz tego wychudzonego kota, który przychodził do naszego mieszkania w poszukiwaniu jedzenia? Nigdy nie byłaś obojętna wobec potrzebującego zwierzęcia. Zaczęłaś go karmić i zanim się obejrzałam, już się do nas wprowadził. Tego

tak zwanego dzikiego dachowca trzeba było prowadzić do weterynarza, robić zastrzyki, kastrować. – Znów parsknął śmiechem. – Ale kochałaś go, a ja za to kochałem ciebie.

Delikatnie odgarnął włosy z jej czoła i pogładził po policzku.

– Nie martw się, mówią, że po tej ranie nie będzie śladu. Nacięcie na obojczyku pozostanie, ale potraktujemy to jako medal za odwagę. Przeżyłaś, kotku i to jest najważniejsze.

Jeff westchnął i opadł na krzesło. Marzy o ruchu, wiedział, że pomogłoby to jego zmęczonemu ciału. Ale co mogłoby pomóc jego umysłowi?

Postanowił znów porozmawiać z Tish. To oderwie trochę jego myśli od grożącego jej niebezpieczeństwa, a jej może pomoże wyjść ze śpiączki.

Mówił cicho, cały czas gładząc jej rękę.

– Nie wiem, czy znasz przeszłość Easta, czy wiesz w jaki sposób zjawiłem się w jego życiu. Kiedyś był jednym z najlepszych agentów operacyjnych SPEAR. Którejś nocy w czasie pościgu wąskimi uliczkami Beverly Hills Canyon przypadkowo zabił jakiegoś chłopaka, który na rowerze wtargnął pod jego auto. Nikt go o to nie oskarżył, ale East się z tym nie pogodził, uważał, że jest winny. Zasady, jakimi się w życiu kierował były jeszcze szlachetniejsze, niż wymagała tego od niego agencja i według jego standardów był winien i powinien zostać ukarany. Czasami to my sami jesteśmy swoimi największymi wroga-

mi.

– East stracił do siebie zaufanie, prześladowała go śmierć chłopaka, więc wycofał się ze SPEAR. Nie chcieli go puścić, ale nie zmienił zdania. Spędził samotnie trzy miesiące w ośrodku Condor, w dzień z nikim nie rozmawiał, nocami łąził po górach. Właśnie jednej z takich nocy spotkał mnie.

– Byłem bez grosza, głodny, bez przyszłości. Czternastoletni zbieg bez rodziny. A East wziął mnie za rękę i zaprowadził przez góry do hotelu Monarch. Umył mnie, nakarmił, położył do czystej pościeli i pozwolił spać dwadzieścia godzin. Później zaczął ze mną rozmawiać.

– Zapewnił mnie, że mogę zostać kim sobie zamierzę, jeśli będę się uczył i bardzo starał. Obiecał, że mi w tym pomoże. Albo mogę wrócić na ulicę. Byłem podejrzliwy, więc spytałem go, czemu to robi, czemu tak obchodzi go los zupełnie obcego dzieciaka. To wtedy opowiedział mi o tamtym chłopaku na rowerze. Może kiedy ci pomogę, będę w końcu normalnie sypiać, rzekł. Miałem być rodzajem pokuty. I określił tylko jedną zasadę – nie kłamać. I nigdy go nie okłamałem.

– Tak więc East jako pracownik cywilny przejął zarządzanie ośrodka Condor, a mnie zapisał do szkoły. Miałem duże braki, więc trochę to trwało, zanim wszystko nadrobiłem, ale chyba lubiłem się uczyć, więc mi się udało. Potem East wysłał mnie do koledżu i długo rozmawialiśmy o ty, co chciałbym w życiu

robić. Zdecydowałem, że chcę być lekarzem, więc opłacił mi naukę. I wprowadził mnie do SPEAR. Z czasem uznałem, że to jest właśnie to.

– Najważniejszą jednak rzeczą, jaką dał mi East była bezwarunkowa miłość. Mało które dziecko jest tak kochane nawet przez własnych, prawdziwych rodziców. Nauczył mnie na własnym przykładzie, że najważniejsza jest nauka, bo zostaje z tobą na zawsze. Był twardy, kiedy potrzebna mi była dyscyplina i ciepły, kiedy było mi trudno. Zmienił mnie z przestraszonego, ale pyskatego dzieciaka w kogoś, z kogo mogłem być dumny. Nauczył, co to honor i prawda, miłość i przebaczenie. Nauczył mnie być mężczyzną i już za to tylko będę go kochać do końca życia. Dzień, w którym mnie adoptował, był jak dotąd najszczęśliwszym dniem w moim życiu. Jest wspaniałym, dobrym, opiekuńczym człowiekiem. Byłbym szczęśliwy, gdybym choć w połowie mógł mu dorównać. Problem polega na tym, że to East jest mi wdzięczny, że dzięki mnie odkupił śmierć tamtego chłopaka, a to przecież on uratował mnie. Towarzystwo wzajemnej adoracji, co?

Uśmiechnął się do Tish i spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta.

– Wiesz, słonko, chyba się teraz trochę tu zdrzemnę. A ty odpoczywaj i walcz, bo cię kocham, bezwarunkowo i w każdy inny sposób, i chcę, żebyś do mnie wróciła.

Odsunął się trochę, żeby nie przeszkadzać pielęgn-

niarce w jej obowiązkach, położył nogi na stołku, pod głowę położył poduszkę, którą znalazł w szafie. Choć był pewien, że nie zmruży oka, że myśli i obolałe ciało mu na to nie pozwolą, zasnął natychmiast.

Obudził się, kiedy we śnie jego noga zsunęła się ze stołka. Przez chwilę zdezorientowany rozglądał się dokoła, zaraz jednak przypomniał sobie, że jest w separacie Tish na oddziale intensywnej terapii. Wskaźniki maszyn migają, ale ona nadal leżała bez ruchu.

Jeff wstał, przeciągnął się i spojrział przez szybę. Jedna z pielęgniarek rozmawiała przez telefon, dwie inne były w jednej z separatek. Wiedział, że każda z siostr ma pod opieką dwóch pacjentów, ale w trudniejszych przypadkach zawsze sobie pomagają. Najwyraźniej właśnie z takim miały do czynienia uznał, widząc wbiegającego na oddział mężczyznę w cywilnym ubraniu, ale ze stetoskopem na szyi.

Jeff spojrział na zegarek. Było kilka minut po piątej rano. Domyślił się, że to lekarz opiekujący się pacjentem z tamtej separatki został do niego pilnie wezwany. Zaciekawiony otworzył drzwi i podszedł do siedzącej przy biurku Thelmy.

– Co się stało? – spytał cicho. Na oddziale intensywnej terapii wszyscy mówili cicho, podporządkował się więc tej niepisanej zasadzie.

– Pacjent w pierwszej separacie jest w krytycznym stanie. – Wiedząc, że Jeff jest lekarzem, Thelma rozmawiała z nim inaczej, niż by to było z cywilem.

– Trafiło go wszystko na raz. Rak prostaty zbyt zawansowany na operację, rozedma i zapalenie płuc, z którego powodu się tu znalazł. Biedaczek. Ma tylko pięćdziesiąt dwa lata.

– Rzeczywiście szkoda faceta.

Zauważył, że lekarz odsunął się od pacjenta, odłożył stetoskop i spojrział na zegar. A więc to koniec. Pozostało już tylko określenie czasu zgonu.

Kiedy wracał do Tish, przez podwójne drzwi na salę wpadły dwie zdenerwowane kobiety. Wyższa z nich zauważyła lekarza i podbiegła do niego.

– Mój ojciec, doktorze, jak on się czuje? Dostałam telefon i...

Lekarz ujął ją pod ramię i tłumacząc coś cicho poprowadził do separatki jej ojca. Chwilę potem na oddziale rozległ się płacz obu kobiet, młodszej tak głośny, że słychać ją było chyba nawet na korytarzu.

Nie chcąc krępować ich swoją obecnością Jeff wszedł do separatki Tish i zasunął za sobą drzwi. Mimo krzyków kobiety Tish nawet nie drgnęła.

Praca na oddziale intensywnej terapii wymaga szczególnych predyspozycji. Przebywają na nich tylko bardzo poważnie chorzy. Choć Jeff nie był w medycynie nowicjuszem, śmierć pacjenta zawsze go poruszała. Usiadł na krześle i przyglądał się Tish. Gdyby zapomnieć o całej otaczającej ją aparaturze, wyglądała zupełnie normalnie. Jakby spała. I rzeczywiście tak było, choć nie był to zwyczajny sen.

– Już pora, kochanie – szepnął, jakby chciał siłą

swej woli zmusić ją do obudzenia. – Obudź się, porozmawiaj ze mną. Tak mi tu źle bez ciebie, Tish.

– Wiem, że próbujesz wrócić. Wiem, że ty też się boisz i czujesz samotna. Nie jesteś sama. Ja jestem przy tobie, a East przesyła pozdrowienia i Alicia też. Właśnie urodziło im się dziecko, dziewczynka. Nazwali ją Annie. Mama i dziecko mają się dobrze. Może któregoś dnia ty i ja będziemy...

Nie, lepiej teraz o tym nie mówić. Nie trzeba jej denerwować.

– Wiem, co czujesz. Dokładnie. Zastanawiasz się, gdzie są wszyscy, dlaczego jesteś sama, dlaczego nikt nie chce ci pomóc. Prawda, że tak czujesz, słoneczko? Wiem, bo sam się tak czułem, kiedy tamten drań zakopał mnie żywcem.

Jeff znów opadł na krzesło i zamknął oczy. Nie chciał myśleć o tamtych strasznych wydarzeniach sprzed kilku miesięcy, przypominać sobie tego dołu, do którego go wtrącono i zostawiono na śmierć.

Potrząsnął głową, by odpędzić te straszne wspomnienia, pochylił się i leciutko pocałował rękę Tish.

– Słonko, nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym, żebyś mogła ze mną porozmawiać, żebyś wreszcie do mnie wróciła. Ale to już niedługo, prawda? Obiecujesz?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Thelma cichutko weszła do separatki, żeby zmierzyć temperaturę i ciśnienie Tish Buckner. Uśmiechnęła się na widok doktora Kirby'ego, który drzemał z głową opartą o łóżko żony i trzymał ją za rękę. Poza kilkoma szybkimi posiłkami, nie opuszczał jej ani na chwilę, od przyjazdu siedział przy niej dzień i noc. W tych czasach takie oddanie było rzadkością.

Choć nieogolony, widać było jak jest przystojny, wysoki i dobrze zbudowany. Byli małżeństwem, ale takim nowoczesnym, bo mieli różne nazwiska. Tylko bardzo oddany i kochający małżonek siedziałby tak przy swej pogrążonej w śpiączce żonie.

Zauważyła, że w pewnej chwili Jeff uśmiechnął się przez sen. Pewnie śni o szczęśliwszych czasach, uznała i bezszelestnie opuściła separatkę.

Jeff rzeczywiście był w szczęśliwszych czasach, ale nie śnił. Wspominał ich wspólnie spędzony czas na ranczu Red Rock w Arizonie.

Pojechali na koniach w swe ulubione miejsce, pod rozłożyste drzewo nad strumieniem. Było późne popołudnie i byli już poza zasięgiem wzroku kogokolwiek z rancza, a w ten zakątek raj, jak nazwał go Jeff, nikt się nie zapuszczał. Tutaj mogli być sami, rozmawiać bez obawy, że ktoś ich usłyszy, nawet się kochać.

Jeździli tam prawie co wieczór, wiedząc, że ta idylla wkrótce się skończy i każde z nich pójdzie swoją drogą. Tego dnia Jeff przez cały dzień pomagał Slimowi w rachunkach i nie widział się z Tish aż do wyjazdu. Kiedy więc zauważył jej poważną, nawet smutną minę, nie potrafił znaleźć jej przyczyny.

Zaczekał, aż rozłożą koc i wyjmą kosz ze smakołykami jak co dzień przygotowanymi dla nich przez Elbę.

– Chodź tu do mnie – poprosił, wskazując miejsce obok siebie na kocu.

Tish stała na brzegu strumienia, ale wróciła i usiadła. Oczywiście miała spuszczone, w rękach miała chusteczkę.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony.

– Rozmawiałam dziś z Reggie'em – zaczęła.

Ten chełpliwy kretyn cały czas się przy niej kręcił, choć wszyscy wiedzieli, że Jeff i Tish są teraz parą.

– I co takiego nasz uczony przyjaciel miał ci do powiedzenia?

Tish milczała i zdawała się szukać właściwych słów.

– Powiedział coś, co cię zdenerwowało?

– W pewnym sensie. – Dopiero teraz na niego spojrzała. – Widzisz, Jeff, ja...ja...

Teraz on zaczął się denerwować.

– Co? Co ty?

– Mam trzydzieści sześć lat – zdecydowała się w końcu Tish. – A Reggie mówi, że ty tylko dwadzieścia cztery!

– To o to chodzi? To cię tak zdenerwowało?

Kiedy skinęła głową, poczuł ogromną ulgę i nie mógł się nie roześmiać. A potem mocno ją do siebie przytulił.

– A już przez chwilę się niepokoiłem.

Tish wysunęła się z jego objęć.

– I słusznie. Nie mogę się z tobą związać, Jeff. Nie rozumiesz? Jestem od ciebie dwanaście lat starsza.

– I co z tego? Nie widzę w tym żadnego problemu.

Tish się nie uśmiechała.

– Ty nic nie rozumiesz. Ludzie będą mówić, że uwiodłam nieletniego. Mam już pewną pozycję w SPEAR, a ty dopiero zaczynasz.

– Nie żartuj, nie jestem aż tak młody. Skończyłem koledż i medycynę, teraz jestem na stażu. A zresztą co cię obchodzi, co myślą inni? Mój ojciec ma trzydzieści pięć lat i poślubił kobietę dokładnie w moim wieku. Nie znam lepszej pary.

Tish spuściła wzrok.

– Tak, kiedy to mężczyzna jest starszy, to czasem się udaje. Ale kiedy kobieta...

– To też się udaje. – Jeff ujął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała. – Szukałem cię całe życie, Tish, i nie pozwolę ci odejść.

Tish wyraźnie zmagala się z podjęciem trudnej decyzji.

– To nie pozwól. Nigdy nie pozwól mi odejść. Wiem, że to nie jest najlepsza rzecz, dla żadnego z nas, że tak cię pragnę. Moment też nie jest najlepszy. Ale przy tobie tracę rozum, a coś takiego nigdy mi się dotąd nie zdarzyło. Wystarczy, że mnie dotkniesz i przestaję nad sobą panować.

Jeff ukląkł i pociągnął ją za sobą, klęczeli więc teraz twarzą w twarz, zaledwie parę centymetrów jedno od drugiego.

– Nie panuj – poprosił i przypieczętował tę zachętę pocałunkiem.

A potem wziął ją w ramiona, tulił i pieścił. Z początku delikatnie, potem coraz szybciej i bardziej namiętnie. Była dokładnie tym, o czym marzył i czymś dużo, dużo więcej. Była pierwszą kobietą w której potrafił i chciał się zatracić, dać jej całego siebie, wziąć ją całą.

Jeff obudził się ze snu, z bardzo przyjemnego snu, i niechętnie otworzył oczy. Po słodkich wspomnieniach ich miłosnej nocy na ranczu Red Rock udało mu się jakoś zasnąć. Był teraz w separacie Tish, jego głowa spoczywała na krawędzi jej łóżka, od tej niewygodnej pozycji szyja mu zesztyniała. Wyprostował się z trudem i spojrzał na Tish. Leżała wciąż w tej

samej pozycji.

Wziął małą butelkę wody i wypił duszkiem. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że wcale nie spał długo, choć był tak obolały. Najwyraźniej chciałby, żeby czas płynął jak najszybciej i żeby nadeszła już ta chwila, kiedy Tish się obudzi i do niego wróci.

Kiedy przypomniał sobie okoliczności i zdrajcę, którego szatański plan tak skrzywdził jego ukochaną kobietę, aż zgrzytnął zębami i mocno zacisnął pięści. Szybko jednak się opanował. Nie chciał, żeby te jego uczucia przeniosły się na nią. Jeszcze raz na nią spojrzął i wyszedł z separatki.

– Wychodzę na chwilę, Thelmo – poinformował pielęgniarkę. – Muszę zadzwonić i coś zjeść. Zostawię numer mojej komórki na wypadek, gdyby się obudziła.

– Oczywiście, doktorze. – Thelma zapisała numer i uśmiechnęła się. – Świeże powietrze dobrze panu zrobi.

Jeff też marzył, by choć na chwilę opuścić szpitalną atmosferę, z jej nieustanną krzątaniną, piszczącą aparaturą i zapachami. Podczas swej pracy w szpitalu odbierał ją zupełnie inaczej.

W korytarzu znalazł automat i szybko wykręcił numer Easta.

– Chciałbym przekazać ci jakieś dobre informacje, ale niestety. Żadnych zmian.

Spojrzał przez okno i dostrzegł zachodzące słońce. A więc kończy się kolejny dzień bez najmniejszej

poprawy. Zaczynał tracić nadzieję i bał się, że ojciec wyczuje to z jego głosu.

– Przykro mi, Jeff. Co mówi lekarz?

– Niewiele. Każe mi przy niej być. – Jeff przecesał palcami włosy. – Słyszałem, że ludzie tkwią w śpiączce nawet latami. Chyba bym tego nie zniósł, tato. Nie z Tish.

– Nawet tak nie myśl, synu. Wróci do nas, jak tylko cofnie się obrzęk mózgu. – East też był w kontakcie z lekarzami. – Wiem, że to trudne, ale nie trać nadziei.

– Spróbuję. – Nagle zapragnął zmiany tematu na jakiś weselszy, bardziej optymistyczny. – Czy Ally i Annie są już w domu?

– Tak, obie zdrowe i szczęśliwe. Mała jest ruda – dodał ze śmiechem. – Kiedy Tish się obudzi, musicie tu do nas przyjechać na odpoczynek.

– Dobry pomysł, dzięki – rzekł, choć nie był pewny, jak Tish zareaguje teraz na obecność niemowlęcia. – Będę to musiał bardzo ostrożnie rozegrać, tato. Kiedy rozstawaliśmy się w Australii, nie byliśmy jeszcze do końca pogodzeni. Umówiliśmy się na dalsze rozmowy po jej nowojorskim zadaniu.

– Może po tym strasznym wypadku Tish ujrzy wszystko z innej perspektywy, Jeff. Takie wstrząsy potrafią wszystko zmienić.

– Tak, wiem coś o tym. Zobaczmy, czy i ona to poczuje.

– Niewykluczone, że niedługo się zobaczymy. Proszono mnie, żebym przyjechał do Nowego Jorku

pomóc w śledztwie po tym wybuchu. Nie bardzo wiem, na co mogę się im przydać, ale chyba się wybiorę, szczególnie, że ty tam jesteś.

Znajoma twarz, ktoś, z kim można porozmawiać, ktoś, kto chce z nim być. Jeff zamknął oczy. Choć jego serce przepelnione było wdzięcznością, nie chciał tego okazać. Jest mężczyzną i nie powinien się mazać.

– Dobry pomysł – mruknął.

Taka odpowiedź zupełnie wystarczyła Eastowi.

– No to na razie. – rzekł. – Będziemy w kontakcie. Dzwon, jak się coś zmieni.

– Jasne – Jeff odwiesił słuchawkę i podszedł do okna.

Wiosna w Nowym Jorku. Pączki na drzewach, zapach ziemi, chodniki mokre po deszczu. Skoro nie może pobiegać, to przynajmniej się przejdzie. Jak mówiła Thelma, świeże powietrze na pewno dobrze mu zrobi.

Kiedy wrócił do szpitala zapadał już zmrok, a on był wykończony. Długi spacer przyniósł ulgę jego mięśniom, zbyt długo wystawianym na próbę krzesła. Natknął się na małą, włoską restaurację i wstąpił z nadzieją, że karta w niej będzie ciekawsza, niż w szpitalnym bufecie.

Nie mylił się. Już czując unoszące się tam zapachy odzyskał apetyt. Wychodząc stamtąd wreszcie czuł się jak człowiek. W dużo lepszym nastroju wrócił do szpitala.

Szybko minął siedzącą teraz przy biurku Doris i z sercem pełnym nadziei wpadł do separatki Tish.

Leżała tak jak ją zostawił.

Opadł na krzesło, jakby nagle uszło z niego powietrze i po prostu na nią patrzył. Takie czekanie wystawiliby na próbę cierpliwość każdego. Jeśli miał konkretną, nawet i odległą datę i wiedział co się wtedy wydarzy, to jakoś potrafił na to czekać. To niewiedza tak go wykańcza. Strach, że nawet kiedy Tish się obudzi, nie będzie już dawną sobą. Że odłamki bomby poczyniły w jej mózgu nieodwracalne zniszczenia.

Nie, nawet nie chciał o tym myśleć. Odetchnął głęboko, wyprostował się i skierował myśli w bezpiecznym kierunku.

Musi do niej mówić, mówić cały czas. O rzeczach, które rozgrzeją jej serce, sprawią, że zapagnie powrotu, że zechce walczyć, by znów być z nim.

Przyciągnął więc krzesło do łóżka i ujął jej drobną dłoń, którą tak często całował, dłoń, która dotykała jego ciała, której pieśczoły tyle razy dawały mu szczęście. Pochylił się, by ją pocałować, potem odchrząknął i zaczął mówić.

– Cześć, słonko. Chwilę mnie nie było. Rozmawiałem z Eastem. Annie już jest w domu z ich córeczką, Annie. Wszyscy przesyłają ci pozdrowienia i zapewniają o swej miłości. Chcą, żebyśmy do nich przyjechali, jak wyjdiesz ze szpitala. I wyjdiesz, najdroższa. Niedługo.

– Byłem na spacerze. Jest kilkanaście stopni

ciepła, prawdziwa nowojorska wiosna. Widziałem policjanta na koniu i kilku innych przygotowujących się do wielkanocnej parady na Piątej Alei. Pamiętasz ten wieczór w naszym mieszkaniu, kiedy oglądaliśmy film z Fredem Astairem i śpiewaliśmy do wtóru z Judy Garland? Oboje fałszowaliśmy, ale bawiliśmy się znakomicie. – Jeff lekko ścisnął jej dłoń. – Tak bardzo chcę znów robić z tobą te codzienne, zwyczajne rzeczy, Tish. Oglądać filmy, spacerować, spać wtuleni jedno w drugie. – Bardzo się starał, by nie wpaść w smutny ton. – Strasznie jestem obżarty. Wstąpiłem do takiej małej, włoskiej restauracyjki. Kelner miał na imię Tony, jakże inaczej? Miał oczywiście czarne wąsy, kręcone włosy i wielki, biały fartuch. Na ścianach były freski, widoki Wenecji i gondoli. Niezbyt dobre, ale tworzące nastrój. W tle grała włoska muzyka, na szczęście niezbyt głośno. Chyba coś Mario Lanzy. Ty byś wiedziała. Pamiętam, że zawsze rozpoznawałaś w radio, kto śpiewa. Masz dużo lepsze ucho do głosów, niż ja.

– No więc zjadłem spaghetti po bolońsku, sos był świetny. Poprosiłem o grzyby, bo wiesz jak je lubię i Tony przyniósł chyba ćwierć kilo. Pieczywo mieli idealne, chrupkie na wierzchu, delikatne w środku. I przyznam ci się, że wypilem trochę czerwonego wina. Chianti. Nie zachwycające, ale chyba nie takie najgorsze, bo wypilem dwa kieliszki. Boże, Tish, jaka szkoda, że cię ze mną nie było. Wiesz, jak nie lubię jadać sam. Zawsze miałaś do mnie pretensje, że

w szpitalu na dyżurze nic nie jem, ale to dlatego, że wolę być głodny, niż jeść sam.

– Dziś jednak musiałem, bo ostatnio mało jem, a chcę być silny, kiedy się obudzisz, żebym mógł wziąć cię na ręce i wynieść stąd. Zawsze lubiłem brać cię na ręce. Pasujesz do moich ramion jak nikt inny. I zawsze tak będzie. Już nigdy nie będzie w moim życiu innej kobiety. Jesteś skazana na mnie na zawsze.

Przerwał na chwilę, szukając w myślach jakiegoś pogodniejszego tematu.

– Wiem, że z tego wyjdiesz, kotku, bo jesteś silna. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że jesteś drobna i krucha, ale wewnątrz jak skała. Pamiętasz ten dzień, kiedy zadarłem z Makiem, a ty mnie uratowałaś? – zaśmiał się. – Po prostu jadł ci z ręki...

Pewnego słonecznego poranka Jeff siedział wraz ze Slimem przy śniadaniu w jadalni Red Rock. Był w dobrym humorze. Wręcz wyśmienitym. Między nim i Tish wszystko idealnie się układało, był wypoczęty, trochę chyba przytył i chyba nawet zapomniał o tamtej tragedii.

– Zdaje się, że mamy przed sobą kolejny piękny dzień – zagaił.

– Taa, chyba masz rację. – Slim oparł się o oparcie krzesła i wpatrywał się w niego uważnie.

Jeff spokojnie smarował sobie grzankę.

– Coś się stało?

– Wiesz, że zazwyczaj nie zwracam uwagi na

plotki, ale nad tą chyba obaj powinniśmy się zastanowić. Mówi się, że Mac jest wciąż na ciebie wściekły, że tak go upokorzyłeś w zeszłym tygodniu przy znakowaniu cieląt. Podobno chce się zemścić.

Jeff odkroił kawałek parówki.

– Naprawdę? Co rozumiesz przez zemścić się?

– Na przykład może chcieć dać ci nauczkę. – Slim wcale się nie uśmiechał. Był poważny i zaniepokojony.

Jeszcze tego mi trzeba, pomyślał Jeff. Wiedział, że Slim nie rozmawiałby z nim o tym bez powodu.

– Co mógłbym zrobić, żeby załagodzić sytuację? Slim wzruszył ramionami.

– Prawdę mówiąc nie wiem. Może na początek przeprosić.

Jeff aż upuścił widelec.

– Przeprosić, że nie pozwoliłem, żeby ten spasiony potwór znęcał się nad małym, przerażonym dzieckiem? Mówisz o upokorzeniu, więc szkoda, że nie słyszałeś jak Mac mówił do Teddy'ego, jak go krytykował i ośmieszał przed wszystkimi.

– Nie twierdzę, że Mac nie zasłużył na to, co dostał. Ale pytałeś mnie, co mógłbyś zrobić, żeby go ułagodzić.

– Maka się nie da ułagodzić. To agresywny, zły człowiek. Szczerze mówiąc, człowiek o takim charakterze w ogóle nie powinien niczym i nikim zarządzać.

– Mac ma też dobre cechy, choć może ty ich jeszcze nie zauważyłeś. – Slim uznał, że powinien

bronić swego podwładnego. – Bardzo ciężko pracuje.

– I wszyscy inni też, ale żaden z nich nie pomyślał młodszy i mniej doświadczony.

Jeff odgryzł kęs parówki, ale nawet nie poczuł jej smaku. Przez kilka minut jadł w milczeniu, Slim popijał kawę. Stracił apetyt razem z dobrym humorem. W końcu otarł usta i rzucił serwetkę na stół.

– No dobrze, to co jeszcze chcesz, żebym zrobił?

– Nie zamierzam ci mówić, co masz robić. To zależy od ciebie. Ostrzegam cię tylko, że zasada się na ciebie taki człowiek i radzę, byś miał się na baczności.

Jeff próbował sobie wyobrazić, co też w tej sytuacji poradziłby mu East.

– Dobra, pójdę go przeprosić – rzekł i odsunął krzesło. – Ale nadal uważam, że na żadne przeprosiny nie zasługuje.

– Myślałem, że już wiesz, że w życiu często musimy robić coś wbrew sobie.

– Jeśli chcesz mi powiedzieć, że lepiej się po tym poczuje, to nie mów.

Jeff chwycił kapelusz i wymaszerował z jadalni. Nie zatrzymał się nawet, żeby podziękować Elsie za pyszne śniadanie.

Zastał Maka w głębi obory, gdzie właśnie kończył kastrować dwuletnie byczki. Zwierzęta wyły jak oszalałe, ale on spokojnie płukał w blaszanym zlewie ogromny, zakrwawiony nóż.

Nie był to może najlepszy moment, żeby się do

niego zbliżyć, ale Jeff bardzo już chciał to mieć za sobą.

– Mac – zaczął, stając niedaleko od tego potężnego, groźnie wyglądającego mężczyzny.

Mac odwrócił się wolno, jego wzrok był twardy i zły jak zawsze. Nie zakręcając wody wyprostował się do swej pełnej wysokości i popatrzył na Jeffa bez słowa.

Jeff przestąpił z nogi na nogę i zdjął kapelusz.

– Posłuchaj, ja w sprawie tego, co stało się w zeszłym tygodniu. Przepraszam, że mnie tak poniosło – dodał i wyciągnął rękę. – Bez urazy, co?

Mac zmrużył oczy i palcem przesunął po ostrzu noża.

– Bez urazy? – warknął. – A nie! Mam do ciebie urazę. Wtrąciłeś się w nie swoją sprawę, chłopcze.

Znów ktoś nazwał go chłopcem. Miał już tego dość, postanowił jednak zignorować teraz tę obelgę i spróbował jeszcze raz.

– Posłuchaj, nie chcę między nami kwasów. Przeprosiłem cię i mam nadzieję, że między nami kwita.

– Tak myślisz? – Mac zrobił krok w jego stronę. – No to posłuchaj. Nie lubię cię i nigdy nie będziemy przyjaciółmi. Rozumiesz, chłopcze?

Jeff miał dość.

– No to informuję cię, że wcale nie zamierzałem się z tobą zaprzyjaźniać. I nie jestem dla ciebie chłopcem, zrozumiałeś?

Mac z furią zrobił kolejny krok.

– O, tu jesteś – tuż za nim rozległ się cichy głos.

W otwartych drzwiach stała Tish. – Wszędzie cię szukam, Mac. Chciałam cię prosić o pomoc – dodała, zupełnie ignorując Jeffa.

– Czego chcesz? – odezwał się w końcu zaskoczony Mac.

– Wiesz, to cielę w drugiej oborze, w ostatnim boksie. Takie w łaty, małe jak na swój wiek. Próbuję je karmić butelką, ale za nic nie chce pić.

Mac nie był z kamienia. I jego rozbroiła ta drobna, uśmiechnięta kobieta.

– Poszukaj kogoś innego. Ja jestem zajęty – dodał, spoglądając spod oka na Jeffa.

– Lefty twierdzi, że to ty jesteś ekspertem, że każde cielę potrafisz zmusić do jedzenia. Podobno niejedno przeżyło tylko dzięki tobie. – Tish znów się uśmiechnęła. – Mógłbyś mi pokazać jak się to robi? Będę naprawdę wdzięczna.

Rozdarty między żądzą zemsty a pochlebstwem, Mac wybrał jednak Tish. Wrzucił nóż do zlewu i zakręcił wodę.

– Dobra, prowadź – rzekł z uśmiechem.

– Dziękuję ci.

Ruszyła do wyjścia i dopiero, kiedy upewniła się, że Mac idzie za nią, rzuciła przez ramię do Jeffa.

– Jeff, ty też mógłbyś pójść. Nauczyłbyś się czegoś.

I zniknęła za drzwiami, a obaj mężczyźni posłusznie podążyli za nią.

Jeff uśmiechnął się do siebie. Już się czegoś

nauczył. Pochlebstwo jest skuteczniejsze, niż groźba. On co prawda nie miał ani ochoty ani cierpliwości na takie gierki z Makiem, ale musiał przyznać, że to działa.

Chwilę później Jeff przytrzymał buntującą się cielę, a Mac, na klęczkach, trzymał butelkę i tłumaczył całą procedurę wpatrującej się w niego z podziwem Tish. Kiedy butelka była pusta, a cielę najedzone, podziękowała mu wylewnie.

Jeff gotów był przysiąc, że mężczyzna zarumienił się i zapewnił ją, że to drobiazg.

Dopiero kiedy Mac opuścił oborę Tish spojrzała na Jeffa z figlarnym uśmiechem.

– Zawsze uważałam, że damskie sposoby są najlepsze – zauważyła i przytuliła się do niego.

– Założę się, że to ten plotkarz Slim ci powiedział, gdzie jestem i dlaczego.

– Możliwe.

– Na jakiej podstawie sądzisz, że mimo to nie będzie próbował się na mnie zemścić? Odrzucił przecież moje przeprosiny.

– Masz na myśli twoje szczere, z głębi serca płynące przeprosiny?

– Podśluchiwałaś?

– Słyszałam każde słowo. Nigdy się nie poddajesz, co?

– On też nie. To potwór.

– Nie wyglądał na potwora, kiedy tak klęczał przed tym cielakiem.

– Tylko kobieta mogła go do czegoś takiego zmusić.

– Chyba masz rację.

Jeff rozejrzał się dokoła i stwierdził, że w oborze oprócz nich i cieląt nie ma nikogo. Wziął ją za rękę i poprowadził ku wiodącej na stryszek drabinie.

– Widziałaś kiedyś, jakie stamtąd są widoki? Widać na całe kilometry.

– Naprawdę? No to muszę zobaczyć.

Po chwili, ciasno objęci, stali przed dużym oknem wychodzącym na ranczo, jego zabudowania, łąki i pastwiska, a nawet na otaczające je monumentalne góry.

Szybko jednak wpadł mu do głowy lepszy pomysł. Obrócił ją ku sobie i spojrzał w jej głębokie, brązowe oczy.

– Kochałaś się kiedyś na sianie? – spytał, czując, że na samą myśl krew zaczyna mu szybciej krążyć.

Tish zmarszczyła brwi.

– Niech się zastanowię...Raz, kiedy miałam...nie, to było nad strumieniem. Może tamtej nocy...nie, też nie, to było w namiocie podczas burzy. Na sianie? Nie, chyba nigdy. Co konkretnie ma pan na myśli, doktorze?

– Właśnie to – rzekł i pocałował ją.

Jak to możliwe, by stale był jej głodny? Za każdym razem odkrywał ją na nowo, zachwycał jej jedwabistą skórą, tonął w jej pieśczołach. Ich ciała stały się jednym, serca biły zgodnym, choć przyspieszonym rytmem. Byli tak skupieni na sobie, że nawet nie

słyszeli pomekiwania cieląt ani trzaskania drzwi na dole. Byli tylko oni, a świat dla nich nie istniał.

A on był już pewien, że nie wyobraża sobie życia bez niej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Teraz też, patrząc na nią leżącą nieruchomo na szpitalnym łóżku, wiedział, że to niemożliwe.

Wspominając ich dni i noce wspólnie spędzone na ranchu Red Rock w ubiegłym roku, miał wrażenie, że było w nich coś surrealistycznego. Owszem, wszystko niewątpliwie się zdarzyło, jednak w wielu aspektach było to jakieś nierealne, niemal jak marzenie.

Chyba właśnie dlatego musiało się skończyć, wcześniej czy później.

Przyglądając się ślicznej, spokojnej twarzy Tish, tak pogodnej w jej głębokim śnie, zastanawiał się, czy te czasy jeszcze kiedykolwiek wrócą. Czy będą...

Nagle miganie jednej z podłączonych do Tish maszyn wyrwało go z tych rozmyślań. Zerwał się z bijącym sercem i szybko stwierdził, że alarmuje tak maszyna monitorująca jej oddech.

Wybiegł z separatki tak gwałtownie, że w progu omal nie zderzył się z równie zaniepokojoną Doris.

– Coś się dzieje! – krzyknął.

– Tak, wiem. – Pielęgniarka szybko podeszła do pacjentki, uważnie przyjrzała się najpierw aparaturze, potem Tish. Zauważyła, że oddycha z trudem, urywanie i nieregularnie.

– Mam wezwać doktora O’Neilla? – spytał Jeff.

– Zawołam lekarza dyżurnego. – W progu separatki stanęła inna pielęgniarka i szybko oceniła sytuację.

– Tak, proszę. – Doris stetoskopem osłuchiwała klatkę piersiową Tish, obserwując jej pokrytą teraz potem twarz.

– Mogę w czymś pomóc? – Jeff nie mógł już znieść swej bezradności.

– Czy byłby pan tak łaskaw i wyszedł, doktorze? My już tu sobie poradzimy.

W tej samej chwili do separatki wpadł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w białym kitlu. Doris natychmiast ustąpiła mu miejsca.

– To mąż pacjentki, doktorze Monroe, doktor Kirby.

Monroe miał na oko pięćdziesiąt kilka lat, był trochę tęgawy i nosił wyraźnie kosztowny tupecik. Nie zwracając uwagi na Jeffa od razu podszedł do Tish.

– Tak, proszę zaczekać na zewnątrz – rzucił i ze stetoskopem nachylił się nad Tish.

Jeff nie chciał wychodzić. Przecież nie był laikiem, był lekarzem i...

– Proszę pana – Doris położyła mu rękę na ramie-

niu. – Poczekalnia jest tuż obok. Przyjdę po pana, jak tylko minie kryzys.

Jeff uważał, że przede wszystkim powinien być przy Tish, z drugiej strony, szczególnie jako lekarz, wiedział z doświadczenia, jak bardzo w takich sytuacjach obecność rodziny przeszkadza personelowi. Po chwili wahania opuścił separatkę.

W poczekalni były jeszcze jakieś dwie osoby, ale nawet nie zwrócił na nie uwagi. Ze zmarszczonym czołem spacerował w tę i z powrotem po niewielkim pomieszczeniu. Czy to co się dzieje ma jakiś związek z przebytą przez Tish operacją? Czy to jej serce nie wytrzymuje stresu? A może przemieścił się jakiś zabłąkany odłamek bomby? Albo płuca odmawiają posłuszeństwa? Albo spadek ciśnienia spowodowany...no właśnie, czym? Nie powiedział jej przecież niczego, co mogłoby ją zdenerwować.

Telewizor wył na cały regulator. Czemu ludzie muszą cały czas mieć jakąś rozrywkę? Przecież to szpital, na miłość boską!

Owszem, miał prawo być zdenerwowany, ale co winni temu ci młodzi ludzie, którzy zaśmiewają się z czegoś siedząc na kanapie przed telewizorem.

No tak, ale jak to możliwe, że życie toczy się dalej, gdy życie Tish jest w niebezpieczeństwie?

Później nie potrafiłby nawet powiedzieć jak długo miotał się po tej poczekalni, jak przysłowiowy lew w klatce. Zapewne nie trwało to dłużej, niż pół godziny, dla niego jednak całe wieki. Kiedy w końcu

pozwolono mu wrócić, był u szczytu wytrzymałości, starał się jednak nie dać tego po sobie poznać.

Doktor Monroe siedział przy biurku i zapisywał coś w karcie Tish.

– Informowano pana wcześniej, że pańska żona oprócz innych obrażeń miała problem z płucami, tak?

– Tak, chyba tak. Czy to właśnie spowodowało kłopoty z oddychaniem?

– Tak. Usunęliśmy cewnik i na razie założyliśmy jej maskę. Będzie stale monitorowana i przypuszczam, że za jakieś dwie godziny będzie można ją zdjąć. Po prostu chcę się upewnić, że jest odpowiednio dotleniona. – Morgan zdjął okulary i schował je do kieszeni koszuli. – Poza tym wszystko jest w porządku, doktorze.

W porządku? Nic nie jest w porządku. Jak można mówić, że z Tish wszystko jest porządku?

– Czy znalazł pan może jakieś oznaki, że niedługo się wybudzi?

– Niestety nie. – Lekarz zdobył się na słaby uśmiech. – Wie pan sam, że to bardzo trudno stwierdzić. Nie ma żadnych symptomów zwiastujących zbliżającą się zmianę. Może się obudzić za godzinę albo za tydzień. Albo dopiero na Boże Narodzenie. W tej sytuacji trudno nam to określić.

Sam nie wiedział czemu, ale nie podobał mu się ten lekarz. Jeff zdawał sobie sprawę, że nie ma jednak prawa wyładowywać na nim swojej frustracji.

– Dziękuję, doktorze – rzekł i wrócił do separatki

Tish.

Wyglądała zupełnie tak samo jak wcześniej, tyle tylko, że na twarzy miała teraz maskę tlenową. Była może trochę bardziej zarumieniona, prawdopodobnie w wyniku trudności z oddychaniem. Jej klatka piersiowa znów poruszała się miarowo.

Jeff ujął ją za rękę.

– Ależ nam napędziłaś strachu, dziecinko. Ale mówią, że teraz już wszystko dobrze.

– Naprawdę – odezwała się za jego plecami Doris. Nawet nie zauważył, kiedy weszła. – Wiem, że się pan zdenerwował, ale takie rzeczy się przecież zdarzają.

– Nie uważa pani, że powinniśmy poinformować doktora O’Neilla?

To on był przecież lekarzem prowadzącym.

– Zostawiłam notkę w jego skrzynce, choć teraz niebezpieczeństwo już minęło. Na pewno później do niej zajrzy. Doktor Monroe to znakomity lekarz – dodała po chwili. Najwyraźniej wyczuła zdenerwowanie Jeffa i chciała go uspokoić.

– Nie wątpię.

– Gdy pan czegoś potrzebował, proszę dać mi znać. – Równie bezszelestnie jak weszła, Doris opuściła separatkę.

Jeff ciężko opadł na krzesło.

– Nie rób tego, słonko. Nie zniosę więcej takiego strachu.

Kiedy usłyszał własne słowa zrobiło mu się głupio.

Jak można tak mówić do kogoś pogrążonego w śpiączce? Chyba stracił rozum.

O Boże, kiedy to się wreszcie skończy?

Jeff westchnął głęboko i zamknął oczy. Czuł się równie podle, jak w dniu, kiedy się jej oświadczył. To absurdalne, żeby oświadczyzny spowodowały taką tragedię.

Pamiętał tamten dzień, jakby to było wczoraj. Był wieczór, dwa dni przed ich planowanym wyjazdem z rancza Red Rock. Jeff miał wracać do swego mieszkania w Los Angeles i obowiązków szpitalnych, ona w swoim domu czekać miała na kolejne zlecenie SPEAR.

Jeff miał jednak inne plany i właśnie tego wieczoru, na kocu w ich ulubionym miejscu, zamierzał się z nią nimi podzielić. Przed oczami miał teraz dokładnie tamtą scenę...

Było później, niż zwykle, już po ósmej, tylko świecący na bezchmurnym niebie księżyc rozświetlał niebo. Idealna noc na miłość.

Jeff rozłożył koc i czekał.

Tish spóźniała się. Dawiała właśnie ostatnią lekcję konnej jazdy Luke'owi, kilkunastoletniemu chłopcu, który wraz z rodziną spędzał w Red Rock wakacje. Jeff szybciej uporał się ze swą robotą i pojechał pierwszy.

Teraz, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo, ćwiczył w głowie to, co zamierzał jej powiedzieć. Miał je już wykute na blachę, kiedy usłyszał stukot kopyt

Belladonny.

– Jesteś głodna? – spytał, kiedy już siedzieli razem na kocu. – Już późno, więc prosiłem Elbę o coś lekkiego. Tylko ser, krakersy, owoce i...i to. – Teatralnym gestem wyjął z koszyka butelkę szampana. I dwa kieliszki.

– Jakieś święto? – spytała podejrzliwie.

– To zależy od ciebie.

Kiedy Jeff zajął się odkorkowywaniem szampana, Tish milczała. Czy domyśla się przyczyny jego uroczystego tonu, czy też po ich wczorajszej rozmowie w ogóle nie dopuszcza do siebie myśli o wspólnej z nim przyszłości? Przyznała, że go kocha, ale nic więcej.

Jeff w otworzył butelkę i napełnił kieliszki.

– Nasze zdrowie – rzekł.

– Nasze – powtórzyła, choć ostrożnie i z wahaniem.

Przez chwilę sączyli napój w milczeniu. W końcu Jeff postanowił przejść do rzeczy. Ujął jej wolną dłoń i spojrzał jej w oczy.

– Wiesz, że cię kocham, Tish.

Jakby z obawą przed tym, co za chwilę nastąpi, Tish wyswobodziła rękę.

– Jeff, znamy się od niecałych dwóch tygodni.

– Czas jest tu nieistotny. Niektóre pary znają się całe lata i dopiero wtedy stwierdzają, że się kochają. Innym zabiera to miesiąc, może nawet tydzień. Czasami tylko chwilę. Tak było ze mną. – znów ujął jej dłoń.

– Zakochałem się w tobie w chwili, kiedy zobaczyłem cię na Belladonne.

Czekał na jej reakcję, ale ona tylko, jakby zafascynowana, wpatrywała się w ich splecione ręce. Ćwicząc swą przemowę, nie uwzględnił jej milczenia.

– Powiedz coś. Cokolwiek.

– A co byś chciał usłyszeć?

– Najbardziej? Że ty też mnie kochasz.

– Już ci to mówiłam, ale...

– I że chcesz za mnie wyjść.

Dopiero wtedy na niego spojrzała, szczerze zaskoczona.

– Prosisz mnie o rękę?

– Tak. Nie mów, że to dla ciebie szok. Od tamtego pierwszego wieczora cały czas jesteśmy razem. Kilka razy się kochaliśmy. Po twojej reakcji sądziłem, że też czujesz to, co ja. – Milczała, musiał więc mówić dalej.

– Chyba nie przypuszczałaś, że to tylko romans. Chyba nie wzięłaś mnie za lekkoducha, kogoś, kto kocha się z kobietą, a potem daje buzi na do widzenia i znika?

Tish odwróciła wzrok.

– Nie. I ja też nie bawię się w romanse.

– No to w czym problem?

– Zależy mi na tobie, Jeff. Naprawdę. Ale małżeństwo? To nie tylko kwestia wieku, choć dla mnie to dużo poważniejsza przeszkoda, niż dla ciebie. Chodzi o to, że jesteśmy w tak różnych miejscach z naszym życiem i karierą. Ty dopiero zaczynasz, masz jeszcze

dwa lata stażu, potem zaczniesz pełnoetatową pracę w SPEAR. Ja jestem w punkcie szczytowym, dostaję bardzo poważne zlecenia. I lubię swoją pracę, jestem w niej dobra i dumna z tego, co robię.

– Nigdy mi nie wpadło do głowy, żeby prosić cię, żebyś zrezygnowała ze SPEAR.

Teraz patrzyła mu prosto w oczy, jakby spojrzeniem chciała przekonać go o swojej racji.

– Przecież prawie nie moglibyśmy być razem. Ty masz przed sobą jeszcze kilka lat w Los Angeles, ja głównie podróżuję.

– Ludzie, których coś łączy, znajdują czas, żeby być ze sobą. Dobrze, często będziemy osobno, ale tym droższe będą dla nas chwile spędzone razem.

Tish nie wyglądała na przekonaną.

– Jest jeszcze jeden problem, Jeff. Wiem z doświadczenia, jak niebezpieczny jest los agenta, a ty, jako ratownik medyczny, też często będziesz w kłopotach, w strzelaninie, ryzykując życiem w obronie innych. A jeśli...jeśli będziemy mieli dzieci? A ja chcę mieć dzieci. Oczywiście wtedy będę musiała odejść ze SPEAR. Ale czy mogłabym siedzieć w domu z dziećmi, wiedząc, że ich ojciec może nie dożyć ich matury?

– Posłuchaj, Tish, nie wybiegajmy tak daleko w przyszłość. East i Ally są małżeństwem i...

– Ona nie jest już czynną agentką, a on prowadzi Condor, co jest, sam przyznasz, raczej bezpiecznym zajęciem.

No, tak, trafiła w sedno.

– Dobra, zły przykład. Ale przecież wielu ludzi ma niebezpieczną pracę. Strażacy, policjanci, żołnierze. A i cywil może w drodze do domu wpaść pod autobus. Nikt z nas nie ma gwarancji długiego, idealnego życia, Tish.

– Może i nie, ale to nie znaczy, że mamy to losowi ułatwiać.

Wbrew swym intencjom, Jeff zaczął tracić cierpliwość.

– A więc nigdy nie wyjdiesz za mąż i nie będziesz miała dzieci, choć, jak twierdzisz, bardzo chcesz je mieć, tylko dlatego, że ich ojciec ma niebezpieczny zawód? Czekasz na jakiegoś miłego, bezpiecznego i nudnego faceta, który na pewno dożyje do matury twoich dzieci? Mimo, że mnie kochasz? – Chwyił ją za ramiona, chyba niezbyt delikatnie. – Przyznaj się. Zależy ci na mnie. Kochasz mnie. Prawda?

W oczach Tish pojawiły się łzy.

– Tak, kocham cię. Ale...

– Jeśli się naprawdę kogoś kocha, nie ma żadnych ale. Próbuje się rozwiązać problemy i podejmuje się ryzyko, ale jest się z tą osobą. A może ty po prostu się tego boisz?

Tish odsunęła się od niego i wstała.

– Tak – powiedziała cicho. – Boję się.

Szybko, jakby bojąc się, że zmieni zdanie, podbiegła do Belladonny, odwiązała ją i wskoczyła na siodło.

I po chwili już jej nie było. Jeff został tam, gdzie był. Na kocu.

Chciał cofnąć swe słowa, znaleźć jakieś inne, spróbować jeszcze raz.

W końcu i on wstał, zebrał resztki po pikniku i podszedł do Domina. Wskakując na konia postanowił, że dziś wieczór da już Tish spokój. Nie będzie próbował się z nią zobaczyć i rozmawiać. Niech się z tym prześpi i może jutro będzie w lepszym nastroju.

Uznał, że to na razie najlepsze rozwiązanie.

Tyle tylko, że rano, kiedy zszedł na śniadanie, dowiedział się, że o szóstej Tish opuściła ranczo Red Rock.

Jej wyjazd dotknął go do żywego. Próbował nie dać tego po sobie poznać, kiedy Slim przekazał mu tę wiadomość, ale był pewien, że ten zauważył jego minę i wie, jak bardzo jest rozczarowany.

Kładąc mu na ramieniu swą wielką, silną rękę, powiedział mu to bez słów.

– Powiedziała, dlaczego wyjeżdża tak wcześnie?
– spytał.

Slim pokręcił głową.

– Mnie ani słowa. Kiedy zszedłem na śniadanie zatrzymała mnie Naomi Star. Powiedziała, że Tish zjawiała się w recepcji ze swymi torbami, wymeldowała się i wskoczyła do taksówki, którą najwyraźniej wcześniej wezwała.

Jeff wepchnął zwinięte w pięści ręce do kieszeni.

– Pewnie nie zostawiła u niej dla mnie żadnej

wiadomości.

Było to bardziej stwierdzenie faktu, niż pytanie.

– Niestety nie. Kiedy Naomi spytała ją, kiedy wróci, Tish tylko potrząsnęła głową i wybiegła. – Slim przez chwilę przyglądał mu się uważnie. Zastanawiał się, jak wiele mu powiedzieć. – Pokłóciliście się? Naomi mówi, że Tish wyglądała, jakby płakała.

Cholera! Jeff zazgrzytał zębami. Był urażony i zły.

– Pokłóciliśmy się? Niezupełnie. Poprosiłem ją, żeby za mnie wyszła.

Slim spojrział na niego ze współczuciem.

– Rozumiem, że dała ci kosza.

Jeff zaśmiał się gorzko.

– Przyznała, że mnie kocha, a potem zostawiła na lodzie.

– Ech, te kobiety! Nigdy ich nie zrozumieję.

– Właśnie – westchnął Jeff.

– Może gdybyś za nią pojechał, spróbował porozmawiać...

– Nie! Nie będę się za nią czołgał i błagał, żeby dała mi jeszcze jedną szansę. Skoro mnie nie chce, niech będzie. Jeśli zmieni zdanie, to ona będzie musiała przyjść do mnie.

Co powiedziawszy Jeff obrócił się na pięcie i dumnie wyprostowany wymaszerował z jadalni.

Jeff wyciągnął nogi, wyłączył wspomnienia i spojrział na leżącą na szpitalnym łóżku śpiącą żonę.

– Ależ się wtedy czułem, Tish. Oczywiście nie tak

strasznie, jak teraz. Teraz jest inaczej. Teraz się martwię i trochę, może nawet więcej niż trochę, boję. Ale wtedy byłem zły i bardzo zraniony.

– Nawet nie wiesz, jak bolesna może być taka odmowa, takie odrzucenie. Powiedziałem ci, że cię kocham i ty powiedziałaś, że też mnie kochasz. Potem odjechałaś i zostawiłaś mnie samego. Wiem, że masz uprzedzenia co do miłości i małżeństwa, co do mężczyzn, którzy zapewniają cię o swej miłości, jak twój ojciec i Eric, facet, który myślałaś, że cię kocha. I wiem, że dwa tygodnie to niewiele, ale nasze uczucia były szczere i prawdziwe.

Jeff przypomniał sobie tamtą frustrację i palcami przeczesał włosy.

– Może nie uwierzyłaś, że naprawdę mi na tobie zależy. Może bałaś się zaufać własnym uczuciom. Albo po prostu bałaś się małżeństwa i zobowiązań. Tak bywa, tylko to najczęściej mężczyźni się boją.

Jeff pochylił się i znów wziął ją za rękę.

– Choć byłem zły, nie mogłem o tobie zapomnieć. Próbowałem, Bóg mi świadkiem. Wyjechałem z Red Rock tego samego dnia co ty, po południu, prosto do Los Angeles. Cały dzień wcześniej, niż planowałem i ludzie nie mogli uwierzyć, że ktoś może sam sobie skrócić wakacje.

– Przez kilka tygodni nie miałem od ciebie żadnych wiadomości i prawie udało mi się uwierzyć, że to już koniec. Nie znosiłem kłaść się spać, bo śniłem tylko o tobie, więc pracowałem na podwójne zmiany.

Musiałem być tak zmęczony, żeby potem zasnąć jak kłoda i w ogóle nie śnić. Niezbyt mi się to udawało. To dlatego tak mnie zaskoczyłaś, kiedy nagle, któregoś dnia zeszłej jesieni pojawiłaś się w moim mieszkaniu w Los Angeles...

Los Angeles, początek października

Wchodząc na drugie piętro do swego mieszkania, Jeff miał wrażenie, że jego nogi są z ołowiu. Był wykończony. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł coś porządnego. Nie drożdżówkę i kawę w locie w szpitalu, lecz na przykład stek z jarzynami przy prawdziwym stole. Choć był głodny, nie miał siły, by coś sobie ugotować. Może później, kiedy się trochę prześpi. W szpitalu miał się zjawić dopiero za błogosławionych dwanaście godzin.

Dotarł wreszcie na swoje piętro i, dochodząc do drzwi, już z kluczami w ręku, stanął jak wryty.

Na wyłożonej chodnikiem podłodze przed drzwiami jego mieszkania siedziała Tish. Miała na sobie oliwkowe spodnie, granatową koszulę i granatowe adidas.

Był tak wykończony, że uznał, że to mogą być halucynacje. Jak znalazła jego adres? Przez SPEAR, to oczywiste. Zrobiło mu się słabo. Ręką podtrzymał się o ścianę.

Ależ ona super wygląda. Włosy jej trochę urosły i sięgały teraz prawie do ramion. Kiedy w końcu wstała

i zrobiła krok w jego stronę, w jej oczach dostrzegł wahanie. Dopiero wtedy odzyskał głos.

– Tish.

Cała nagromadzona w nim złość, cały ból, który mu sprawiła pod tym spojrzeniem rozplynęły się jak we mgle.

– Super wyglądasz – dodał. I on zrobił krok w jej stronę.

Dopiero kiedy był już blisko zauważył cienie zmęczenia pod jej oczami i drżącą dolną wargę. Zaniepokoił się, ale nie wyciągnął do niej ramion.

– Co jest, Tish? Co się stało?

Unikała jego wzroku.

– Możemy wejść do środka? Chcia...chciałabym z tobą porozmawiać.

– Oczywiście, jasne.

Znalazł właściwy klucz, otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Idąc za nią ujrzał swe niewielkie mieszkanko jej oczami i aż się skrzywił. Było wynajęte, skromne i proste, zupełnie wystarczające na te kilka godzin, które w nim spędzał.

Meble były właściciela – długa, wygodna kanapa pamiętająca lepsze dni, fotel i krzesło od różnych kompletów, dwa drewniane stoliki i lampa. Podręczniki, które studiował poprzedniego wieczora leżały na podłodze, obok nich para starych mokasynów. Na krześle wisiała kurtka, na stoliku leżały dwie puste puszki po coli i nadgryziony batonik. Po lewej stronie był niewielki, lecz na jego potrzeby zupełnie

wystarczający aneks kuchenny, po prawej sypialnia i łazienka.

Jeff uznał, że powinien się usprawiedliwić.

– To oczywiście tymczasowe. Dopóki nie skończę stażu. – Zabrał walające się na podłodze gazety i położył je na fotelu. – Jestem tu tak mało, że...

– Jeff – przerwała mu – nie musisz się tłumaczyć.

Mieszkanie miało jedną dobrą stronę – olbrzymie okno, które, choć wychodziło na parking, dawało wewnątrz dużo światła i przestrzeni. Tish oczywiście podeszła do niego.

Jeff wkrótce dołączył do niej. Kiedy potarł ręką policzek stwierdził, że przydałby mu się prysznic i golenie.

– Masz ochotę na coś do picia? – Był początek października i już nie tak gorąco. – Może kawy?

Miał nadzieję, że kofeina jakoś go rozbudzi i pomoże poradzić sobie z tą niespodziewaną wizytą.

– Nie, dzięki. Nie rób sobie kłopotu. – Ani na moment nie oderwała wzroku od okna. – Zastanawiałam się gdzie mieszkasz, próbowałam sobie wyobrazić.

Dobry początek. Przynajmniej o nim myślała.

– No to teraz już wiesz. – Nabrał już odwagi i postanowił przejść do sedna. Zrobił krok w jej stronę. – Dlaczego przyjechałaś?

– Musiałam ci to powiedzieć. – Dopiero teraz na niego spojrzała. – Wzięłam urlop w SPEAR.

Zaskoczyła go. Którejś z tych bezsennych nocy

wmówił sobie, że nie może za niego wyjść, bo przecież jest już poślubiona SPEAR.

– Wiem, jak bardzo kochasz swoją pracę. Musisz mieć jakiś bardzo ważny powód.

Nie spuszczała z niego swych brązowych oczu, zauważył jednak lekkie drżenie mięśnia pod jednym z nich.

– Rzeczywiście mam ważny powód. Jestem w ciąży. Dwa i pół miesiąca.

Jeff nie mógł się powstrzymać. Przez chwilę po prostu na nią patrzył, potem uśmiechnął się szeroko.

– To cudownie.

Z radości wziął ją na ręce, obrócił, a potem chciał pocałować.

Z początku była sztywna i niechętna. Potem, kiedy już zaczynał żałować, że ją dotknął, po prostu go objęła i przytuliła się do niego. Mocno, bardzo mocno. I pozwoliła się pocałować.

A on nareszcie poczuł się jak w domu. Smakowała jeszcze lepiej, niż pamiętał, a pachniała czystością i świeżością.

Później odsunął ją od siebie, ale tylko trochę, na tyle, by widzieć jej oczy, teraz trochę zamglone. Miał nadzieję zobaczyć w nich radość czy zadowolenie, a ujrzał smutek. Czy nie mówiła mu kiedyś, że chce mieć dzieci? Przecież chyba nie zmieniła zdania. Wolałby, oczywiście, żeby wróciła do niego, bo nie może bez niego żyć, a nie dlatego, że niespodziewanie znalazła się ciąży i potrzebuje ojca dla swego dziecka.

Po tych wszystkich tygodniach rozłąki nie zamierzał teraz robić z tego problemu.

– Nie cieszysz się, Tish?

Tish odetchnęła głęboko, podeszła do kanapy i usiadła.

– Tak, cieszę się, choć szczerze mówiąc wołałabym z tym poczekać jeszcze kilka lat. Zawsze chciałam mieć dziecko, dać mu tę całą macierzyńską miłość, której sama nie zaznałam. – Zaczekała, aż usiądzie obok niej i mówiła dalej. – Wiedziałam, że będę musiała tę decyzję podjąć już wkrótce, zanim będę w wieku, kiedy na pierwszą ciążę będzie za późno. Zdawałam sobie też sprawę, że wtedy będę musiała zrezygnować z pracy, a na to nie byłam jeszcze gotowa. – Po raz pierwszy na niego spojrzała i uśmiechnęła się. – A teraz wszystkie plany wzięły w łeb. Ktoś inny podjął za mnie decyzję.

– Cieszę się, Tish. Naprawdę się cieszę. – Jeff objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Chwileczkę, Jeff. Chcę, żebyś wiedział, że nie przyjechałam tu dlatego, że czegoś od ciebie chcę. Nie dlatego mówię ci o dziecku, bo chcę cię zmusić do ślubu. Po prostu uznałam, że masz prawo wiedzieć.

– Zmusić do ślubu? Żartujesz? Oświadczyłem ci się już wtedy w Arizonie, a ty ode mnie uciekłaś.

– Wiem. Nie chciałam cię zranić, po prostu potrzebowałam czasu. Wszystko stało się tak szybko. A potem, kiedy dowiedziałam się o dziecku, musiałam wszystko rozważyć. Uświadomiłam sobie, że

moje życie czynnej agentki jest już skończone. – Tish spojrzała mu głęboko w oczy. – Chcę tego dziecka, Jeff. Twojego dziecka.

– A jego ojca? Jego też chcesz?

– Tak, bardzo. Kocham cię, Jeff. Przepraszam cię, że przeze mnie cierpiałeś, ale to była ważna życiowa decyzja. Zresztą nie byłam pewna, czy i ty chciałbyś już teraz mieć dziecko, no, wiesz, twój staż i...

A więc powiedziała te dwa słowa na które tak czekał. To najważniejsze.

– Oczywiście, że chcę tego dziecka. Przeżyłem w swoim życiu tyle – rodziców alkoholików, ulicę, zakopanie żywcem – że wierzę, że poradzimy sobie ze wszystkim, co stanie nam na drodze. Razem. I nie wyobrażam sobie niczego piękniejszego, niż powroty do domu do ciebie i naszego dziecka.

– A pieniądze? Ja nie będę przecież zarabiać, i nie wiem ile zarabiają stażyści, ale słyszałam, że niewiele. Mam trochę oszczędności, ale tylko trochę, a do ojca nie pójdę.

Jeff uśmiechnął się i pocałował ją w czubek głowy.

– Nie martw się. Dziesięć lat temu, kiedy mnie adoptował, East założył mi fundusz powierniczy. W razie czego mogę go trochę uszczuplić. Będzie zachwycony naszym ślubem, bo to jedyna osoba, która wie, jak bardzo za tobą tęskniłem. I z dziecka też się ucieszy. Ally też jest w ciąży. – Jeff czuł się jak w najcudowniejszym śnie. Miał tylko nadzieję, że nigdy się z niego nie obudzi. – Nie mogę się doczekać,

kiedy mu powiem.

– Czy nie moglibyśmy na razie utrzymać naszego ślubu w tajemnicy? – Widząc niepokój w jego oczach dodała szybko – Niedługo, Jeff. Ja...my...jesteśmy tak bardzo różni. A jeśli nam się nie uda? O dziecku oczywiście powiemy, bo tego się nie da ukryć, ale o ślubie nie. Nie od razu. Pobierzmy się po cichu, proszę – spojrzała na niego błagalnie.

Jeff, wyraźnie rozczarowany, wypuścił ją z objęć.

– Myślałem, że każda kobieta marzy o wspianym ślubie, no wiesz, welon i te rzeczy.

– Możliwe, ale czasem marzenia trzeba dostosować do rzeczywistości.

– Myślisz, że nam się nie uda i chcesz zachować twarz, gdyby okazało się, że jest inaczej?

– Pamiętasz tę agentkę z Kalifornii, Brendę Wicks? Parę lat temu ona i Brian Temple mieli historię podobną do naszej. Pracowali razem w SPE-AR, zaszła w ciążę i pobrali się. Kościół, mnóstwo gości. No i co? Separacja dwa miesiące po narodzinach dziecka. Ależ się po tym wszystkim czuła upokorzona. Wyjechała na wschodnie wybrzeże i zniknęła nam z oczu. Nie wiem, co dzieje się z Brianem.

Ależ ta dziewczyna umie popsuć człowiekowi nawet najwspanialszą nowinę, pomyślał. Wiedział, że jest tylko jeden sposób, by ją przekonać. Udowodni jej, że choćby nie wiem ile podobnych historii słyszała, im się uda.

Położył ręce na jej ramionach i nachylił się ku niej.

– Zgadzam się, ale nie na długo. Kocham cię i chcę, żebyś była moją żoną. Chcę, żeby wiedział o tym cały świat. Uda nam się. Ma pani moje słowo, pani Kirby.

– Tak jest, panie Kirby – Tish zdobyła się nawet na uśmiech. – To znaczy doktorze.

– Dobrze. A teraz muszę się wykąpać i ogolić, zanim wezmę moją narzeczoną do łóżka, w którym już długo za długo o niej śniłem. Myślisz, że uda ci się wykombinować tymczasem coś do zjedzenia?

– Chyba tak.

– Super. Wracam za dziesięć minut.

– Dziesięć? Tak szybko? – uśmiechała się już jak dawna Tish.

– Za długo czekałem. Nie chcę tracić ani minuty. A wiesz, że nigdy nie byliśmy razem w prawdziwej pościeli? – mówił idąc tyłem w stronę łazienki. Zawsze jakiś namiot, siano albo koc pod gwiazdami.

– Dla mnie może być nawet goła ziemia, byle z tobą.

Czując się już dużo lepiej Tish ruszyła w stronę kuchni. Już prawie tam była, kiedy nagle uniosły ją jego ramiona i zaniósł w całkiem przeciwnym kierunku.

– Co ty wyrabiasz?

– Postanowiłem dać sobie spokój z jedzeniem.

– W łazience postawił ją na podłodze i przywarł do niej całym ciałem. – Umyjesz mi plecy?

– Mmmm i wszystkie inne ciekawe części.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Doktor Edmund O'Neill wyszedł z separatki Tish i zastał czekającego na niego przy biurku pielęgniarek Jeffa. Przed godziną stracił pacjentkę, sympatyczną panią w wieku jego matki, która nie obudziła się ze śpiączki insulinowej, nie był więc w najlepszym nastroju. Do niektórych pacjentów lekarze naprawdę się przywiązują.

Na przykład do Tish Buckner. Tak ślicznej i tak dalekiej w tym śnie. Edmund ze ściśniętym sercem spojrzął na jej męża, Jaffa, młodego lekarza stażystę. Wyglądał na zmęczonego, smutnego, czekającego choć na najmniejsze słowo nadziei, którego mógłby się ucześcić. Tak bardzo chciałby móc mu je dać.

Lekarz poprawił okulary na nosie, oddał pielęgniarce kartę Tish i podszedł do Jeffa.

– Wejdźmy tu na chwilę – rzekł i poprowadził zaniepokojonego mężczyznę do niewielkiej wnęki obok drzwi.

Uważnie przyjrzał się jego wygniecionemu ubraniu, nieogolonej twarzy, smutnym, zielonym oczom.

– Trzyma się jakoś, doktorze – zaczął. – Wiem, że czeka pan na jakąś dobrą wiadomość i proszę mi wierzyć, chętnie bym ją panu oznajmił. Ale jestem pewien, że jako lekarz zdaje pan sobie sprawę, jak ciężkie obrażenia odniosła pańska żona. Już sam wstrząs mózgu może wywołać śpiączkę, która trwa aż obrzęk ustąpi.

Jaff wsunął ręce głęboko do kieszeni i skinął głową.

– Tak, wiem. Proszę wybaczyć mi moją niecierpliwość. Tak bardzo chcę, żeby się obudziła. Czuję się taki bezradny.

– Moim zdaniem bardzo poważnie przyczynia się pan do jej zdrowienia. Jestem głęboko przekonany, że pacjenci w śpiączce z całych sił walczą o powrót do nas. Raz są w niej głębiej, raz bliżej powierzchni. I kiedy słyszą znajomy głos namawiający ich do powrotu, i wiedzą, że komuś na nich zależy i jest przy nich, bardzo im to pomaga. Nie raz widziałem, że zdarzają się prawdziwe cuda. Może się pan czuć bezradny, ale, choć na to nie wygląda, naprawdę pan jej pomaga.

– Mam nadzieję. Wie pan co? Dopiero teraz zrozumiałem, co czują rodziny moich pacjentów.

Edmund skinął głową.

– Ja też jakiś czas temu miałem podobne doświadczenie, kiedy mój ojciec leżał w szpitalu z nieuleczalnym rakiem. Siedziałem przy nim całymi dniami.

Czułem się bezradny i zły, że w żaden sposób nie mogę mu pomóc. Podejrzewam, że dzięki temu przeżyciu jestem teraz lepszym lekarzem. Z panem też tak będzie.

Jeff cały czas jednak myślał o Tish.

– A co z jej płucami? Pracują teraz samodzielnie?

– Tak. Usunąłem jej już maskę tlenową. Zleciłem także zmniejszenie dawki środków przeciwbólowych. Do tej pory uważałem, że ich potrzebuje. Ale to także przez nie była w tej śpiączce. Teraz będziemy obserwować, czy powoli do nas wróci.

– Ale czy to znaczy, że bez leków teraz będzie cierpieć?

– Może trochę. Na pewno nie tak jak przedtem. Ból, jak pan zapewne wie, bywa czasem konieczny i nawet przydatny. Mówi nam co powinniśmy leczyć. Nie wiedzielibyśmy tego, gdyby była w śpiączce.

– Nie chcę, że znów cierpiała.

– To nie będzie duży ból, raczej coś niemiłego, pewna niewygodność. A kiedy się obudzi i będzie mogła z nami rozmawiać, powie nam o swoim bólu i będziemy mogli dalej ją leczyć. Proszę się nie niepokoić. Nie pozwolimy, by cierpiała.

Jeff wiedział o tym i zdawał sobie sprawę, że robią wszystko, co w ich mocy. Po prostu nie mógł przestać się martwić. Lubił i szanował tego lekarza.

– Dziękuję, że odpowiedział pan na wszystkie moje pytania, doktorze – rzekł i wyciągnął do niego rękę.

– Nie ma za co. Gdyby coś się zmieniło, ściągną mnie pagerem. – O’Neill poklepał Jeffa po ramieniu. – Niech pan idzie odpocząć. Przyda się to panu, a żona panu nigdzie nie ucieknie.

Tak naprawdę niczego się nie dowiedział, mimo to poczuł się zdecydowanie lepiej. Podeszedł do stolika, przy którym Doris rozdzielała lekarstwa do małych, tekturowych pojemniczków.

– Idę się wykąpać. Zaraz wracam.

– Niech się pan nie spieszy, doktorze. Cały czas jestem przy niej.

– Wiem i dziękuję – Jeff zdobył się nawet na słaby uśmiech.

Zajrzał jeszcze do separatki Tih, którą opuścił na czas badania, poczym, ziewając, opuścił OIOM i wyszedł na korytarz. Dziwne, pomyślał. Jest zmęczony, ale nie może zasnąć. Czyżby bał się swoich snów?

W saloniku lekarskim wyjął z użyczonej mu przez O’Neilla szafki swą skórzaną torbę. Szukając w niej czystych rzeczy natknął się na swoją komórkę. Nie zabrał jej na oddział intensywnej opieki medycznej, bo komórki czasem zakłócają pracę działającego tam sprzętu. Zauważył, że ma trzy nowe wiadomości. Pierwsze dwie zignorował jako nieistotne, do trzeciej osoby musiał zadzwonić.

Usiadł na leżance leżance czerwonego skaju i wcisnął numer Easta. Odebrał po drugim dzwonku.

– Cześć, tato, to ja. Dzwoniłeś?

Stojący przy kuchennej ladzie w swym apartamencie

w ośrodku Kondor w Kalifornii East próbował wyczuć nastrój syna z jego głosu.

– Tak. Co nowego?

Jeff Jaff skrócie opisał mu aktualny stan Tish.

– Więc teraz czekamy, czy zmniejszona dawka środków przeciwbólowych pomoże jej się obudzić.

– Rozumiem – East przysiadł na stołku.

– Jak Ally i mała?

– Annie właściwie cały czas by jadła. Przy urodzeniu ważyła cztery kilo, możesz w to uwierzyć? Ally czuje się dobrze, karmi ją co dwie, trzy godziny. Martwię się, że przez to nie odpoczywa, ale twierdzi, że mleko matki jest najlepsze.

– Na pewno ma rację.

East wyczuł w jego głosie zmęczenie i strach przed utratą najdroższej mu istoty.

– Trzymasz się jakoś, synu?

– Staram się. Co innego mi pozostało?

East zawsze umiał czytać między wierszami.

– Pewnie wcale nie sypiasz? Mógłbyś wynająć jakiś pokój w hotelu i trochę się zdrzemnąć. Dadzą ci znać, gdyby coś się zmieniło.

Jeff odpowiedział mu dopiero po chwili.

– A ty byś się zdrzemnął, gdyby to Ally leżała w tym pokoju, podłączona do całej tej aparatury? Gdybyś nie wiedział, czy w ogóle się obudzi?

East spodziewał się takiej reakcji.

– Punkt dla ciebie. Posłuchaj, dzwoniłem, bo dziś wieczór wylatuję nocnym samolotem do Nowego

Jorku. Mówiłem ci już, że nasi ludzie chcą, żebym obejrzał miejsce tego wybuchu, choć wątpię, czy będę mógł im w czymś pomóc. Parę lat temu miałem do czynienia z czymś podobnym, więc pewnie mają nadzieję, że zauważę coś, co oni przeoczyli.

– Cieszę się, że przyjeżdżasz. Też chętnie zobaczyłbym to miejsce, ale teraz nie mogę się stąd ruszyć.

– Obejrzę je za ciebie. Prosto z lotniska przyjadę jednak najpierw do ciebie.

Chciał na własne oczy zobaczyć, jak Jeff naprawdę się miewa, namówić go na zjedzenie czegoś porządnego, może nawet na parę godzin zastąpić go przy łóżku Tish, żeby choć kilka godzin spokojnie się przespał.

– Okej. No to do jutra rana. Przepaszam, że nie wyjadę po ciebie na lotnisko.

– Daj spokój.

– Tato? Cieszę się, że przyjeżdżasz – rzekł i natychmiast się rozłączył.

Potem wsparł się łokciami o kolana i zwiesił głowę. Nikt by pewnie nie miał do niego pretensji, gdyby się załamał. Nawet bardzo silni mężczyźni czasem płaczą, kiedy komuś, kogo kochają grozi jakieś niebezpieczeństwo. Jeff zawsze uważał się za silnego, ale teraz nie był już pewien, jak długo uda mu się tak nadrabiać miną. Był pewien, że East od razu to wyczuje.

Wiedział, że powinien wstać, wziąć prysznic, ogolić się, włożyć czyste ubranie. I robi to, ale za chwilę.

Oparł się o oparcie, wyciągnął nogi i zamknął oczy.

Czekał, aż wróci mu energia.

Nie chciał myśleć o przyszłości. Wrócił więc wspomnieniami do szczęśliwszych czasów, do tego tygodnia, kiedy to razem z Tish pojechali do Las Vegas i wzięli ślub.

Las Vegas, początek października

Po urlopie, który niedawno wziął, żeby dojść do siebie po porwaniu niełatwo mu było załatwić sobie znów w szpitalu kilka dni wolnego. Dyrekcja szpitala była bardzo surowa i zasadnicza. Jeff jednak bał się stracić Tish i z powodu jej ciąży nie chciał opóźnić ślubu.

Prawdziwy dylemat.

East nauczył go, że szczerłość i uczciwość to najlepsza polityka, poszedł więc do dyrektora i z grubsza przedstawił sytuację, pomijając tylko niektóre osobiste szczegóły. Doktor Wilson był dobrym, porządnym człowiekiem, ale nie tolerował leserów. Wiedział jednak, że ostatnio Jeff urabiał sobie ręce po łokcie, brał zastępstwa i dodatkowe dyżury, pomagał kolegom. Dał mu wolne od ósmej rano we wtorek, zaraz po nocnej zmianie, do północy w środę, kiedy to miał zameldować się na kolejną ośmiogodzinną zmianę. Tylko na tyle mógł go zwolnić.

Tish uważała, że to paranoja, Jeff jednak był wdzięczny nawet i za to.

Żadne z ich nigdy nie było w Las Vegas. Nie mieli czasu, żeby pojechać samochodem, nie mówiąc więc nikomu polecieć samolotem. Zresztą po dziesięciu

godzinach pracy Jeff i tak nie dałby rady prowadzić.

Tak więc we wtorek w południe, każde z niewielką torbą w ręku, wysiedli z samolotu. Jak na październik było całkiem ciepło, dużo cieplej, niż w Los Angeles. Do hotelu pojechali taksówką, ciesząc się po drodze widokami, jak wszyscy turyści. Mijali przede wszystkim ogromne hotele, niektóre z kapiącymi złotem frontonami i migającymi neonami. Jakby całe miasto składało się wyłącznie z nich.

– W życiu czegoś takiego nie widziałam – powiedziała Tish, kiedy taksówka zatrzymała się przed hotelem Wenecjanin, zbudowanym oczywiście na wzór weneckiego pałacu.

– Popatrz tutaj – Jeff wskazał jej kanał otaczający budynek i płynącą po nim gondolę. Siedziała w niej zakochana młoda para, a gondolier śpiewał jej serenadę, z trudem przekrzykując odgłosy ulicy.

– Niesamowite.

Z wciąż szeroko otwartymi oczami przeszli bogatym lobby do recepcji. Dostali kartę do drzwi i, rezygnując z pomocy boja, sami ze swym niewielkim bagażem podeszli do wind. Po drodze minęli cały rząd automatów do gry.

– Nie przypuszczałam, że w środku dnia może być przy nich tyle ludzi – zauważyła Tish.

– No, przy każdej ktoś jest i popatrz tam, na stoły do oczka. Wszystkie miejsca zajęte.

Akurat w tej chwili jeden z graczy rozbił pulę, a co automat zareagował oślepiającym miganiem

i przeraźliwym dzwonieniem. Natychmiast zgromadził się przy nim spory tłumek, ciekaw wysokości wygranej, a jakiś mężczyzna w czarnym garniturze otworzył maszynę i wyłączył dzwonki.

Przybiegła też ładna, skąpo odziana kobieta z aparatem fotograficznym, kazała mężczyźnie stanąć obok automatu i zrobiła mu kilka zdjęć.

Jeff i Tish dołączyli oczywiście do tłumu gapiów.

Mężczyzna w czarnym garniturze poprosił oszołomionego zwycięzcę do kasy. Dopiero kiedy przy automacie zrobiło się luźniej Jeffowi udało się zobaczyć wysokość wygranej.

– Kurczę, zobacz. Wygrał ponad dziesięć tysięcy dolarów.

– Ciekawe ile wcześniej w tę maszynę władował – skomentowała Tish.

– Ależ ty jesteś cyniczna.

– Chyba masz rację. No, w każdym razie wzbudził sensację i tylko to się liczy.

U wlotu korytarza opatrzonego ogromną tabliczką z napisem Windy siedział za biurkiem potężny mężczyzna w hotelowym uniformie, uniformie plaketką z imieniem Max. Jeden z hotelowych detektywów.

– Czy mogę zobaczyć państwa klucz?

Jeff posłusznie spełnił jego prośbę. Wiedział, że to konieczne dla bezpieczeństwa gości, a więc teraz i jego z Tish.

– Dziękuję. Proszę wziąć którąś z wind po lewej. Jeff był pod wrażeniem.

– Miło wiedzieć, że mają tu dobrą ochronę. Nikt bez klucza nawet nie będzie próbował przejść obok Maxa.

Ich pokój znajdował się na czternastym piętrze. Oszło im ich podobnie jak lobby.

– Jezuuu – aż jęknęła Tish.

– W Wenecjaninie są same apartamenty – wyjaśnił jej Jeff i otworzył drzwi do łazienki. Była złoto-biała i chyba większa, niż całe jego mieszkanie.

Tish obejrzała ogromne, podwójne łóżce, potem zeszła dwa stopnie w dół do salonu z kanapą, dwoma krzesłami, wielkim telewizorem i oknami na całej ścianie. Odsunęła zasłony i firanki.

– Jeff, spójrz!

U ich stóp leżało Las Vegas w całej bogatej okazałości, a w oddali sięgające aż do bezchmurnego nieba strzeliste góry.

Jeff stanął za nią i objął jej nagie ramiona.

– Niezłe, co?

– Chyba łatwo mogłabym się do tego przyzwyczaić – szepnęła.

Jeff obrócił ją ku sobie i mocno pocałował.

– A do tego też?

Wciąż nie był zachwycony jej decyzją o utrzymaniu ich ślubu w sekrecie, miał jednak nadzieję, że z czasem zmieni zdanie.

– O, tak.

Od chwili, kiedy dwa dni temu w jego mieszkaniu postanowili się pobrać, Tish była bardzo czuła

i kochająca i dużo spokojniejsza. Jakby w momencie podjęcia decyzji odetchnęła z ulgą. Modlił się w duchu, by ten jej nastrój trwał. Tak bardzo chciał, żeby była szczęśliwa.

Jeff rozejrzał się dokoła i zauważył książkę telefoniczną, leżącą na dużym biurku obok telefonu i faksu. Czyżby ludzie przyjeżdżali tu pracować? Ciekawe.

– Poszukam adresu Kaplicy pod Dzwonnicą. Jeden ze znajomych lekarzy brał w niej ślub i twierdzi, że to bardzo ładne miejsce.

– Dobrze – zgodziła się Tish, wchodząc do łazienki.

Po kilku minutach miał już zdres i telefon kaplicy zapisane w notatniku, który znalazł na biurku. Z nadzieją, że znajdą jakiś wolny termin, zadzwonił do nich natychmiast. Niestety nie znaleźli dla nich czasu, ale polecili inną kaplicę w pobliżu, Kaplicę Marzeń. Zanim Tish wróciła z oględzin łazienki, zdążył się z nimi porozumieć i miał już umówioną godzinę.

– Czwarta po południu, Kaplica Marzeń. Co ty na to?

– Chyba może być. – Tish nagle spoważniała. Podeszła do niego i usiadła mu na kolanach. – Jesteś pewien, stuprocentowo pewien, że tego chcesz, Jeff? Poważnie wątpię, czy kochając się wtedy ze mną w Arizonie miałeś na myśli ojcostwo. Dam sobie sama radę, jeśli ty...

Przerwał jej pocałunkiem, a potem ujął w dłonie jej twarz.

– Ani ty ani ja nie robiliśmy tego sami, słonko. To my oboje się kochaliśmy i my oboje będziemy mieli dziecko. Nie zrobiłaś tego sama i byłbym wściekły, gdybyś mi o tym nie powiedziała. Chcę być ojcem tego dziecka nie dlatego, że tak wypada, ale dlatego, że już ją czy jego kocham. Jest częścią nas, cudem. Czasem uczestniczę w porodach i wierz mi, za każdym razem jestem zachwycony.

– Nie mówisz tego tylko dlatego, że myślisz, że to właśnie chciałabym usłyszeć?

– Oczywiście, że nie. Co mam powiedzieć, żeby cię przekonać?

W kącikach jej ust pojawił się psotny uśmiezek. Przez jego ramię spojrzała na czekające na nich łóżce.

– Nie mów nic, tylko mi pokaż.

Jaff roześmiał się, wziął ją w ramiona i po chwili byli już tam, gdzie patrzyła.

Kochali się ponad godzinę, a potem zamówili do pokoju ogromny lunch. Okazało się jednak, że wcale nie są głodni, poskubali tylko trochę i znów znaleźli się w łóżku.

Czas jednak płynął nieubłaganie, w końcu musieli więc wstać, wziąć prysznic i ubrać się. To był przecież dzień ich ślubu.

Za namową Tish Jeff włożył ciemnoszary garnitur, białą koszulę i wiśniowy krawat w paski. Ten w sumie bardzo poważny strój kupił mu sama poprzedniego dnia, kiedy był w szpitalu. Do kieszeni włożył

pudełeczko z platynową obrączką wysadzaną brylancikami, którą jakoś zdążył kupić jeszcze w Nowym Jorku.

Poprawiając przed lustrem węzeł krawata, usłyszał za sobą otwierające się drzwi do łazienki i odwrócił się.

Miała na sobie bladobrzoskwiniową, jedwabną sukienkę z tiulową narzutką i w tym samym kolorze pantofle. Jej ciemne włosy sięgały do brody, śliczne, brązowe oczy błyszczały. Istne ucieleśnienie marzeń każdego mężczyzny.

Podszedł do niej, ale bał się dotknąć, by nie zniszczyć tego idealnego obrazu. Ona jednak nie miała takich oporów. Zlustrowała go dokładnie, zdmuchnęła nawet wyimaginowany paproszek paproszek jego ramienia. Potem pogładziła go po twarzy.

– Idealnie – stwierdziła i lekko go pocałowała.

– Przy pani wysiadają wszystkie lampy. Jesteś cudowna.

– Yhm. Założę się, że mówisz to wszystkim kobietom, które poślubiasz.

– Nie, jesteś tylko ty. Zawsze tylko ty, Tish.

– Dla mnie też – odparła bardzo poważnie. – Od tamtej pierwszej chwili jesteś tylko ty.

– Przynieśli to, kiedy brałaś prysznic – rzekł i podał jej leżące na stole pudełko.

Tish rozpoznała logo hotelowej kwiaciarni. Szybko otworzyła pudełko i znalazła w nim cudowną, białą orchideę.

– Jest prześliczna, Jaff.

– Powinno się ją nosić na ręce, ale jeśli wolisz, możemy ją przypiąć do sukni.

– Nie, tak będzie dobrze. – Tish przełożyła rękę przez elastyczną opaskę. – Widzisz?

– Prawie tak śliczna, jak ty. – Jaff pocałował ją w czubek głowy. – Mam jeszcze coś.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pudełeczko.

– Tyle mi już dałeś – zaprotestowała, ale ciekawość zwyciężyła i otworzyła pudełko. Na czarnym aksamicie leżały dwa maleńkie, brylantowe kolczyki. – Jezu, jakie śliczne.

– Chciałem, żebyś miała coś wyjątkowego na pamiątkę tego dnia.

– Myślisz, że mogłabym go zapomnieć? Żałujesz, że nie ma z nami Easta i Ally? – spytała, widząc smutek, malujący się w jego oczach.

Owszem, żałował, ale uznał, że to małe kłamstewko będzie mu wybaczone.

– Potrzebuję tylko ciebie – rzekł i spojrzał na zegarek. – Musimy już iść.

Jeff, starym zwyczajem ze swych lat spędzonych na ulicy, zaoszczędził trochę pieniędzy i skorzystał z nich bez żalu, by ten ich nagły ślub był jak najbardziej uroczysty. Oczywiście z uwzględnieniem okoliczności. Zamówił białą limuzynę, która czekała już na nich na podjeździe przed hotelem. Kiedy wsiedli od razu otworzył szampana, którego także wcześniej zamówił i rozlał do dwóch kieliszków.

– Nasz zdrowie – rzekł z uśmiechem. – Wszystkich trojga.

Uśmiech Tish był lekko skrępowany, ale stuknęła się z nim i pociągnęła łyk.

– Lekarz pewnie zabroni ci wszelkiego alkoholu, ale łyk czy dwa nie zaszkodzą. Ale tylko tyle – stwierdził i odebrał jej kieliszek. Sam też odstawił swój i przytulił ją do siebie.

– Zdenerwowana? – spytał, kiedy zauważył, że drżą jej ręce.

– Trochę. A ty?

Jeff wyciągnął przed siebie rękę.

– Ani trochę. Zobacz.

– To dobrze. Jedno z nas powinno być przytomne.

– Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie liczyć – zapewnił ją poważnie. – Zawsze będę przy tobie i zawsze będę ci mówił prawdę.

Znał jej doświadczenia z ojcem i Erikiem i chciał, by wiedziała, że on jest inny.

– Wiem, Jeff.

Wtuliła się w niego i resztę drogi przebyli w milczeniu.

Później mogli się z tego śmiać. Właściwie ledwo już powstrzymali śmiech, kiedy przy dźwiękach dzwoneczków wkroczyli do holu Kaplicy Marzeń i rozejrzeli się dokoła.

Czerwony był, najwyraźniej, kolorem dnia. Począwszy od amarantowej tapety w lilie, przez pur-

purowy żyrandol po szkarłatny dywan. Dwa obite rubinowym brokatem fotele, stojące przy dużym oknie osłoniętym pąsowym aksamitem, były jedynymi meblami w całym pomieszczeniu. Rzeźbione drzwi na przeciwległej ścianie były zamknięte, dochodziły zza nich jakieś stłumione głosy.

Jaff zwątpił w trafność swego wyboru.

– Wiem, że nie w takim miejscu wyobrażałaś sobie swój ślub – rzekł do Tish.

– Nie martw się – zapewniła go. – Zupełnie mi to nie przeszkadza.

Jeff odprężył się trochę i spojrzał na zegarek.

– Jesteśmy o czasie. Ciekawe, gdzie jest...

W tej samej chwili drzwi otworzyły się szeroko i wybiegła przez nie pulchna blondynka w długiej, ślubnej sukni z trenem. Odrzuciła welon i ocierała płynące jej po policzkach łzy.

– Nie wyjdę za ciebie, Norman. Ani teraz, ani nigdy – łkała.

Tish i Jeff usunęli jej się z drogi. W samą porę, zaraz za nią bowiem wpadł pan młody, piękniś w jasnoniebieskim smokingu i w koronkowej koszuli.

– Denis, zaczekaj. Wcale się nie zawahałem. Po prostu wpadło mi coś do gardła.

– Nie okłamuj mnie, Norman. – Denis z furią patrzyła na mężczyznę, którego najwyraźniej zamierzała poślubić. – Kiedy ksiądz zapytał, czy bierzesz sobie tę kobietę za żonę i tak dalej, zawahałaś się. Na pełną minutę. Myślałaś o Zeldzie, Norman?

– Nie, dziecinko. Przysięgam. – Bardzo już spocyny, Norma próbował ująć ją za rękę. – Między mną i Zeldą wszystko skończone. Tylko ciebie kocham, naprawdę.

– To dlaczego się wahałeś? Dlaczego od razu nie powiedziałeś tak? Odpowiedz mi, Norman.

Pan młody przeczesał palcami włosy i nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– Mówiłem ci, że miałem coś w gardle, słonko. Musiałem przełknąć, ale potem od razu odpowiedziałem. To pewnie z nerwów. Wiesz przecież, że mężczyźni zawsze strasznie się denerwują swoim ślubem.

– To panny młode się denerwują. – Denis zmrużyła oczy i przyglądała mu się uważnie. – Nie, kłamiesz. Zawsze to poznam, bo wtedy nos ci tak drga. Jak wtedy, kiedy mi mówiłeś, że grałeś w kręgle z kolegami i straciłeś poczucie czasu i spóźniłeś się na naszą próbną kolację. Pamiętasz? Byłeś z nią, prawda?

– Nie, przysięgam ci na grób mojej matki.

Denis najpierw oniemiała, potem wpadła w szal.

– Twoja matka żyje, Norman.

– A, tak. Miałem na myśli grób mojego ojca. – Norman otarł pot z czoła. – Tak mnie wytrąciłaś z równowagi, że nie mogę myśleć. Proszę cię, kochanie, wróćmy i pozwólmy księdzu skończyć. Wszyscy już na nas czekają w restauracji. Mam bilety na samolot na nasz miesiąc miodowy i...

Drzwi znów się otworzyły i w holu zjawiała się zaniepokojona niska, ciemnowłosa kobieta w koloro-

wej szacie. Tish i Jeff zafascynowani patrzyli, jak podchodzi do kłócącej się pary.

– Proszę państwa, muszę mieć waszą odpowiedź. Mamy przecież kolejkę. – Ręką wskazała Jeffa i Tish. – Czy będziemy kontynuować? Jestem pewna, że to jakieś drobne nieporozumienie.

Denise, o dobrą głowę wyższa od nowoprzybyłej, wyprostowała się i spojrzała na nią z góry.

– Drobne? Pani zdaniem to normalne, że mężczyzna, którego mam poślubić w chwili przysięgi myśli o swej byłej dziewczynie?

– Posłuchaj, słonko – zaczął Norma, – uwierz mi, proszę. Tylko o tobie myślę. Tylko ciebie pragnę. – Ośmielił się ująć ją za łokieć. – Wróćmy tam i...

– Precz z rękami! Idź do Zeldy. Mam cię dość.

Co powiedziawszy Denise zebrała suknie, obróciła się na pięcie i z dumnie uniesioną głową wymaszerowała z holu. Dla podkreślenia swej decyzji głośno zatrzaskała za sobą drzwi.

Norman stał jak oniemiały.

Drobna kobieta obdarzyła Jeffa i Tish przepaszającym uśmiechem, potem zwróciła się do Normana.

– Przykro mi, że tak się stało. Musimy jednak pobrać od państwa opłatę, bo my ze swej strony wypełniliśmy zobowiązanie.

Zrezygnowany Norma sięgnął do kieszeni i wyjął złożony czek.

– Proszę.

Ze spuszczonego wzrokiem opuścił kaplicę.

– Bardzo państwa przepraszam – kobieta zwróciła się do Tish i Jeffa. – Tak się czasem zdarza, choć rzadko. Za chwilę będziemy gotowi – dodała i zniknęła za drzwiami.

– Niezły cyrk, co? – zauważył Jeff.

Tish była wyraźnie zmieszana.

– To niesamowite, prawda? Przerwała ślub, bo facet na moment się zawahał. Mam ochotę pobiec za nim i powiedzieć mu, że nie ma czego żałować, że w ogóle nie warto żenić się z kobietą, która z tak drobnego powodu ucieka od ołtarza.

Jeff wzruszył ramionami.

– Może były jeszcze jakieś inne problemy. Nie wyglądali mi na szalenie zakochanych.

– Nie, chyba masz rację. Niezły początek dla naszego własnego ślubu, co? – Tish spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Za parę lat będziemy to wspominać i...

– i będziemy się cieszyć, że nie mieliśmy zwyczajnego ślubu bez żadnych problemów.

– Właśnie. – Jeff przyciągnął ją do siebie i pocałował.

– Yhm. – Kobieta w kolorowej szacie bezszelestnie weszła do holu i stanęła tuż za nimi. – Państwo pewnie na czwartą. Nazywam się Evelyn. Proszę za mną.

– Kocham cię – Jeff szepnął Tish do ucha, kiedy posłusznie ruszyli za nią. – Chciałem, żebyś wiedziała.

– Ja też cię kocham – odparła, biorąc go pod rękę.

– Będziemy mieli o czym opowiadać naszym wnuciom, co? Później zawsze możemy wziąć jeszcze taki tradycyjny ślub, ale to to naprawdę wyjątkowe doświadczenie. Cieszymy się więc chwilą.

Zadowolony, że tak to normalnie traktuje, Jeff pocałował ją w czubek głowy. Podejrzewał, że większość ślubnych kaplic w Las Vegas to dziwne miejsca, przyciągające najdziwniejszych ludzi.

Główna sala była równie barwna. Z dwoma rzędami ławek przykrytych czerwonym aksamitem i trzema stopniami wiodącymi na przykryty białym dywanem podest. Czekał tam na nich wysoki mężczyzna od stóp do głów ubrany na biało. Jego smoking pochodził prawdopodobnie z 1950 roku albo nawet był jeszcze starszy. W ręku trzymał biały modlitewnik.

Jeff starał się zachować powagę, kiedy Evelyn ustawiła ich na dolnym stopniu, a sama stanęła obok Tish. Zza pluszowych kotar wyłonił się niski, łysawy mężczyzna w białych spodniach i kolorowej koszuli i stanął obok Jeffa. Trzymając Tish za rękę, Jeff bał się, że jeśli na nią spojrzy, nie wytrzyma i wybuchnie śmiechem.

– Witamy panią Tish Buckner i pana Jeffa Kirby'ego w Kaplicy Marzeń, gdzie dziś połączycie się świętym węzłem małżeńskim. Nazywam się ksiądz Aleksander Kaminski, a waszymi świadkami są Evelyn i Tom Doranowie. Czy spodziewają się pańsko jakichś gości czy możemy zaczynać?

– Możemy zaczynać, proszę księdza – odparł Jeff.

– Bardzo dobrze. – Ksiądz Kaminski zacisnął palce na modlitewniku i zamknął oczy.

Nagle z ukrytych gdzieś głośników zabrzmiał marsz weselny, a zaskoczeni Jeff i Tish rozejrzeli się dokoła. Tak, to rzeczywiście będzie niezapomniany ślub.

Pieśń zdawała się trwać w nieskończoność, tym bardziej zaskakująca była cisza, która po niej nastąpiła.

Ksiądz Kaminski w końcu otworzył oczy i modlitewnik. Ruchem ręki poprosił, by podeszli.

Jeff znów pożałował, że nie ma z nimi Easta i Ally ani nikogo z przyjaciół. Owszem, prawnie ten ślub też będzie ważny, ale przyjdzie też dzień prawdziwej ceremonii, w obecności ludzi naprawdę im bliskich. A potem wspaniałe wesele.

Tish i Jeff zgodnie odpowiadali na zadawane pytania i złożyli przysięgę. Potem Jeff wsunął na serdeczny palec Tish platynowy pierścionek brylancikami brylancikami. Zauważył, że mimo zupełnie nietradycyjnych okoliczności, jej oczy są tradycyjnie wilgotne. Jak każdej prawdziwej panny młodej.

Ksiądz Kaminski szybko zakończył ceremonię. Pewnie czekali już następni klienci, umówieni na czwartą trzydzieści. Może nawet na czwartą piętnaście. Śluby to poważny biznes w Las Vegas.

– Ogłaszam was mężem i żoną. Może pan pocałować pannę młodą.

Pocałunek był krótki, ale pełen obietnic.

– Gratuluję – ksiądz uściśnął rękę najpierw Jeffowi, potem Tish. – Proszę zapłacić Evelyn przy wyjściu – rzucił i zniknął za kotarą.

No i po atmosferze.

W holu Jeff wręczył Evelyn przygotowany czek.

– Chyba o takiej sumie pani wspominała.

Kobieta spojrzała na czek i skinęła głową.

– Tak, dziękuję. Powodzenia. – Wręczyła im podpisany akt ślubu i zniknęła.

Jeff westchnął i spojrzał na zegarek.

– Trzyście minut. Chyba pobili rekord.

Tish wcale nie była rozczarowana ani smutna.

– Biznes to biznes.

– Masz rację. Szkoda, że nie słyszałaś Evelyn przez telefon. Czy będą państwo chcieli tort? To tyle i tyle dolarów. Kwiaty? Muzyka? Długa czy krótka ceremonia? Limuzyna? Fotograf? Przyjęcie? Tak, wszystko możemy zorganizować. Za opłatą. – Jeff pokręcił głową. – To takie jakieś bezosobowe.

Objęci wyszli na późnopołudniowe słońce.

– Nie martw się, kochany. Po co komu pompa? Jesteśmy teraz takim samym małżeństwem, jak ci, którzy wydali tysiące.

On jednak czuł się winny.

– Wiem, ale chciałem dać ci więcej.

– Nawet o tym nie myśl. Niech to, jak było nie zepsuje naszego szczęścia.

– Od kiedy ty jesteś taka mądra?

– Od dnia, kiedy się w tobie zakochałam.

– Czy słyszał ktoś kiedyś lepszą odpowiedź? – Pocałował ją na środku ulicy, a potem pomógł wsiąść do limuzyny. – Mamy ją wynajętą jeszcze na dwie godziny. Chcesz trochę pojeździć czy wolisz wrócić do hotelu?

– Pojeździmy najpierw trochę. I może mogę wypić jeszcze jeden mały łyżeczek szampana, doktorze?

– Dobrze, ale tylko jeden. – Odsunął szybę, żeby dać instrukcje kierowcy, potem szybko zamknął ich w ich małym świecie. Wygodnie oparci, przytuleni do siebie, leniwie podziwiali mijane widoki.

Do hotelu wrócili o dziewiątej. Po przejeździe zgłodnieli, więc obeszlili hotelowe restauracje, chcąc wybrać najlepszą. W końcu Jeff kazał Tish podjąć decyzję, a ona uznała, że dziecko ma ochotę na chińszczyznę.

Jedli pałeczkami, w czym żadne nie było ekspertem, ale bawili się znakomicie. Potem, trzymając się za ręce, zajrzeli do kasyna.

Chwilę tylko przyglądali się graczom, później Jeff namówił Tish, żeby spróbowała szczęścia i wręczył jej kilka srebrnych dolarów. Ku jego rozbawieniu wybrała właściwą, taką, która przy wygranej wygrywała piosenki Presleya.

W ciągu dwudziestu minut wygrała trzysta dolarów.

– Masz dziś szczęście, maleńka. Wybierz jeszcze jakąś – namawiał Jeff.

– Nie, mądry gracz wie, kiedy się wycofać – zażartowała. – Zresztą przyszła mama jest już trochę zmęczona.

Tym go przekonała. On zresztą też dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że cała poprzednią noc pracował i cały dzień był na nogach. Tylko dzięki podnieceniu jakoś się trzymał.

W pokoju Tish od razu zrzuciła pantofle.

– Co ty na to, żebyśmy od razu się położyli? – spytała.

– Jestem cały za.

Jeff zdjął marynarkę i podszedł, żeby zobaczyć, jakie filmy oferuje hotel. Szelest jedwabiu szybko jednak zwrócił jego uwagę. Odwrócił się i ujrzał, jak Tish wyjmuje z torby długą, bladoniebieską koszulę. W jednej chwili zapomniał o filmach i wziął ją w ramiona.

– Włóż ją, ale tylko na chwilę – szepnął jej do ucha. – To przecież nasza noc poślubna.

– To taka piękna koszulka. Może jednak w niej zostanę?

– Może, ale bardzo, bardzo krótko.

– Najpierw jednak wezmę kąpiel. W uksusowe.

Dopiero kiedy wraz z koszulą zniknęła w łazience wpadło mu do głowy, że może się wstydzi. Owszem, kochali się nieraz. Pod gwiazdami Arizony, na kocu nad strumieniem, w jego małym mieszkanku.

Dziś jednak było uksuso. Była to ich noc poślubna, spędzali ją w luksusowym apartamencie uksusowego

hotelu. I choć ślub był raczej niewypałem, postanowił nadrobić to właśnie tą nocą.

Chciał, żeby oboje ją zapamiętali. Na całe życie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jakiś czas później Tish wyszła z łazienki w obłoku swego ulubionego zapachu. Ledwo przestąpiła próg, stanęła jak wryta.

To niesamowite, ile przez tak krótki czas można załatwić w luksusowym hotelu przy pomocy karty kredytowej i obsługi o romantycznej duszy.

Na szafkach nocnych, stolikach, nawet na telewizorze stały świece, od wysokich i cienkich po kuliste i pachnące. W pokoju unosił się ciepły zapach wanilii. Radio cicho grało jakiegoś bluesa. Zastony były odsunięte i tylko firanki filtrowały blask księżyca.

Tish pełnymi zachwytu oczami spojrzała na Jeffa. Był bez marynarki i krawata, zdjął także buty. Stał w skarpetkach i patrzył na nią.

– Sporo się napracowałeś – zauważyła z uśmiechem.

Jej uroda aż zapierała dech w piersiach. Delikatny błękit nocnej koszulki cudownie kontrastował z jej

złotą skórą. Jej włosy połyskiwały w blasku świateł. Była ideałem kobiecości i należała do niego.

– Tak sobie trochę podekorowałem – odparł i wziął ją w ramiona. Tylko koniuszkami palców muskał jej plecy.

– Chyba nie pierwszy raz – szepnęła omdlewającym głosem. Jej ciało już reagowało na jego pieśczoły.

– Tak pierwszy. Te twoje perfumy... Nie znam ich nazwy, ale cały czas o nich myślę. Tak jak o tobie.

– Przyjaciel chemik skomponował je dla mnie. Jest bardzo zdolny.

Poczuł lekkie ukłucie zazdrości...

– I...

– I nie ma go już w moim życiu.

Jeff zajrzał jej głęboko w oczy.

– A wszyscy inni mężczyźni, których kiedykolwiek znałaś?

– Jacy inni mężczyźni? Nie ma innych mężczyzn w moim życiu. Zawsze skupiam się na jednej rzeczy na raz. I od poznania ciebie, nikogo innego nie było. To chciałaś usłyszeć?

Przyciągnął ją mocniej do siebie, żeby poczuła jego rosnące pożądanie.

– To jest to, co chciałem usłyszeć. A co ty chcesz usłyszeć?

Wsunął ręce pod jej koszulkę i błądził teraz nimi po jej nagim ciele. Oddychała coraz szybciej, z większym trudem.

– Dajesz sobie znakomicie radę bez moich wypowiedzi.

– Domyślam się, że kobiety też mają fantazje, nie tylko mężczyźni.

– Czasami. Wolę jednak, żebyś powiedział mi sam z siebie, jak naprawdę mnie widzisz.

– Jak naprawdę? – Kiedy leciutko ugryzł koniuszek jej ucha, zadrżała. – W porządku. Oto naprawdę widzi cię Jeff Kirby. – Odsunął się trochę, żeby przyjrzeć się jej dokładniej. – Jesteś piękną, bardzo kobiecą kobietą, w środku jednak bardzo silną. Masz niesamowite oczy, tak pełne wyrazu...

– Zbyt blisko osadzone.

– Twoje włosy są...

– Już ci kiedyś mówiłam, zwyczajnie nudno brązowe.

– Hej! Chciałaś usłyszeć, co ja o tobie myślę, prawda? Nie przeszkadzaj i nie zaprzeczaj. – Teraz pocałunkami muskał jej szyję.

Rozbawiła ją ta reprimenda. Nawet parsknęła śmiechem. Kiedy jednak jego język zaczął obrysowywać kontur jej ust, znieruchomiała.

Jeff zauważył jej zarumienioną twarz, w oczach budzącą się namiętność. Powolna wspinaczka zawsze wydawała mu się bardziej ekscytująca, niż gorączkowy pośpiech. Była jego i wiedział, że spieszyć się już nie musi. Wiedział, jak krótkie i cenne jest życie i jaki z niego szczęściarz, że ma oto w ramionach Tish Buckner. Na całą noc, na całe życie.

Tish położyła drżącą dłoń na jego piersi.

– Powiedz mi, co czujesz – poprosił.

Odpowiedziała mu dopiero po chwili.

– Już nawet nie pamiętam, kiedy było we mnie tyle życia ile teraz przy tobie. Widzę tajemnicze zielone oczy z tylko odrobiną niebezpieczeństwa w nich, a może to tylko blask księżyca się w nich odbija? Tak czy inaczej, bardzo to jest podniecające. A to, że przy tobie natychmiast cała drzę nie przestaje mnie zdumiewać.

– Mogę panią prosić? – rzekł nagle i poprowadził w tańcu do części salonowej apartamentu. Chciał być bliżej niej, przerwał tylko na chwilę, by zerwać z siebie koszulę. Nie zwrócił nawet uwagi na przyskające na wszystkie strony guziki. Od jej piersi oddzielał go teraz tylko cienki jedwab jej koszulki.

– Bardzo dobrze tańczysz – szepnął jej do ucha. Jego dłonie spoczęły na jej pośladkach, wargi pieściły jej szyję.

Nie odpowiedziała, zaśmiała się tylko gardłowo i zanurzyła palce w jego włosy.

Przez chwilę tańczyli w milczeniu, ciesząc się zgodnym rytmem swych ciał.

A potem wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko.

– Jesteś moja, Tish. Powiedz to – poprosił przez ściśnięte gardło.

– Nigdy nie było co do tego wątpliwości. Jestem twoja, Jeff.

Do saloniku lekarskiego w miejskim szpitalu w Nowym Jorku weszło dwóch pogrążonych w rozmowie młodych lekarzy. Spojrzeli na Jeffa i dalej rozmawiając odeszli w kąt.

Jeff wstał niechętnie i przeciągnął się, zły, że intruzi wyrwali go z tych cudownych wspomnień. Gdyby tylko mógł pozostać w nich na zawsze...

Dawno temu jednak przekonał się już, że nic nie trwa wiecznie.

Chwycił torbę i wszedł do łazienki. Dzięki Bogu tak wcześnie rano była zupełnie pusta. Nie miał w tej chwili ochoty na żadne towarzystwo. Postawił torbę na podłodze i wyjął kosmetyczkę z przyborami do golenia. Na widok swej twarzy w lustrze aż się skrzywił.

Patrzący na niego mężczyzna wyglądał na zmęczonego, aczkolwiek nie bez powodu. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio leżał w łóżku i po prostu spał. Długo i mocno. I zdawał sobie sprawę, że jeszcze długo może tak potrwać.

Może powinien zapaść brodę. Może ukryje ona widoczne na jego twarzy cierpienie i ból. Zdawał sobie jednak sprawę, że to samo maluje się w jego oczach, a tego nic nie ukryje.

Zrezygnowany wyjął maszynkę i zaczął się golić.

Potem szybko się rozebrał i odkręcił prysznic w jednej z dwóch kabin. Uznał, że gorąca z początku woda przyniesie ulgę jego zeszywniałym mięśniom, a zim na później go orzeźwi i doda sił.

Kilka minut później, ubrany w czarne spodnie

i czarną, bawełnianą koszulę, umył zęby, uczesał włosy, spakował torbę i wyszedł z łazienki.

W saloniku znów nie było nikogo. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie nalać sobie kawy, to jednak, co zobaczył w dzbanku przypominało raczej brudną wodę. Wkrótce zjawi się East i pójdą razem do bufetu na śniadanie. Nie był co prawda szczególnie głodny i ostatnio jadał wyłącznie z rozsądku.

Ruszył w stronę OIOMu. Chciał zajrzeć do Tish i tam czekać na Easta.

Godzinę później, kiedy Jeff siedział przy szpitalnym łóżku żony i coś jej cicho opowiadał, cicho otworzyły się drzwi do separatki i stanął w nich East. Jaff, wzruszony, zerwał się z krzesła i mocno przytulił ojca. Potrzebna mu była jego siła.

– Jak się czujesz, synu? – spytał East, uważnie przyglądając się jego wymęczonej twarzy.

Jeff cieszył się, że jednak zdobył się na tamten prysznic i golenie. Wiedział jednak, że Easta nie da się oszukać.

– W porządku.

Staął obok Tish, chciał opowiedzieć o jej stanie, ale przez jego ściśnięte gardło nie przeszło ani jedno słowo.

East stanął obok niego i przez długą chwilę przyglądał się synowej.

– Wiem, że trudno jest tak czekać i nie martwić się, Jeff – rzekł w końcu i mocno ścisnął syna za ramię.

– Ja...

Nagle w drzwiach do separatki stanął doktor Edmund O'Neill.

– Jestem doktor O'Neill. Wzywał mnie pan pagerem, panie Kirby.

– Tak – East przywitał się z lekarzem, poczym wszyscy trzej opuścili separatkę.

– Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas. Wiem, jak bardzo jest pan zajęty. Jakie są rokowania mojej synowej? – spytał, kiedy znaleźli się w małej wnęce przy głównej sali.

O'Neill wsunął ręce do kieszeni fartucha.

– Chętnie przekazałbym panu jakieś dobre wiadomości, ale, niestety, nic się nie zmieniło. Śpiączki z reguły są nieprzewidywalne. Jak już mówiłem doktorowi Kirby'emu, może z tego wyjść równie dobrze za godzinę jak i w przyszłym tygodniu. Po prostu nie umiemy tego przewidzieć.

– Jej obrażenia się goją?

– Tak, zdecydowanie. Mamy wszelkie podstawy, by przypuszczać, że całkowicie odzyska zdrowie. Wstrząs mózgu był jednak poważny. Ostatnie badania wykazały, że obrzęk się cofa, ale powoli. Nic więcej nie możemy w tej chwili powiedzieć.

East był tak potężny i wysoki, że lekarz musiał zadzierać głowę, żeby widzieć jego twarz.

– I nie można powiedzieć, czy po obudzeniu będzie mówić i czy wróci jej pamięć?

O'Neill pokręcił głową.

– Miałem pacjentów, którzy po wielotygodniowej śpiączce budzili się i zaczęli mówić, jakby nic się nie stało. Inni mieli problemy z pamiętaniem wydarzeń, szczególnie tych, które były przyczyną ich stanu, a poza tym wszystko było z nimi w porządku. Kilku potrzebowało pomocy logopedy, ale nie jest to norma. W takich przypadkach w ogóle trudno mówić o normie. – Lekarz zauważył ich rozczarowane miny i westchnął głęboko. – Rozumiem, co panowie czują i przykro mi, że nie mogę panów jakoś uspokoić. Nie chcę wam dawać złudnej nadziei.

– Nie, oczywiście, że nie. – East wyciągnął rękę. – Dziękuję, doktorze. I dziękuję, że jest pan tak miły dla mojego syna.

– Zawodowa solidarność. Zapewniłem go, że może być przy żonie kiedy tylko chce. – Lekarz spojrział na zegarek. – No, na mnie już czas...

– Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję. – Kiedy O'Neill wyszedł, East spojrział na syna. – Jadłeś coś? Ja umieram z głodu. Co powiesz na śniadanie?

Nie było jeszcze ósmej, ale miał za sobą długi lot z Kalifornii.

– Zaczekaj chwilę. – Jaff podszedł do Thelmy i powiedział dokąd idzie. Poinformował ją, że ma ze sobą komórkę i poprosił, żeby w razie jakiejś zmiany natychmiast do niego zadzwoniła. Potem wrócił do ojca. – Możemy zejść na dół do bufetu albo znaleźć coś w pobliżu. O której jesteś umówiony z tymi od bomby?

– Dopiero w południe. To może wyjdźmy. Taksówkarz, który wioził mnie z lotniska mówił o jakiejś restauracji tu niedaleko. U Johnny’ego. Podobno mają znakomite jedzenie.

– Niech będzie – zgodził się Jeff i poprowadził ojca ku windom.

Restauracja była niewielka, z kilkoma zaledwie stolikami. Na beżowych ścianach wisiały zdjęcia z musicali, podłoga wyłożona była biało-czarnymi kafelkami. W powietrzu unosił się zapach kawy i smażonego bekonu.

Utykająca kelnerka w różowym nylonowym mundurku, z plaketką z imieniem Elanie przywitała ich przy drzwiach i spytała, czy wolą część dla palących czy nie. Jeff spojrzał na wiszący pod sufitem gęsty dym i zainteresował się, gdzie też jest ten rejon dla niepalących. Elanie wskazała im dwa zajęte stoliki, tuż przy otwartych drzwiach do kuchni. Tłumiąc śmiech, Jeff z rezygnacją wybrał stół przy oknie. Kelnerka rzuciła im dwie obleczone w plastik karty i pobiegła odebrać z kuchni wcześniejsze zamówienie.

– Umieram z głodu – oznajmił siadając East.

– Domyślam się. – Jeff otworzył kartę. Poczul, że i on jest trochę głodny. – No to co ci ten taksówkarz polecał?

– Coś, co się nazywa Błękitny talerz. – East odnalazł w karcie rzeczoną pozycję. – Jedna angielska

bułeczka, dwa jajka, trzy naleśniki, cztery plastry bekonu i kawa bez ograniczeń. Brzmi nieźle, co?

– Jak śniadanie dla drwala, ale jestem gotów spróbować.

Elanie zaniósła przepelnioną tacę do sąsiedniego stolika, potem podeszła do nich.

– Słucham panów?

– Dwa Błękitne talerze.

– Dobry wybór. – Kelnerka obdarzyła ich szerokim uśmiechem i zniknęła.

– Masz tu jakiś hotel? – spytał East, opierając się łokciami o stół.

Jeff pokręcił głową.

– Jeszcze nie. O'Neill pozwolił mi korzystać z saloniku lekarskiego. Jest tam prysznic i mogę się przebrać. Drzemię na krześle przy Tish. – Przypomniawsobie słowa lekarza i ciężko westchnął. – No, wiesz, myślałem, że lada chwila się obudzi i żaden pokój mi nie będzie potrzebny. Wiem, że to idiotyczne, ale czuję, że jak pop prostu będę przy niej to usłyszy, że do niej mówię i będzie walczyć, żeby wrócić.

– To wcale nie jest takie idiotyczne. Jestem pewien, że ona cię słyszy i że walczy, żeby do nas wrócić. Ale najpierw musi się cofnąć obrzęk. Bez tego nie da rady. – East położył dłoń na rękę syna. – Ale ty musisz być wtedy wypoczęty i w dobrej formie.

– Tak, wiem. Tyle tylko, że za każdym razem, kiedy ją zostawiam, wpadam w panikę. A jeśli będzie mnie potrzebowała, a mnie przy niej nie będzie?

– Rozumiem cię, Jeff. Kiedy cię porwali, czułem to samo. Nie wychodziłem z domu, bez sensu myśląc, że akurat wtedy będzie telefon z wiadomością o tobie. Nawet kąpałem się przy otwartych drzwiach. A kiedy na chwilę udawało mi się przysnąć, śniłeś mi się ty, z przeszłości.

– Ze mną jest dokładnie tak samo. Wspominam czasy, kiedy ją poznałem. Opowiadam jej o tym, mówię, co wtedy czułem i co czuję teraz. I czasem zasypiam przy jej łóżku i też śnię mi się tamte dni. Po prostu chcę, żeby to się już skończyło, żeby znów była ze mną.

Ełanie przyniosła im kawę i talerzyk z pojemnikami ze śmietanką i znów gdzieś pobiegła. Niedaleko nich jakiś starszy pan starannie przygotował sobie swoją codzienną porcję lekarstw i popił je wodą. Za Jeffem młoda para omawiała plan podróży do Disneylandu, dokąd zamierzali wybrać się z dziećmi. Jeszcze przy innym stoliku czterech potężnie zbudowanych mężczyzn polewało syropem góry naleśników i zaśmiewało się głośno.

Typowa nowojorska restauracja. Zabawne, jak zwykle, codzienne rzeczy, na które dotąd w ogóle nie zwracał uwagi, nagle tak poprawiają mu nastrój własnie swą codziennością i normalnością, pomyślał Jeff.

Tyle tylko, że w jego życiu nie ma teraz niczego normalnego. Jest w zawieszaniu i może tylko czekać, czekać, czekać.

– Mam nadzieję, że nie straciłeś nadziei, synu.
– East zauważył jego niepokój. – Czasami już tylko nadzieja utrzymuje nas przy życiu, tylko ona nam pozostaje. Ja ani przez moment nie myślałem, że cię nie odnajdę, że mógłbym cię nie odzyskać całego i zdrowego. Kiedy tak siedzisz przy jej łóżku, nie jesteś sam, Jeff. Wszyscy, których znasz, Ally i ja, wszyscy ludzie, których zna Tish, oni wszyscy są tam razem z tobą i razem z tobą modlą się pełni nadziei.

Jeff spuścił wzrok i kiwnął głową.

– Wiem, tato. Staram się.

– Jedynym momentem w naszym życiu, kiedy naprawdę musimy być dzielni, czuwać i czekać, jest kiedy ktoś, kogo kochamy, jest w niebezpieczeństwie. Wiemy, że sytuacja jest poza naszą kontrolą i nie mamy na nią żadnego wpływu, ale możemy się modlić.

– O tak, wiem coś o tym. Przeprosiłem się z Tym na Górze. Nawet nie wiesz, ile mu naobiecowałem, byle tylko pozwolił jej do mnie wrócić.

– Targowanie się z Bogiem, co? Tak, to też przerabiałem.

W tej chwili Elanie postawiła przed nimi ogromne talerze z jedzeniem, dołała im kawy i wróciła do swych zajęć.

Jeff od razu zabrał się do jedzenia. Piętnaście minut później odsunął od siebie pusty talerz i uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Myślałem, że w życiu tego wszystkiego nie zjem,

a jednak,

East także zjadł swoją porcję do ostatniego okruszka.

– Musiałeś przecież naładować akumulatory. Takie trwanie w gotowości zabiera mnóstwo energii.

Poprosili o rachunek, zapłacili i chwilę później wyszli na zalaną już słońcem ulicę.

Ulicą przejechała polewaczka. Na przystanek z pisakiem zajechał autobus i zabrał czekających na niego kilku pasażerów. Za rogiem zniknęła żółta nowojorska taksówka. Chodnikiem przeszła kobieta z wózkiem i torbą pełną zakupów.

Miasto żyło jak co dzień, mimo że na IOMie ktoś walczył o życie.

Po śniadaniu, z pełnym żołądkiem, w towarzystwie Easta, Jeff czuł się dużo lepiej. Przyznał się ojcu do tego dopiero przed wejściem do szpitala.

– Ja też poczułem się lepiej – stwierdził East.
– Wszystko będzie dobrze, Jeff. Wracaj teraz do niej i powiedz, że jesteś z nią, że czekasz.

– Zrobię tak, tato. Dzięki.

Raz jeszcze mocno uściskał ojca i szybko wbiegł na górę. Z nową energią i nową nadzieją.

Mówił do niej ponad godzinę, opowiadał o wizycie Easta, o pozdrowieniach od bliskich. W końcu, zmęczony, oparł się o krzesło i ciężko westchnął.

– Myślałem wcześniej o naszym ślubie, o tym zwariowanym dniu i cudownej nocy. Pamiętasz, Tish?

I potem też mieliśmy parę wspaniałych nocy, kiedy zamieszkaliśmy w tym mieszkaniu w Los Angeles, niedaleko szpitala, prawda? Mieszkanie było maleńkie, ale postanowiliśmy nie zmieniać go na większe przed narodzinami dziecka.

Wspominając te pierwsze dni ich małżeństwa, Jeff uśmiechnął się.

– Pracowałem po całych dniach, często też nocami i byłem wykończony. Podtrzymywała mnie na duchu tylko świadomość, że kiedy wrócę do domu, ty będziesz tam na mnie czekać. Byłaś wspaniała. Złożyłaś wnioski o urlop i jakiś czas po urodzeniu maleństwa, kiedy będzie je można już zostawiać z opiekunką, zamierzałaś wrócić do SPEAR do jakiejś pracy biurowej. Miałem jedną skrytą nadzieję, że będzie ci dobrze w domu ze mną i z dzieckiem i nie będziesz chciała wracać. No, może dopiero kiedy pójdzie do szkoły.

Nie mówiłem ci tego, bo nie chciałem cię do niczego zmuszać, ale opowiadałem ci o moim dzieciństwie i o tym, jak rodzice właściwie wcale się mną nie zajmowali. Nie chciałem, żeby coś takiego zdarzyło się naszemu dziecku. Z początku, oczywiście, mało bym był w domu, ale później zamierzałem tak ułożyć sobie grafik, żebym spędzał z wami jak najwięcej czasu. Nie chciałem, żeby ominęły mnie te najważniejsze chwile w życiu naszego maleństwa. No, wiesz, pierwsze słowo, pierwszy krok...

Jeff był teraz bardzo poważny.

– Byliśmy szczęśliwi, prawda, Tish? A może tylko tak mi się zdawało? Czy byłem aż tak pochłonięty pracą i tak bardzo w tobie zakochany, że nie zauważyłem, jak tęsknisz za przyjaciółmi ze SPEAR i za pracą? Boże, mam nadzieję, że nie.

– Wyglądałaś na szczęśliwą. Często się śmialiśmy, na przykład kiedy ugotowałaś tę zapiekankę i dodałaś jakieś przyprawy, przez które groszek zrobił się czarny? Albo kiedy poszłaś do pralni i nie zauważyłaś, że ktoś zostawił w pralce zieloną skarpetkę i całe nasze białe pranie wyszło bladozielone? Mnie zielona bielizna wcale nie przeszkadzała, ale ty byłaś załamana. Żeby cię pocieszyć, wziąłem cię na ręce i zaniósłem do łóżka. Kochaliśmy się i całkiem zapomnieliśmy o tej zafarbowanej bieliźnie.

Kiedy to wszystko zaczęło się rozpadać, Tish? Dlaczego wcześniej niczego nie zauważyłem? Wychowałaś się w bogatym domu, wśród służby i nie umiałaś nawet zagotować wody, sprzątać czy prac. A jednak potrafiliśmy śmiać się z tych twoich kilku pomyłek. Pomagałem ci jak mogłem i stopniowo wszystkiego się uczyłaś. Wkrótce zaczęłaś gotować takie obiady, że wracając z pracy całą drogę o nich marzyłem.

Wspaniałe steki, pieczony kurczak, za którego oddałbym życie, zapiekanka z łososia. I wszystko to za niewielkie pieniądze, bo postanowiliśmy korzystać z mojego funduszu powierniczego tylko na większe zakupy. Od swego ojca, co zrozumiałe, nie chciałaś

wziąć ani grosza. Ale jakoś dawaliśmy sobie radę.

Prawie nigdy się nie kłóciliśmy. Czasem denerwowały mnie jakieś drobiazgi, ale nie umiałem się na ciebie gniewać. Bardzo się starałem cię nie zawieść, nie chciałem, byś żałowała, że za mnie wyszłaś. Chyba mi się to udawało, oprócz tego jednego razu, kiedy chciałaś mi zrobić niespodziankę i zaplanowałaś wyjście. Od dawna nie miałem wolnego i chciałaś, żeby ten dzień był wyjątkowy. I nic z tego nie wyszło, pamiętasz?

– Obudź się, śpioszku. – Tish ze śmiechem próbowała zerwać z niego kołdrę. – Śpisz od całych dziesięciu godzin. – Przysiadła na łóżku i pogłaskała go po zarosniętym policzku. – Jak tu jeszcze poleżysz, zrobią ci się odleżyny.

– Mmmm – zamruczał Jeff. – A ty będziesz się mogła pobawić w pielęgniarkę.

– Wstawaj, leniu. Śniadanie prawie gotowe. Masz jeszcze czas na szybki prysznic.

Jeff ziewnął i próbował sobie przypomnieć, jakie to wczoraj plany zrobili na dzisiaj. Ze zmęczenia wszystko mu się już poplątało.

– Czemu mnie tak popędzasz? Wybieramy się gdzieś?

– Owszem. Ale to niespodzianka.

Jeff usiadł i palcami przeczesał włosy.

– Niespodzianka mówisz?

Prawdę mówiąc wolałby spędzić resztę dnia tu, w tym łóżku. Ostatnio nigdy nie miał dosyć snu.

Z drugiej jednak strony tak rzadko mieli okazję побыć razem...

– Tak jest, szefie. Za dziesięć minut jestem – obiecał i pomaszerował do łazienki.

Jednak dopiero po piętnastu przywędrował do kuchni, skuszony zapachem bekonu.

– Myślałem, że od tych kuchennych zapachów dostajesz mdłości, słonko? – zauważył, siadając przy stole.

Tish postawiła przed nim talerz z jajkami na bekonie i grzanki.

– Wiesz, to zabawne. Jednego dnia nawet zwykły warzywny bulion tak na mnie działa, a innego nic mi nie jest. Ale kawy w ogóle nie mogę. Jeff leciutko poklepał ją po wciąż jeszcze płaskim brzuchu.

– Wygląda na to, że nasz mały jeszcze przez jakiś czas będzie ci dyktował menu.

– A niech tam – odparła Tish i usiadła naprzeciwko niego. – Już ona mi to na pewno wynagrodzi.

Był to jeden z ich ulubionych żartów.

– On na pewno, chciałaś powiedzieć.

– To się jeszcze okaże. – Tish spojrzała na wiszący na ścianie zegar i zaczęła jeść.

– Jesteśmy na którąś umówieni?

– Nie, właściwie nie. Po prostu chciałam już ruszać.

Szybko wstawili naczynia do zlewu, narzucili kurтки i wyszli.

Przy aucie Tish wyciągnęła rękę.

– Ja muszę prowadzić. Gdybym ci powiedziała, jak masz jechać, nie byłoby niespodzianki.

Jeff wręczył jej kluczyki i zajął miejsce dla pasażera.

– Mam zamknąć oczy?

– Nie zaszkodzi. Inaczej będziesz próbował zgadnąć, a to mnie będzie rozpraszać.

Wciąż jeszcze nie umiała sobie radzić z ruchem w Los Angeles.

– W porządku. – Jeff zamknął oczy i oparł się o oparcie.

Jechali już jakieś dziesięć minut, kiedy zadzwonił jego pager.

– O, nie! Zapomniałam o pagerze! – Tish aż jęknęła.

Jeff od razu rozpoznał numer.

– Nawet na jeden dzień nie mogą cię zostawić w spokoju. – Tish, wyraźnie zła, zatrzymała się przy krawężniku. – Uciekliśmy od telefonu, a i tak cię znaleźli. Domyślam się, że musisz jechać do szpitala.

– Jestem lekarzem, kochanie. Wiesz, że nie mogę tak całkiem zniknąć.

– Wiem – westchnęła. – Po prostu chciałam, żebyś spędził choć jeden miły dzień bez telefonów i szpitala.

– Może nam się jeszcze uda. To nie szpital mnie wywołuje. – Jeff rozglądał się za budką telefoniczną. – Zaparkuj tutaj, dobrze.

Zdziwiona Tish spełniła jego prośbę.

– Nie szpital? A kto?

– Za chwilę ci wyjaśnię. – Jeff wyskoczył z auta i podbiegł do automatu.

Tish obserwowała go przez szybę. Miała nadzieję, że to nic ważnego i uda mu się załatwić to przez telefon. To na pewno nie East, bo Jeff od razu by jej powiedział. Niecierpliwie bębniła palcami po kierownicy. Pochwali przybiegł z powrotem i otworzył drzwi od jej strony.

– Kotku, przepraszam, że psuję twoją niespodziankę, ale muszę się z kimś zobaczyć. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Przesiądź się, proszę. Teraz ja poprowadzę.

Tish przesunęła się posłusznie, ale nie ukrywała rozczarowania.

– Ale mówiłeś, że to nie ze szpitala.

– Bo nie. – Jeff zawrócił z piskiem opon i od razu dodał gazu. – Chodzi o takiego jednego dzieciaka. Piętnastolatek, ma na imię Danny. Któregoś dnia, kiedy miałem dyżur zjawił się w izbie przyjęć. Twarz miał zmasakrowaną, ranę w nodze i złamane żebro. Krwawił i z bólu zginał się w pół. Bez pieniędzy, bez ubezpieczenia, bez nikogo. Opatrzyłem go, a w prześwietleniu wyszło kilku dawniejszych obrażeń. Spytałem, co się stało, ale nie chciał mówić. Udało mi jednak jakoś zdobyć jego zaufanie i powiedział, że ojczym regularnie go bił, a matka jest pijaczką, więc w zeszłym roku uciekł i od tamtej pory żyje na ulicy, mając się różnych dziwnych prac.

– To straszne. – Tish błyskawicznie zapomniała

o swym rozczarowaniu.

– Właśnie. Po moich własnych doświadczeniach nie mogłem mu nie współczuć. Dałem mu parę dolarów i coś gorącego do jedzenia, a potem na noc zawiozłem do schroniska dla bezdomnych. Nazajutrz rano, kiedy przyszedłem do pracy, Danny już na mnie czekał, znów poobijany. Jakiś starszy chłopak w schronisku obrabował go i pobił, bo myślał, że ma więcej pieniędzy, tylko przed nim ukrywa.

– Co za straszne życie... Ty też przez coś takiego przeszedłeś?

– O, tak. Ludzie ulicy, szczególnie dzieciaki, cały czas żyją w strachu. Wszyscy są przeciw nim – starsi bezdomni, policja, pogoda, bezpańskie psy. Nie ma im kto pomóc, kiedy zachorują czy pocieszyć, kiedy się boją i jest im smutno. – Jeff przerwał na chwilę. – No więc pogadałem z pewną kobietą, która bierze do siebie takie dzieciaki i stara się wyprowadzić je na prostą. Zgodziła się przyjąć Danny'ego. Myślałem, że wreszcie mu się udało, ale właśnie z nią rozmawiałem. Danny zniknął parę dni temu i właśnie dzwonił do niej jakiś sklepikarz, powiedział, że Danny'ego przyłapano na kradzieży, kazał jej przyjechać i zagroził, że wezwie policję.

– I zamiast niej pojedziesz ty, tak?

– Muszę, słonko. Chyba rozumiesz. Obiecuję, że to nie potrwa długo, ale...

– Ale nie możesz porzucić Danny'ego tak jak inni. Oczywiście, że rozumiem.

Jeff uśmiechnął się i uściśnął jej rękę.

– Wynagrodzę ci to, przyrzekam.

Musiał jechać. Znała go dobrze i wiedziała, że nie opuści nikogo, kto potrzebuje jego pomocy. A oni będą mieli przecież jeszcze tyle wspólnych dni.

– Nie martw się, Jeff. Moja niespodzianka może poczekać.

Wjechali teraz w bardzo nieciekawą okolicę i zatrzymali się przed dużym, odrapanym budynkiem, mieszczącym lombard, pralnię i sklep spożywczy. Teraz wszystkie kraty w oknach były odsunięte, ale w nocy budynek musiał wyglądać jak więzienie.

Myśląc o takich dzieciakach jak Danny, zawsze czuła się winna, że jej dzieciństwo było czyste, bezpieczne i dostatnie. Z powodu ojca nie było łatwe, ale przynajmniej nie musiała kraść, żeby jeść, ani uciekać przed biciem.

– Może mogę coś dla niego zrobić? – spytała, choć nie bardzo wiedziała, co by to mogło być. – Chciałabym ci jakoś pomóc.

– Pomogasz mi swoją wyrozumiałością. Poczekaj tu, dobrze?

Jeff wysiadł z auta i rozejrzał się dokoła.

Chodnikiem przeszła jakaś kobieta z wózkiem i wrzeszczącym niemowlęciem przywalonym górą zakupów. W drzwiach lombardu dwóch mężczyzn paliło papierosy. Ulicą przejechało kilka aut. Poza tym dokoła panowała cisza i spokój.

Wchodząc do spożywczego, Jeff od razu zauważył

Danny'ego. Chłopak siedział na krześle, z lewą ręką przyczepioną kajdankami do oparcia. Nad nim stał gruby, łysy sklepikarz w poplamionym fartuchu i czujnie go obserwował.

W oczach chłopaka malował się gniew i upokorzenie. I coś jeszcze. Strach.

– Nic ci nie jest? – spytał Jeff.

– Mówi, że za dziesięć minut wzywa policję.

– Chłopak brodą wskazał sklepikarza. – Wsadzą mnie do poprawczaka, Jeff. Ja...

Jeff położył mu rękę na ramieniu.

– Spokojnie. Często pan to robi? – zwrócił się do sklepikarza. Miał na myśli kajdanki.

– Bo co? Mam prawo bronić swojej własności. Ten smarkacz mnie okradł.

– Co konkretnie panu ukradł? – Jeff mówił spokojnie, ale zdecydowanie i twardo.

– Dwa jabłka. Ale skąd mogę wiedzieć, ile razy kradł już wcześniej? Te dzieciaki to śmiecie. Powinno się je zamknąć. Uczciwi, ciężko pracujący ludzie mają prawo do spokoju.

Jeff spojrział przez ramię na tabliczkę z ceną na jabłkach i rzucił mężczyźnie banknot pięciodolarowy.

– To za te jabłka. A teraz niech go pan odepnie.

– Nie, nie. To za mało. Nie zarabiam przecież, kiedy siedzę i pilnuję tego złodzieja. Dzwonię po policję. Oni wiedzą, co z takimi robić.

Jeff znał takich ludzi jak ten sklepikarz, zimnych, obojętnych, zupełnie pozbawionych współczucia.

Niektórzy czasem pod koniec dnia próbowali mu sprzedać swe zgniłe owoce.

– Byłeś kiedyś głodny, dziadku? Tak naprawdę głodny, że żołądek przyklejał ci się do kręgosłupa i już nie pamiętałeś, kiedy ostatnio jadłeś? Ten chłopak zna to uczucie i ja też. – Specjalnie spuścił wzrok na tłusty brzuch mężczyzny. – Nie, wątpię.

Potem spod oka popatrzył na kajdanki.

– Skąd je wzięłeś?

– Nie twój interes. Mam je i tyle.

– Mają policyjny nadruk. A ty chyba nie jesteś policjantem, co? Skąd je masz?

– Z...znalazłem. Nic mi nie udowodnisz.

– Ciekawe. Policyjne kajdanki, z kluczykiem i twierdzisz., że je znalazłeś. Jeśli tak, to twoim obywatelskim obowiązkiem było je zwrócić. A tak przy okazji, chyba zdajesz sobie sprawę, że cywil zakuwając kogoś w kajdanki postępuje wbrew prawu. – Jeff popatrzył na wiszący na ścianie telefon. – Nadal chcesz wzywać policję?

Sklepikarz przez chwilę mu się przyglądał, poczym wręczył mu klucz.

– Dobra, zabieraj go sobie.

Jeff natychmiast uwolnił Danny'ego.

– Zabieram je ze sobą i wręcę pierwszemu napotkanemu policjantowi, żeby cię nie kusiło znów ich kiedyś użyć.

– Jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, możesz być pewien, że wezwę policję.

By zachować twarz, sklepikarz musiał mieć ostatnie słowo.

Jeff wyprowadził Danny'ego ze sklepu i wsadził do auta.

– Danny, to jest moja żona, Tish. Kochanie, to ten chłopak, o którym ci mówiłem.

Tish uśmiechnęła się do wyraźnie zmieszanego chłopaka.

– Cześć, Danny.

– Cześć. – Danny nie patrzył jej w oczy.

– Nie uderzył cię, co? – spytał Jeff, szybko odjeżdżając sprzed sklepu.

– Nie, umiem sobie z takimi radzić.

– Nie wątpię.

– Jaff – zaczął Danny. – Przepraszam, że cię zawiodłem. Ale ta pani, tam u niej w domu jest tyle dzieciaków. Śpimy na podłodze, na krzesłach. Jeden całą noc kasłał mi w twarz, inny rzygał.

– Rozumiem. Ale kradzież to nie jest wyjście.

Byli już w dużo porządniejszej dzielnicy i Jeff zatrzymał się przy pierwszej restauracji. Razem z Tish wzięli tam chłopaka i nakarmili. Chyba rzeczywiście od dawna porządnie nie jadł, bo pochłonął wszystko w mgnieniu oka.

Jeff z przyjemnością zauważył, że Tish swobodnie rozmawia z Dannym. Nie zadaje mu żadnych pytań, po prostu rozmawia. Ośmieliła go i już wkrótce widać było w jego spojrzeniu tęsknotę za kimś, kto zechce go wysłuchać, kimś kogo interesuje, co myśli.

Kiedy Jeff skończył kawę, był już zdecydowany. Chciał pomóc Danny'emu, ale to on musiał podjąć decyzję.

– Posłuchaj, Danny. Wczoraj rozmawiałem z naszą dozorczynią, kobietą, która opiekuje się naszą kamienicą. W zeszłym roku umarł jej mąż, a jej syn wyjechał do koledżu. Potrzebuje kogoś do pomocy. No, wiesz, do sprzątnięcia podwórka, utrzymywania w porządku basenu, drobnych napraw, czasem trzeba też coś pomalować. Zamierza dać ogłoszenie i znaleźć jakiegoś pracownika. Myślisz, że by cię to interesowało?

– Zanim odpowiesz, musisz zrozumieć, że pieniądze będą z tego niewielkie, ale jeśli się polubicie, da ci u siebie pokój. Maria to wspaniała kobieta, ale cierpi na reumatyzm i sama nie daje już sobie rady. Pomogę ci w czym będę mógł, ale musisz zapisać się do szkoły, uczyć się i nie wagarować. Na pewno masz spore zaległości, ale nadrobisz. Mnie się to udało.

Danny najwyraźniej pamiętał ich rozmowę, kiedy to Jeff opowiedział mu o swym życiu na ulicy i jakiej ciężkiej pracy wymagało od niego przewyciężenie przeszłości.

– Zrobiłbyś to dla mnie? Dlaczego?

– Bo kiedyś ktoś zrobił to dla mnie. Dobre uczynki lubią się mnożyć. Widzę w tobie ogromny potencjał, Danny. Kiedy skończysz szkołę, a potem koledż...Nie! Nie patrz tak na mnie. Powiedziałem, że ci pomogę i koledż wcale nie jest tu niemożliwy. Ale to wymaga wysiłku także z twojej strony. Żadnych

więcej ucieczek, żadnych kradzieży. Jeśli będziesz miał jakiś problem, przychodź do mnie. – Jeff pytająco spojrział na Tish, a ta skinęła głową.

– Moja żona i ja pomożemy ci. Co ty na to?

Po raz pierwszy na twarzy Danny’ego pojawił się uśmiech.

– Trudno mi uwierzyć, że dajecie mi taką szansę, ale tak, zgadzam się. Nie zawiodę pana, doktorze.

– Wiem o tym.

Kiedy przedstawili chłopaka Marii i ta natychmiast zajęła się jego urządzaniem, zrobiła się już trzecia.

– No, cóż, dziecinko – zwrócił się Jeff do Tish, – chyba już za późno na twoją niespodziankę.

– Tak, ale jestem z ciebie bardzo dumna. Chyba naprawdę odmienisz życie tego dzieciaka.

– Tak, zrobimy to oboje. Powiesz mi, co mnie ominęło?

Tish wzruszyła ramionami i przytuliła się do niego.

– Nic takie. Zwykła wycieczka do Disneylandu. Pojedziemy tam innym razem.

– Ale nie pojechaliśmy, prawda, kotku? Nieważne. Tylko wyzdrowiej, a ja już na pewno cię tam zabiorę, obiecuję. – Jeff ujął dłoń Tish i delikatnie pocałował ją w czoło.

– To był chyba jedyny raz, kiedy tak bardzo cię zawiodłem. Były jeszcze inne podobne przypadki, ale drobniejsze. Na przykład, kiedy mój dyżur w szpitalu się przedłużył, bo miałem całą serię trudnych przypa-

dków, a ty się tak namęczyłaś, żeby przygotować coś pysznego na kolację. Zanim dotarłem do domu, wszystko już wyschło na wiór. Albo jeszcze gorzej, kiedy wracałem do domu zbyt zmęczony, by jeść, rozmawiać czy w ogóle robić cokolwiek. Waliłem się tylko do łóżka, a po ośmiu godzinach zaczynałem cały ten kierat na nowo. Rzadko bywałem w domu, ale ciągle ci powtarzałem, że to nie potrwa długo, że nie będzie tak zawsze. Nie wiem, czy mi wierzyłaś czy nie.

Nawet jego zdenerwowały te wspomnienia.

– Za często zostawiałem cię samą, prawda? Wszyscy w naszej kamienicy pracowali. Nie miałaś z kim porozmawiać, nikt z przyjaciół nie mieszkał w okolicy. No i te poranne mdłości. Zawsze byłaś taka zdrowa, więc chyba szczególnie trudno je znosiłaś. I znów byłaś z tym sama. Cholera! Jestem lekarzem. Powinienem zawnocześnie zauważyć jakieś objawy. – Jeff zanurzył twarz w dłoniach. – Nie zauważyłem. Zawiodłem cię, Tish.

Przez chwilę siedział teraz w milczeniu, z zamkniętymi oczami, i obwinał się za dawne błędy. Wiedział, że przeszłości nie da się zmienić, a jednak marzył, by jakoś udało mu się cofnąć czas.

– Mam nadzieję, że mi to wybaczysz – zaczął po chwili. – Mógłbym się tłumaczyć, że byłem zbyt młody i zbyt szybko chciałem skończyć ten staż, mieć już to za sobą i zacząć prawdziwe życie. Wiem, że tego się nie da zrobić, że trzeba cieszyć się każdym dniem,

bo nigdy nie wiadomo, ile ich mamy jeszcze przed sobą. Po przeżyciach w Idaho powinienem to wiedzieć, ale chyba zapomniałem. Wybacz mi, kotku, proszę...

– Ja też byłem samotny. Twoje poranne mdłości i moje zmęczenie wbiły się klinem między nas. Kiedy czasem miałem wolny dzień, ty źle się czułaś i spędzałaś go w łóżku. Kiedy czułaś się dobrze i chciałaś gdzieś wyjść, ja musiałem pracować. Istny pat, co?

– Ale wiedz, maleńka, że przez cały ten czas cię kochałem. Nawet w najtrudniejsze dni chciałem tylko być z tobą. Kiedy nie było mnie w domu, cały czas liczyłem godziny do powrotu do ciebie. Jak dobrze, że mimo całego naszego zmęczenia, wystarczało nam jedno spojrzenie, jedna pieszczota, a już byliśmy gotowi się kochać. Myślę, że to dzięki temu udało nam się przetrwać te trudne tygodnie. I wierzę, że przez ten czas ty też mnie kochałaś.

– A potem stało się najgorsze. – W oczach Jeffa pojawiły się łzy. – Gdybym nawet dożył stu lat, nigdy nie zapomnę tego strasznego poranka, kiedy to wróciłem do domu po osiemnastogodzinnym dyżurze.

– Już kiedy otwierałem drzwi, czułem, że stało się coś strasznego. Było tak cicho, a ty przecież zazwyczaj włączałaś radio albo telewizor. Mówiłaś, że wtedy czujesz się mniej samotna. Zawołałem cię, ale nie odpowiedziałaś. Wtedy wszedłem do kuchni i zamarłem.

– Leżałaś na podłodze, nieruchoma, nieprzytom-

na, w kałuży krwi. Ukląkłem i zbadalem ci puls. Dzięki Bogu bił. Słabo, ale bił. Potem zobaczyłem krwawy skrzep i już wiedziałem.

– Straciliśmy nasze dziecko.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jeff czuł się, jakby nadal tam był, w ich małym mieszkanku w Los Angeles, tamtego straszego poranka, kiedy Tish poroniła.

Z sercem bijącym jak oszalałe podbiegł do telefonu. Zwisająca słuchawka wskazywała, że Tish, zanim zemdląca, próbowała wezwać pomoc.

– Proszę natychmiast przysłać karetkę – powiedział, kiedy połączył się z dyspozytorką pogotowia. – Moja żona poroniła. Leży na podłodze w kałuży krwi...Niech się pospieszą.

Potem natychmiast wrócił do Tish, wziął ją w ramiona, ale nie ruszał, bo bał się dalszego krwotoku.

– O Boże, Tish, tak mi przykro. Tak mi przykro, że nie było mnie przy tobie. – Całował jej włosy i blade policzki. – Co się stało, najdroższa? Co się stało?

Wiedział, że poronienia czasem zdarzają się zupełnie samoistnie, ale dlaczego im? Dlaczego?

Ostatnio była taka szczęśliwa i pogodna. W piątym miesiącu nudności nie były już takie częste. Zapisła się na wieczorowe kursy szycia, a on kupił jej maszynę. Uszyła już parę rzeczy dla maleństwa – pościel, ręczniki, myjki. Zaledwie wczoraj rozmawiali o przeprowadzce do większego mieszkania, z dodatkowym pokojem dla dziecka. Tish, podekscytowana, snuła plany jego urzędnictwa.

Dlaczego to musiało się stać właśnie teraz?

Kiedy zabrała ją karetka, oczywiście pojechał za nimi. W izbie przyjęć na szczęście spotkał znajomego lekarza, Nigela Frosta, i poprosił go o szczególną opiekę nad swą żoną. Lekarz zgodził się natychmiast, ale nie pozwolił mu uczestniczyć w badaniu. No, cóż, w każdym szpitalu obowiązują takie same zasady.

Został więc w poczekalni, a czas dłużył mu się niemiłosiernie.

– Co z nią? – spytał, kiedy w końcu w drzwiach stanął Nigel.

– W porządku, Jeff. Nie straciła tak wiele krwi. Jak zapewne wiesz, dziecko straciła.

– Tak...wiem. Mogę do niej wejść?

– Tak, właśnie kończą ją myć. Wezwaliśmy jej położnika. Dałem jej zastrzyk, więc jest trochę oszołomiona. Pytała o ciebie.

– Dzięki, stary.

– Nie ma za co. Pewnie teraz nie będzie nawet chciała o tym słyszeć, ale jest młoda. Na pewno spróbujecie jeszcze raz.

– Tak, jasne.

Jeff zebrał się w sobie, bo nie mógł pozwolić, by Tish dostrzegła jego rozczarowanie. Spróbują jeszcze raz, jak przypuszcza Nigel. Nie, teraz nawet nie chciał o tym myśleć, a co dopiero rozmawiać o tym z Tish.

Wyprostował się i wszedł do sali.

– Cześć, malutka.

Tish, tak zawsze pełna życia, leżała blada i nieruchoma. W jej oczach dostrzegł łzy.

– Nie ma już naszego dziecka, Jeff. Niczego nie zrobiłam, a jednak go nie ma.

Jeff ujął jej lodowate dłonie.

– Tak, kotku, wiem. Najważniejsze, że nic ci się nie stało. Najgorsze, że nie było mnie przy tobie.

– Szyłam właśnie kaftanik i wstałam na chwilę. Od razu poczułam taki straszny skurcz i coś ciepłego popłynęło mi między nogami. Spojrzałam i zobaczyłam, że to krew. Poszłam do kuchni, żeby do ciebie zadzwonić. Nagle przyszedł ten straszny ból i aż zgięłam się w pół. I...chyba zemdlałam.

– Nie, nie mów już nic. Wszystko będzie dobrze. Teraz przede wszystkim powinnaś odpocząć.

– To nie była moja wina, prawda, Jeff? Ja niczego nie zrobiłam...

– Oczywiście, że nie, maleńka. To było samoistne. Tak się zdarza i nie można temu zapobiec.

– Zawiodłam cię, Jeff. Wiem, jak bardzo chciałeś tego dziecka.

– To nie była twoja wina. Nawet tak nie myśl.

Zaraz przewiozą cię do innej sali i będziesz sobie odpoczywać.

– Nie, chcę wrócić do domu, Jeff. Proszę.

– Musisz tu zostać przynajmniej dwadzieścia cztery godziny, żebyśmy byli pewni, że już nie będziesz krwawić.

Jak mógłby zabrać ją do domu, który za sześć godzin będzie musiał opuścić? Kto by się nią opiekował?

– Jak się lepiej poczujesz, na pewno cię zabiorę. Obiecuję.

Całymi dniami Jeff we śnie i na jawie nie mógł zapomnieć tamtego straszego obrazu. Nieprzytomna Tish na podłodze, w kałuży krwi. Taka blada, bezradna.

Bał się też, co będzie potem. Jakie będzie ich życie? Przygotowując się na jej powrót umył dokładnie podłogi i wywietrzył całe mieszkanie. Założył czystą pościel, zrobił pranie i zakupy. I bardzo starannie schował wszystkie dziecięce rzeczy.

Twierdząc, że waży niewiele więcej niż dziecko, na rękach zaniósł ją na górę. Chciał ją położyć do łóżka, ale ona wybrała fotel w salonie. Jej oczy były podejrzanie wilgotne, ale nie płakała. Twierdząc, że nie jest głodna, nie chciała nic jeść.

– Wiem, że musisz wracać do szpitala – powiedziała słabym głosem. – O mnie się nie martw. Idź.

Zauważyła jego wahanie i wzięła go za rękę.

Zdobyła się nawet na słaby uśmiech.

– Naprawdę, nic mi nie będzie.

– Mam przy sobie pager. Gdybyś czegoś potrzebowała, dzwoń. Ja też będę dzwonił.

Wyszedł więc, bo nic więcej nie mógł zrobić.

Następne tygodnie wystawiły ich kruchy związek na straszną próbę. Choć Jeff kochał Tish i ona go kochała, pobrali się głównie z powodu dziecka, przynajmniej było to motywem jej decyzji. Czasem, kiedy wracał do domu i zastawał ją w tym samym fotelu, w którym zostawił ją rano, zastanawiał się, czy teraz mają jeszcze jakąś szansę.

Starał się. Bardzo się starał. Gotował jej ulubione potrawy, a ona tylko grzebała w nich widelcem. W nocy bezsennie leżała obok niego.

W końcu poprosił o radę jej lekarza.

– To depresja poporodowa, Jeff – wyjaśnił mu doktor Robert Delaney.– Na pewno się o niej uczyłeś.

– Tak, ale nie wiedziałem, że zdarza się też po poronieniu. I że trwa tak długo. Już ponad miesiąc. Nic jej nie interesuje. Nawet nie zauważyła, że były święta.

– To kwestia hormonów. I żalu po utracie dziecka. Po normalnym porodzie pomaga obecność dziecka, a tu...Rozmawiasz z nią o waszej stracie?

– Próbowałem, ale nie reaguje. Jakby chciała to usunąć z pamięci. Po prostu siedzi i patrzy w przestrzeń. Nie czyta, nie ogląda telewizji. Rob, martwię

się o nią.

– Mogę jej coś przepisać. Jeśli zechce to brać. Musisz traktować ją normalnie, tak jak przedtem. Nie w rękawiczkach.

– To znaczy...na przykład...że możemy się kochać?

– Tak, fizycznie wszystkie rany się już zagoiły.

– Ale emocjonalnie nie...

– Każdy przypadek jest inny, ale próbuj. Próbuj się z nią kochać, przekonaj ją, że nadal ją kochasz i pragniesz.

– Tak, chyba spróbuję.

– To łagodne środki antydepresyjne. Powinny pomóc. – Lekarz wręczył mu receptę.

– Dzięki, Robert.

Przygotował się do tego bardzo starannie. Załatwił sobie kilka dodatkowych godzin wolnego, żeby nie był zmęczony. Kupił butelkę dobrego wina i sześć herbacianych róż, bo tylko na tyle go było stać. A także kubełek lodów brzoskwińowych, jej ulubionych.

Wchodząc do domu zastał ją w jej stałym miejscu, patrzącą przez okno. Teraz albo nigdy, pomyślał.

– Cześć, kotku – rzekł, całując ją na powitanie.
– Proszę – dodał, podając jej kwiaty.

– Śliczne. Dziękuję – powiedziała, ale nie uśmiechnęła się.

– A to dla nas – pokazał jej wino.

Kiedy wrócił z kieliszkami, nadal trzymała w ręku

róże i ze smutną miną patrzyła przez okno.

Trochę wina jednak wypila i nawet się odprężyła. Kiedy opowiadał jej różne banalne historyjki ze szpitala, uśmiechała się i zadała parę pytań.

– Może zrobię te steki, które kupiłem wczoraj i jakąś sałatę – zaproponował. – A na deser są twoje ulubione lody. Głodna?

– Trochę.

Może kiedy się trochę pokochają, leki przeciwdepresyjne nie będą już konieczne, pomyślał. Nastawił Andy'ego Williamsa i poprosił ją do tańca. Nie odmówiła.

I nie odmówiła, kiedy zaniósł ją do łóżka. Potem też nie. Myślał już nawet, że tamta dawna, czuła, zmysłowa, kochająca Tish wróciła.

– Kocham cię – szepnął jej do ucha.

– Ja też cię, kocham, Jeff. Było cudownie...ale nie pomogło. Nic się nie zmieniło. Dzwoniłam rano do swego biura. Wracam do pracy.

Siedząc przy szpitalnym łóżku żony, Jeff patrzył na jej bladą, śpiącą twarz.

– Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo mnie rozczarowała twoja decyzja. Jak bardzo mnie nią zraniłaś.

– Tak, pamiętam, co mi mówiłaś. Że po stracie dziecka myślałaś, że zwariujesz siedząc po całych dniach w domu. Ale były przecież inne rozwiązania. Mogłaś podjąć pracę w Los Angeles i zostać ze mną do końca stażu. Potem oboje wrócilibyśmy do SPEAR.

– Ja też przeżyłem stratę naszego dziecka, Tish. Bardzo boleśnie. A potem straciłem też ciebie.

– Spotkaliśmy się dopiero kilka miesięcy później, w Australii.

Australia, koniec marca

Tylko praca trzymała go przy życiu. Brał dodatkowe dyżury, pracował nocami, tylko po to, by zasnąć jak kamień i nie myśleć.

Od czasu do czasu miał wiadomości o Tish od Easta i innych agentów, wiedział, że bierze jedno zadanie po drugim i pracuje równie ciężko jak on. Żeby zapomnieć.

Pod koniec marca SPEAR wysłało go do Australii. Uznali, że przyda mu się dodatkowe szkolenie. Sami załatwili sprawę ze szpitalem.

Na lotnisku w Sydney czekał na niego jeden z agentów i zawiózł go od razu do obozu na odległym trzy godziny drogi od miasta ranczu.

Na miejscu nie pozwolono mu nawet się wykąpać, lecz od razu zaproszono na naradę.

Poinformowano go, że Lise Meldrum – kierowniczka obozu i córka Arta Meldruma, zawsze nieobecnego właściciela bazy – uciekła konno wraz z agentem SPEAR, Russellem Devanem. Russell występował pod nazwiskiem Steve Trace i próbował schwytać Arta Meldruma, który w rzeczywistości jest Simonem, tym zdrajcą, którego ścigamy od miesięcy.

– Słuchasz mnie? – Ken, jeden z agentów, który zapoznawał go z sytuacją zauważył, jak Jeffowi ze zmęczenia opada głowa. Po chwili mówił dalej. – Więc kiedy Russell dowiedział się, że nasz wróg jest już prawie tutaj, wezwał posiłki. Simon jednak już deptał im po piętach, więc razem z Lise musieli uciekać.

– Chwileczkę – przerwał mu Jeff. – Czegoś tu nie rozumiem. Przecież mówiłeś, że Lise jest córką Arta, a Art to tak naprawdę Simon.

– Zgadza się. Wychowywała się praktycznie bez niego. Potem jej matka zginęła w wypadku, a on był zbyt zajęty, by zająć się córką. Dopiero niedawno dowiedziała się, kim naprawdę jest. Nie chciała w to uwierzyć, ale Russell jej to udowodnił. Jednak część pracowników Simona nadal uważa go za porządnego człowieka i ruszyli w pościg za Lise i Russellem.

– Dosyć to skomplikowane.

– Owszem – wtrącił się Ralph, kolejny z agentów. – Dostaliśmy rozkaz, żeby zostać tutaj i czekać na powrót Lise i Russella.

– Dlaczego nie możemy ich szukać?

– Człowieku, to strasznie wielki kraj, a nie mamy pojęcia dokąd pojechali. Czekamy więc aż wrócą, albo przynajmniej dowiemy się, gdzie są.

– Mamy tu helikopter – rzekł Ken. – Kiedy dowiemy się, gdzie są i ktoś może będzie ranny, ty właśnie ty będziesz nam potrzebny.

– Rozumiem – ziewnął Jeff. – To może przedtem się trochę prześpię.

– Jasne. Twój pokój jest w tym korytarzu. Ostatnie drzwi po lewej. Dokładnie naprzeciwko innego naszego nowego przybysza. Przywiozłem ją wczoraj. To Tish Buckner.

Na dźwięk jej imienia Jeff stanął jak wryty.

– Powiedziałaś Tish Buchner?

– Tak. Znasz ją?

– Można tak powiedzieć.

Wiedział, że któregoś dnia ich ścieżki się przetną, ale nie spodziewał się, że stanie się to już przy jego pierwszym zadaniu od ich rozstania.

Spotkał ją dopiero nazajutrz, przy śniadaniu.

Siedziała przy stole, do którego poprowadził go Ralph.

– Cześć, Tish.

– Cześć.

Na szczęście nie musieli na razie rozmawiać, bo przy stole zjawił się też Ken i przekazał im najnowsze informacje.

– A więc sprawa wygląda tak – zaczął. – Wiemy, że Simon zatrzymał się tutaj, nakłamał coś swoim ludziom i kazał im ścigać Lise i Russella. Sam zniknął stąd tuż przed naszym przyjazdem. Gdzie teraz jest, nie wiemy. Tak jak nie wiemy, gdzie jest Lise i Russell. Próbowałem dzwonić na jego tajną komórkę, ale nie odbiera. Gdyby się odezwali, moglibyśmy po nich pojechać.

– Nie wygląda to dobrze – zauważył Fred.

– Rzeczywiście.

– Może moglibyśmy się podzielić i na przykład dwójkami rozjechać w różne kierunki i próbować ich znaleźć? – zaproponował Ralph.

– Na razie czekamy. – Ken wziął kubek z kawą i poszedł zadzwonić.

Inni agenci skończyli już jeść i wstali od stołu. Została tylko Tish i Jeff.

Po chwili przyniesiono mu śniadanie. Trzy jajka na bekonie i pieczywo.

– Zawsze się dziwiłam, że tyle możesz zjeść i nie przytyć nawet o gram – odezwała się dopiero, kiedy skończył.

– Dobrze wyglądasz, Tish. Słyszałem, że dużo pracujesz.

– Tak, ciągle mnie gdzieś przerzucają.

– To dobrze. To znaczy, że nie masz czasu na myślenie o przeszłości.

Jeff wstał od stołu, zabrał swój talerz i wyszedł do kuchni.

O siódmej wieczorem wszyscy byli już bardzo zdenerwowani. Gdzie jest Lise i Russell? Czy przechytrzyli ludzi Simona? Albo może oni sami zrozumieli swą pomyłkę i przeszli na ich stronę?

Po kolacji Jeff miał już dość tych rozmów. Wziął kurtkę i wyszedł na dwór. Była piękna, gwiazdzista, cicha noc.

Przez chwilę wdychał świeże, wiejskie powietrze,

poczym zaszedł do stajni. Zatrzymał się przy ślicznej, kasztanowej klaczy.

– Cześć, mała – rzekł, gładząc jej jedwabistą grzywę.

– Ma na imię Daisy – usłyszał za sobą cichy, damski głos.

Odwrócił się zdziwiony i zobaczył, że przyszła za nim Tish. Miała na sobie dżinsy, białą koszulę i znajomą rudą, zamszową kurtkę.

Nie uśmiechała się, lecz poważnie patrzyła mu w oczy.

– Chcesz się ze mną przejechać? – spytała.

– Jasne.

Szybko osiodłali Daisy i białą klacz imieniem Quennie i ruszyli.

Tylko księżyc oświetlał im drogę, kiedy jechali z początku płaską równiną, potem coraz wyżej, ku skałom. W pewnej chwili Tish zatrzymała konia, zsiadła z niego i przywiązała go do drzewa. Sama wolnym krokiem podeszła do płynącego wśród skał strumienia. Jak wtedy w Arizonie.

Zaczekała, aż do niej dołączy i znów spojrzała mu prosto w oczy.

– Tęskniłam za tobą.

– Ja też.

Może to nierozsądne, ale musiał powiedzieć jej prawdę.

– Jestem ci winna wyjaśnienie. Musiałam wyjechać, Jeff. Byłam w strasznej depresji. Czułam, że cię

zawiodłam, że zawiodłam siebie i...i nasze dziecko. Wszystkich. Dzień po dniu wariowałam w tym mieszkaniu. Nic mnie w życiu nie czekało, no, może tych kilka godzin z tobą po powrocie ze szpitala.

– Nie wiem, czy mnie zrozumiesz, ale czułam, że tracę siebie, tę osobę, którą jestem, tę, którą chciałam być. Ty miałeś swoją pracę, szpital, spotykałeś ludzi. A ja? Może powinnam więcej z tobą rozmawiać, ale czułam się taka winna.

– Nie, to ja. Powinienem być bardziej wyrozumiały, zauważyć, co się z tobą dzieje.

– Nie, Jeff, to wszystko moja wina. – Położyła mu rękę na piersi. Nigdy nie przestałam cię kochać. Ani na chwilę. Ja...

Przerwał jej pocałunkiem. I dopiero wtedy poczuł się, jakby wrócił do domu.

– Ja też cię kocham. I to bardzo.

– Bardzo? To znaczy jak? Pokaż mi...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jeff, zmęczony tymi wspomnieniami, musiał się napić wody. O dziwo, dodały mu one także energii.

– Pamiętasz, jak wśliznęliśmy się potem potajemnie do domu? Ty w kurtce zapiętej pod szyję, bo kiedy zrywałem z ciebie bluzkę, poszły ci wszystkie guziki. Jak to dobrze, że nie zauważyli nas siedzący w salonie agenci, bo twoja twarz była zarumieniona i moja pewnie też. Od razu wszystkiego by się domyślili.

– Byłem taki szczęśliwy i ty chyba też. Spędziliśmy razem cały następny dzień, pamiętasz? Ja tak, każdą minutę. Chyba na nowo się wtedy w sobie zakochaliśmy.

– Wiem, że nie rozwiązaliśmy wtedy wszystkich naszych problemów – różnicy wieku, która nadal cię krępowała, mojego stażu, zabierającego tak wiele czasu, twojego powrotu do pracy, którym nie byłem zachwycony. Ale tam, na bezkresnych równinach

Australii, oboje nie mieliśmy wątpliwości, że się kochamy. Obiecaliśmy sobie, że bez względu na wszystko będziemy razem.

I pewnie by tak było, gdyby nazajutrz rano, tuż po świcie, nie rozpętało się to piekło.

Jeff znów był myślami w Australii.

– To wtedy Russell i robotnicy z rancza przywieźli Lise z raną postrzałową ramienia. Trochę się niepokoiłem, czy będę w stanie jej pomóc. Kula o włos minęła jej płuco. Choć Russell cały czas wisiał nade mną, udało mi się. Poczulem, że w końcu zasłużyłem na zaufanie SPEAR.

– Przeżyliśmy straszny szok, kiedy dowiedzieliśmy się, że to Simon, którego całe życie znała jako Arta Meldruma, ją postrzelił. Zrobił to, bo powiedziała jego ludziom prawdę, a oni zwrócili się przeciw niemu. Nie do wiary. Strzelił do własnej córki, a potem uciekł jak tchórz. Ależ bym chciał, żebyśmy go dorwali.

– To on jest winien, że tu jesteś, Tish. On jest odpowiedzialny za tę bombę. – Poczul jak jego ręka sama zwija się w pięść. – No, w każdym razie niedługo potem, jak opatrzyłem Lise dostaliśmy telefon i wezwano cię do Nowego Jorku. Tak, wiem, że to niebezpieczna praca i bardzo będę się starał cię namówić, żebyś nie brała już więcej udziału w żadnej akcji. Wiem, że SPEAR cię potrzebuje, ale ja też. Chyba nawet bardziej. Zresztą możesz dalej dla nich pracować. Przy biurku.

– Wróc do mnie, Tish. Do diabła z różnicą wieku.

Musisz żyć, maleńka, bo chcę ci udowodnić, że nam się uda. East nauczył mnie, że najważniejsza jest miłość, a moja miłość do ciebie nigdy się nie zmieni.

– Proszę cię, Tish, wróć do mnie. Tak bardzo cię potrzebuję.

Siedział tak jeszcze długo patrząc na nią przez łzy, aż w końcu wykończony, fizycznie i psychicznie, zasnął z głową wspartą o jej łóżko.

Miała wrażenie, że idzie długim tunelem. Otaczała ją biała, gęsta mgła. Jej kroki były powolne i niepewne. Nie miał kto jej poprowadzić ani wskazać drogi.

Jej stopy były takie ciężkie. Nagle z oddali usłyszała czyjś głos.

Jeff! To Jeff ją wołał. Tish, wróć do mnie. Tak bardzo cię potrzebuję. Poczuała, jak po policzkach płyną jej łzy. Chciała mu odpowiedzieć, ale jej gardło było ściśnięte, a piersi przygniatał jakiś ciężar.

Wolniutko posuwała się tunelem w stronę widocznego w głębi światła. Widziała już coraz wyraźniej. Ciężar zniknął. Próbowwała otworzyć oczy...

Tish zamrugła raz, potem znów. Widziała, naprawdę widziała. Sala szpitalna, jakieś rurki w jej nosie, bandaż na szyi. Dlaczego tu jest?

Tak. Przypomniała sobie. Nowy Jork. Bomba. Krzyk ludzi, brzęk tłuczonego szkła, ból.

Spróbowała podnieść rękę i nie poczuła bólu. Podniosła głowę i zobaczyła jego.

Jeff był przy niej, siedział na krześle z głową opartą tuż obok jej ręki.

Dotknęła ręką brzucha. Dziecko. Czy nadal tam jest? Jak rozległe były jej obrażenia? Nie, nie może stracić i tego. Nie może.

Czy dlatego Jeff był taki zły, bo powiedzieli mu, że straciła ich drugie dziecko? Czy mimo to będzie mógł ją kochać?

Nie zdążyła mu powiedzieć o tej nowej ciąży. Sama odkryła ją dopiero w drodze do Nowego Jorku. Z początku myślała, że to tylko opóźnienie po poronieniu...

Patrzyła na jego piękną, dobrą twarz. Nawet we śnie był niespokojny. Na pewno przez nią. Ciągłe sprawia mu ból.

Ale przecież nie może od niego odejść. Za bardzo go kocha.

Nie mogła dłużej czekać. Musiała wiedzieć.

Śniło mu się, że jest w Arizonie i razem z Tish jadą na Dominie i Belladonna. Są szczęśliwi, śmieją się. Nagle jakaś nisko wisząca gałąź wplątała mu się we włosy. Wyciągnął rękę, żeby ją odepchnąć i...i jego ręka dotknęła czyjejś ręki.

Otworzył oczy.

Tish. To jej ręka gładziła go po głowie.

– Tish! O Boże, obudziłaś się!

– Cześć, Jeff.

– Jak się czujesz?

– Trochę boli mnie głowa, ale to wszystko. Co mi się stało?

– Miałaś poważny wstrząs mózgu i byłaś w śpiączce przez trzy dni.

– Trzy dni! A dziecko? Co z nim?

– Jakie dziecko? – Czyżby cofnęła się w przeszłość, do dnia poronienia?

Tish oblizwała spierzchnięte wargi.

– W drodze z Australii do Nowego Jorku odkryłam, że jestem w ciąży. Nie miałam okazji ci powiedzieć....

– Ale przecież w Australii to było zaledwie kilka tygodni temu. Nie mogłaś wiedzieć tak szybko.

– Nie, to musiało się stać naszej ostatniej nocy w Los Angeles.

– To znaczy, że jesteś w trzecim miesiącu! To cudownie, maleńka.

Mimo wszystkich rurek wziął ją w ramiona.

– Zaczekaj, Jeff. A co...jeśli w tym wybuchu je straciłam? Jeśli moje obrażenia spowodowały...

Słowa uwięzły jej w gardle.

Dlaczego O'Neill nie wspomniał o ciąży? Nieważne.

– Najważniejsze, że ty żyjesz i jesteś zdrowa. Jest najważniejszą rzeczą w moim życiu. Z dzieckiem czy bez, ważne jest nasze małżeństwo i nasza miłość.

– Kocham cię, Jeff. Nawet nie wiesz, jak bardzo szepnęła.

EPILOG

Jeff siedział przy łóżku Tish, trzymał ją za rękę i cały czas się uśmiechał. Byli razem, trzymali się za ręce i to było najważniejsze.

W separacie była też pielęgniarka. Sprawdziła tętno Tish, zmierzyła temperaturę, poprawiła pościel.

– Żona mówi, że prawdopodobnie jest w ciąży. To prawda? – spytał Jeff.

– Wolałabym, żeby porozmawiał pan o tym z doktorem O’Neillem. Zaraz do państwa przyjdzie.

Kiedy zostali sami, Tish zaniepokoiła się.

– Nie brzmi to dobrze. Dlaczego nie chce nam powiedzieć? To musi być w mojej karcie. Przecież badając mnie musiał to zauważyć.

Jeff był większym optymistą. Po jej obudzeniu skłonny był już wierzyć w cuda.

– Przede wszystkim walczył o twoje życie. Może po prostu nie wpadło mu to do głowy.

Sam w to wątpił. U większości pacjentek w wieku

rozrodczym w takich sytuacjach test ciążowy robi się rutynowo.

No, tak, ale dlaczego nie powiedział o tym jemu, koledze po fachu. Może nie chciał go denerwować. Tym bardziej on nie powinien denerwować Tish.

– Pamiętasz, co było przed wybuchem, czy wolisz o tym nie rozmawiać? – spytał.

Nie zdążyła mu odpowiedzieć, bo do separatki wpadł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna i uśmiechnął się szeroko.

– No, moja pani, nareszcie się obudziłaś.

– Del! Tak się cieszę, że nic ci się nie stało. Jeff, to Del Rogers, agent, który ocalił mi życie.

– No tu już przesadziłaś – zaprotestował skromnie Del.

– Nie, naprawdę. To ty odciągnęłaś mnie w bezpieczne miejsce tuż po wybuchu.

– Jestem ci bardzo wdzięczny – Jeff wyciągnął do niego rękę.

– Nie ma za co. – Del spojrział na zegarek. – No to nie będę wam przeszkadzał.

W drzwiach minął się z doktorem O’Neillem.

– Doktorze, mamy dla pana niespodziankę – powitał go Jeff. – Tish się obudziła.

– Słyszałem, słyszałem. Jak się pani czuje, młoda damo?

– Trochę boli mnie głowa, ale poza tym wszystko w porządku.

Lekarz osłuchiwał jej serce i płuca.

– Rzeczywiście wszystko znakomicie, a odpowiedź na pytanie, którego pani nie zadała brzmi tak, z dzieckiem też wszystko w porządku.

– O! – W oczach Tish pojawiły się łzy. – Dziękuję – szepnęła.

– Zastanawiałem się, czy panu o tym powiedzieć, ale nie chciałem pana dodatkowo niepokoić, gdyby coś poszło nie tak. Wkrótce będzie ją mógł pan zabrać do domu.

Jeff nie posiadał się z radości. Tish żywa i zdrowa, dziecko w porządku. Czego chcieć więcej.

– Na pani miejscu trochę bym przystopował, młoda damo – zażartował lekarz. – Żadnych bomb.

– Będę jej pilnował, doktorze – obiecał Jeff. – Co najwyżej zabiorę ją do Disneylandu.

– Właśnie. Proszę się nie martwić, doktorze, operacyjnym agentem już nie będę. Zostawiam to mojemu mężowi.

sobie Tish Buckner, rozdzieliła ich tragedia. Teraz życie Tish wisi na włosku, a Jeff, wbrew wszystkiemu, ma nadzieję, że dostaną jeszcze drugą szansę na wspólne życie. Bo tym razem nie pozwoli jej odejść!